www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 41 (1135)
4-10.10.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Tadeusz Różewicz – twórca wszechstronnie niewygodny

Prywatna Partia Czarzastego – lewica przed kongresem

FSM Tychy – najdłuższy strajk okupacyjny

Lek na covid W USA w grudniu. Kiedy u nas?

WATYKAŃSKI BICZ NA BISKUPÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
41 >
9 771509 311102

eprasa.pl c897b7b470

60-LECIE WARSZAWSKIEJ OPERY KAMERALNEJ

60 Warszawska Opera Kameralna

PREMIERA:
20 X 2021, 19:00

GAETANO DONIZETTI

NOCNY DZWONECZEK
IL CAMPANELLO DI NOTTE

TŁUSTY CZWARTEK
IL GIOVEDI GRASSO

SPEKTAKLE: 21, 22, 23 X 2021, 19:00

TEATR WARSZAWSKIEJ OPERY KAMERALNEJ
AL. SOLIDARNOŚCI 76B

REŻYSERIA: **GRZEGORZ CHRAPKIEWICZ** KIEROWNICTWO MUZYCZNE: **KUBA WNUK**
SCENOGRAFIA: **WOJCIECH STEFANIAK** KOSTIUMY: **KATARZYNA SZCZUROWSKA, ANNA SKUPIEŃ**
CHOREOGRAFIA: **JAROSŁAW STANIEK, KATARZYNA ZIELONKA**

BILETY: KASA TEATRU WOK, AL. SOLIDARNOŚCI 76B | OPERAKAMERALNA.PL

Bilety24 eBilet.pl WEJŚCIÓWKI.PL

Mazowsze. serce Polski

eprasa.pl c897b7b470

Jerzy Domański

Skok na wydrę

Jeśli ktoś sympatyzuje z lewicą, ma duży problem. Od kilkunastu lat czeka na lepsze czasy. Bez skutku. Zamiast słońca i marszu w górę sondaży jest to, co widać.

Zamiast autentycznych, mających autorytet liderów środowisk lewicowych są kompromitujące eksperymenty kadrowe i cynicy, którzy kochają władzę i kasę. Kto powie coś dobrego o Czarzastym i Biedroniu? Dostali od losu złoty róg, a zrobili z niego sflaczałe balony. Zmarnowali energię, entuzjazm i pracę wielu ludzi, którzy naiwnie uwierzyli w projekt wielkiej, demokratycznej i ideowej lewicy. Taki projekt, choć pozostaje w sferze marzeń, jest niezbędny. I prędzej czy później zostanie zrealizowany.

Na pewno nie będzie nim sztuczny twór, jakim jest Nowa Lewica. Pomysł na tak zamordystyczną i kumoterską partię jest zaprzeczeniem najbardziej elementarnych wartości. Nie tylko lewicowych, ale generalnie cywilizacyjnych. Żeby w 2021 r. zaproponować taki model partii i wierzyć, że jakiś ciemny, choć lewicowy lud to kupi, trzeba być cynikiem i niezłym kombinatorem. Kiedyś takie działania nazywało się skokiem na wydrę, a dziś – grą polityczną, w której jedyną wartością są własne interesy.

Jeśli coś mnie jeszcze dziwi, to postawa tych posłanek i posłów, którzy widzą i wiedzą, co się dzieje, a mimo wszystko firmują takie działania.

W polityce jest jednak, czy chcemy, czy nie, odpowiedzialność zbiorowa. W najbardziej bolesny sposób doświadczają tego byli członkowie PZPR. I to niezależnie od osobistych zasług. Ówczesna partia władzy oprócz ideowców miała wielu członków o gumowych kręgosłupach, ludzi nastawionych na profity. Ale jakoś sobie nie przypominam takich liderów partii jak dzisiejsi, bez hamulców w dążeniu do prywatnych celów.

Główne pytanie, przed którym stoi lewica, nie brzmi, kto z kim i przeciwko komu, ale po co i w imię jakich wartości. Czyli odwrotnie do tego, co teraz się dzieje.

Polsce, a elektoratowi lewicowemu na pewno, potrzebna jest partia kierująca się interesem ludzi, a nie rynków finansowych i tych, którzy sprywatyzowali świat dla siebie. Tylko lewica może obalić ten absurdalny mechanizm.

Politycy rozglądający się za wyjściem z tego pata z Nową Lewicą mają rozwiązanie – utwórzcie w Sejmie koło Unii Pracy. I do roboty. Nie wyrzucać ludzi, tylko przyjmować nowych. Otworzyć się na ruchy lewicowe, stowarzyszenia, fundacje, portale itd. To do nich powinna trafić publiczna kasa, która teraz idzie do swojaków. Jak w PiS.

BĄKOWSKI

CYTATY TYGODNIA

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,
politolog, UW
Młode pokolenie uwiódł Jobs, a sponiewierał Bezos – rentierzy sieci.
„Trybuna"

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI,
były minister rolnictwa
Rozwiązania dla rolnictwa w tzw. Polskim Ładzie są słabe i nieprecyzyjne.
„Nasz Dziennik"

eprasa.pl c897b7b470

W NUMERZE

KOŚCIÓŁ

8 **Watykański bat na biskupów**
– rozmowa ze Stanisławem Obirkiem i Arturem Nowakiem

KRAJ

12 **Język, który pomaga zabijać**
Niechlubne doświadczenie w dehumanizacji

14 **Rozmówki polsko-przygraniczne**
Na posterunkach nietutejsi, służbiści, dowcipnisie…

16 **Banaś uderza w Ziobrę**
Tak dojono Fundusz Sprawiedliwości

18 **Prywatna Partia Czarzastego**
Lewica przed kongresem zjednoczeniowym

21 **Kobiety górą**
A patriarchat się broni

23 **Zapewnienie godnych warunków pracy w Polsce**
Projekt OPZZ w ramach Funduszy Norweskich

24 **Celem ministra jest pacyfikacja nauczycieli**
– rozmowa z Jarosławem Pytlakiem

57 **Glogery 2021**
Nagrody za troskę o kulturę tradycyjną

ZAGRANICA

28 **Kanclerz w zawieszeniu**
Powyborcze układanki w Niemczech

32 **Anglia jedzie na oparach**
Brak kierowców – braki w zaopatrzeniu

36 **Rodzina, która wywołała epidemię**
Amerykanie i opioidy

KSIĄŻKI

40 **Więcej niż testament**
Trzeba kontynuować dzieło Walickiego

HISTORIA

42 **Poezją w rząd**
56 dni strajku w FSM w Tychach

KULTURA

46 **Wszechstronnie niewygodny Różewicz**
Na 100-lecie Tadeusza Różewicza

50 **Teatr, który obchodzi widza**
– rozmowa z Arturem Tyszkiewiczem

53 **Qulturalia**

66 **WIEŻA BAB²**
Polska sztuka kobiet

ZDROWIE

54 **Pigułką w koronawirusa**
Lek na covid coraz bliżej

ZWIERZĘTA

58 **Uwaga, żaba!**
Chrońmy płazy, to się opłaca

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Skok na wydrę

27 **Roman Kurkiewicz**
Terrorysta we mnie

31 **Andrzej Szahaj**
Nieuchronność postkapitalizmu

35 **Tomasz Jastrun**
Z poetą myśli w Przemyślu

39 **Wojciech Kuczok**
Straż paniczna

49 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Pakuj się, Christo

21
KRAJ

KOBIETY GÓRĄ
A patriarchat się broni

28
ZAGRANICA

KANCLERZ W ZAWIESZENIU
Powyborcze układanki w Niemczech

58
ZWIERZĘTA

UWAGA, ŻABA!
Chrońmy płazy, to się opłaca

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

Banaś obali rząd

Kolejna płonna nadzieja, że były pisowiec uderzy w matuszkę partię. Nawet jeśli do tego dojdzie, zostanie zlekceważony. Po ostatnich imieninach już chyba wszyscy wiedzą, że PO-PiS to byt rzeczywisty, żywotny i pazerny. Tusk nawija zakochanym w nim wyborcom makaron na uszy, a jego partia udaje, że mu wierzy. Niestety, rządy postsolidarnościowego kołtuństwa zapowiadają się jeszcze na lata. Nie ma również lewicy, bo odcięła się od korzeni, a jej program socjalny został przez PO-PiS zamieniony w olbrzymi fundusz łapówkarski dla „ciemnego ludu". Raporty Banasia mogą najwyżej się przydać jako dowody w ewentualnej Norymberdze prawicy. Ale biorąc pod uwagę stan polskiego szkolnictwa, przyszłe pokolenia raczej rozpalą stosy dla czarownic niż kaganek oświaty.

Marek Głowinkowski

Czas powiedzieć NIE

Posłom i politykom – także opozycyjnym – w tym całym bałaganie żyje się dobrze. Dlatego nie będą okupować mównicy czy tworzyć „monitorów ocenzurowanych", bo ICH bezpośrednio te działania PiS nie dotykają. IM jest dobrze. A naród czy państwo? A kogo one obchodzą? Polska klasa polityczna – niezależnie od partii – żyje sama dla siebie i liczy się tylko sama dla siebie.

Alicja Strzalka

Ale co ty mu zrobiłaś?!

Przemoc w rodzinie, nie tylko fizyczna, ale też psychiczna, zdarza się częściej, niż moglibyśmy przypuszczać, i nie tylko tam, gdzie występuje problem alkoholowy. Wiedza, prestiż, pieniądze, władza, szacunek otoczenia plus deficyty z dzieciństwa potrafią stworzyć niezłego psychopatę. Nic nie dadzą złote rady typu: zostaw go, musisz to zgłosić, jeśli nikt nie będzie krzyczał: możesz się zgłosić do nas, zaopiekujemy się tobą i dziećmi, przyjdź, nie damy cię skrzywdzić, jesteś uzależniona/y emocjonalnie od swojego kata, a takie stany się leczy. Kobiety mają tendencję do kalkulowania w życiu. Co mogą zyskać, co mogą stracić. Często tkwią w relacji, składając siebie na ołtarzu jako ofiarę w imię dobrobytu dzieci. Gdyby w Polsce były np. na start zasiłki dla osób odchodzących od tyranów, inaczej sprawy by wyglądały. Często strach przed odejściem ze strefy, która jest znana, jest większy niż strach przed uderzeniem. Druga sprawa, że wiele osób stosuje kamuflaż. Na zewnątrz najlepszy mąż i ojciec, w domu tyran. Podobnie kobiety. Matka siadająca w pierwszej ławce w kościele co niedziela i udzielająca nauk przedmałżeńskich potrafi napluć swojemu synowi w twarz, kiedy on już jest silniejszy i nie pozwoli się uderzyć. To wszystko są złożone historie. Żeby jeszcze ktoś uwierzył, że ten ideał ma dwie twarze... Wciąż częściej można usłyszeć: po co prowokujesz, to twoja wina, że obrywasz. Zmienić to może prawo, ale przede wszystkim świadomość społeczeństwa. Przecież te osoby są uzależnione. Najczęściej mówią: kiedyś to zmienię, ale jeszcze nie teraz, najpierw muszę zaoszczędzić, skończyć studia, mieć plan, poszukać innej pracy itp.

Jadwiga

ZDJĘCIE TYGODNIA

Przedmurze chrześcijaństwa – Straż Graniczna w Michałowie odparła kolejny „szturm" uchodźców. Jak informuje rzeczniczka Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, zastosowano wobec nich procedurę zgodnie z rozporządzeniem. Dalszy los grupy uchodźców, wśród których były kobiety z dziećmi, nie jest znany.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl c897b7b470

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

1,2 mln studentów uczy się w Polsce w 349 uczelniach. W 130 publicznych, 219 niepublicznych i 10 wyznaniowych.

Nie będzie kopalni odkrywkowej węgla brunatnego na terenie gmin Złoczew, Ostrówek, Burzenin i Lututów. Miały zniknąć 33 wsie. **Wygrali protestujący mieszkańcy.**

Agnieszka Holland jako pierwsza kobieta **otrzymała w Gdyni Platynowe Lwy przyznawane za całokształt twórczości.**

Film „Wszystkie nasze strachy" w reżyserii Łukasza Rondudy i Łukasza Gutta został nagrodzony **Złotymi Lwami na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.**

Maria Dębska za rolę Kaliny Jędrusik w filmie „Bo we mnie jest seks" dostała w Gdyni nagrodę za główną rolę kobiecą, a Jacek Beler („Inni ludzie") za główną rolę męską.

Joanna Solska, dziennikarka „Polityki", została laureatką Nagrody im. Lesława A. Pagi (współtwórcy Giełdy Papierów Wartościowych) za wkład w rozwój polskiej gospodarki i zachowanie najwyższych standardów etycznych.

Małopolska Chata Podcieniowa, dom pod Krakowem, projektu warszawsko-krakowskiej pracowni BXB **to według konkursu Global Architecture & Design Awards 2021 najpiękniejsza prywatna rezydencja na świecie.**

W Polsce aż 93% ojców porzuca rodzinę, gdy rodzi się upośledzone lub kalekie dziecko.

Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, skazani w 2015 r. na trzy lata więzienia i 10 lat zakazu zajmowania kierowniczych stanowisk w administracji za nadużycie prawa, **zostali ułaskawieni przez prezydenta Dudę.** No i niedługo trzeba było czekać na powtórne kpienie z prawa.

Rafał Milczarski, prezes LOT, od dawna traktuje organizacje pracownicze jak wroga, z którym uparcie walczy. Najnowszy pomysł prezesa to zatrudnienie 80 Węgrów, nieznających polskiego i kosztujących firmę drożej niż Polacy.

310 tys. osób w Polsce dostaje emeryturę poniżej ustawowego minimum, które wynosi 1255 zł (1066 zł netto).

Firma Cooper Standard Automotive w Myślenicach, produkująca uszczelki do samochodów, zarobiła w ciągu ostatnich dwóch lat ok. 230 mln zł netto. A mimo to chce zwolnić 25 pracowników. Inicjatywa Pracownicza przypomniała, że Cooper dostał od państwa ponad miliard złotych w formie dotacji i ulg.

Na 545 cofniętych przez gminy zezwoleń na sprzedaż alkoholu w 2020 r. aż 255 wiązało się ze sprzedażą alkoholu nieletnim.

PRZEBŁYSKI

Nieużywane sumienia

Kto biskupowi zabroni robić, co zechce? Wierni z pewnością nie. Myślicie, że władzę nad nimi ma Watykan? Błądzicie. Popatrzcie, ilu dostojników pojechało do Wrocławia na pogrzeb bp. Edwarda Janiaka, który złą sławę zawdzięcza filmowi braci Sekielskich „Zabawa w chowanego". Winy Janiaka potwierdził nuncjusz. Watykan wydał mu zakaz uczestniczenia w publicznych celebracjach. O zgorszeniu mówił m.in. prymas Polak. Ale po abp. Józefie Kupnym, który w gronie biskupów celebrował wrocławski pogrzeb, i abp. Stanisławie Gądeckim, który odprawiał mszę w Kaliszu, spłynęło to jak woda po kaczce. Brat zmarłego, też ksiądz, Krzysztof Janiak, oskarżając tych, którzy oskarżali biskupa, powiedział coś zagadkowego o oczyszczaniu Kościoła: „Powinny pojawić się zgniłe sumienia tych w czerni, jak i tych w purpurze, tych w sutannach, habitach, jak i tych w krawatach". Prosimy o nazwiska.

Gadowski wielki, a Frasyniuk malutki

Jeszcze tylko „Gazeta Polska", tuba Macierewicza, daje zarobić Witoldowi Gadowskiemu. Witek wędrowniczek był już wszędzie. W TVN, TVP, „Sieciach", Polskim Radiu. Coś musi być z nim nie halo, skoro go tak często zwalniają Trzyma się więc „GP" jak pijany płota! I robi, co może, żeby ubogi myślowo elektorat Antoniego dostał dużą porcję ujadania i walenia cepem. Gadowski więc wali... w TVN! Choć wiele lat tam przepracował. I wtedy jakoś mu nie przeszkadzał życiorys Waltera.

Ale TVN to pryszcz w porównaniu z tym, co Gadowski napisał o Frasyniuku: „użyteczny prymityw, pionek, prostak, który urósł w pychę i zadufanie, marionetka odgrywająca rolę legendy". I jeszcze głupiej. I jeszcze parszywej. Żenada dekady. Tu nie ma co komentować. Tu trzeba szybko szukać pomocy medycznej.

Rychu, idź teraz do bokserów

Człowiek z gumy, wygwizdywany na każdych zawodach, nie stanął ostatecznie do walki o fotel prezesa siatkówki. Rycho Czarnecki policzył głosy i wyszło, że wystarczy mu jedna ręka. Pewno ta z palcami wyćwiczonymi w liczeniu kasy. Rychowi nie pomogło nawet zdjęcie z Kaczyńskim. I z piłką. Ani obietnice, że gdy zostanie prezesem, Orlen i inne spółki zagarnięte przez PiS przyślą całe wagony kasy. Jeśli coś zostało w siatkówce po spoconym Rychu, to rachunki za podróże. Koniec dojenia tej dyscypliny nie jest niestety finałem zabiegów Czarneckiego. Od dawna poluje na prezesurę Polskiego Komitetu Olimpijskiego. I coś w tym jest. Przecież Rycho to podręcznikowy przykład odwrotności *fair play*.
A my proponujemy Rychowi Polski Związek Bokserski. Znamy tam paru ludzi, którzy chętnie wybiją mu paskudne nawyki. Na ringu!

Zakopane zaprasza. Covid czeka

Jedź do Zakopanego. Masz dużą szansę na spotkanie z covidem. Bo tylko 44% górali zechciało się zaszczepić. Na 26 846 mieszkańców w pełni zaszczepionych jest 11 907. A w okolicznych wsiach jeszcze gorzej. Turysta, zanim zachoruje, zapłaci góralom za najdroższą w Europie kiełbaskę na gorąco i za równie drogie owcze serki z krowiego mleka. A jak mu jeszcze coś zostanie w portfelu, to ma duży wybór pamiątkowego badziewia. Ze stałych dostaw *made in China*.

FOT. ARCHIWUM (2), TOMASZ GOLLA/SE/EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy są indywidualistami?

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ,
psycholog społeczny i socjolog, UW

Badania porównawcze różnych kultur wskazują indywidualistyczny charakter polskiego społeczeństwa. Polacy uważają, że każdy powinien sam zatroszczyć się o swoje sprawy, a dobro najbliższej rodziny jest ważniejsze niż dobro ogółu. W tak rozumianym indywidualizmie zawarte są zatem jednocześnie silne więzi rodzinne. Socjolodzy od lat piszą o polskim familizmie, w ramach którego wszelkie zachowania przynoszące korzyści własnej rodzinie są traktowane jako moralne. To zjawisko jest źródłem wielu problemów. Gdy bezpośrednie interesy danego gospodarstwa wysuwają się na pierwsze miejsce, nierzadko cierpi interes ogólnospołeczny, czego przykładem jest palenie w piecu najtańszym, najgorszym węglem. Co więcej, indywidualistyczne podejście, któremu towarzyszą brak zaufania do instytucji i niski poziom uspołecznienia, przejawiającego się np. działaniem w oddolnych organizacjach, upośledza umiejętności wspólnotowego rozwiązywania problemów zbyt trudnych dla jednostek czy pojedynczych rodzin.

DR ŁUKASZ POLOWCZYK,
filozof, etyk

Międzynarodowe badania dotyczące indywidualizmu i kolektywizmu pokazały, że Polakom, w przeciwieństwie do Japończyków, Chińczyków czy Koreańczyków, bliżej do tego pierwszego. Obraz Polaka jako osoby sprzeciwiającej się autorytetom, myślącej samodzielnie itd. to niestety jedynie stereotyp. Polacy, podobnie jak inne nacje, dzielą się na grupy o charakterystycznych sposobach myślenia i odczuwania, a bycie indywidualistą często sprowadza się do uzupełniania ich o wybrane przez siebie elementy. Prawdziwych indywidualistów jest u nas, jak właściwie wszędzie, stosunkowo mało, a większość przeważnie odsuwa ich na margines. Narzekactwo i sobkowstwo, uznawane chętnie przez Polaków za przejaw indywidualizmu, są faktycznie konserwatywnymi wzorcami stadnymi, którym daleko do twórczego buntu i niezależności myślenia. Lepszym wyjściem niż skrajny indywidualizm i kolektywizm jest myślenie wspólnotowe, które umożliwia indywidualistom bycie indywidualistami bez przemocy kolektywu.

JAREMA PIEKUTOWSKI,
socjolog i publicysta, „Nowa Konfederacja"

Wiek XX był czasem indywidualizmu. W centrum stała jednostka – człowiek z jego wolą, potrzebami i emocjami. To była przede wszystkim reakcja na tragedie przyniesione przez komunizm i faszyzm – oba te ustroje były wobec jednostki nieufne, stawiały na masy. Jednak w XXI w., w formie internetowych baniek społecznych, także w Polsce tworzą się nowe formy kolektywizmu. Coraz częściej identyfikujemy się nie jako, powiedzmy, Katarzyna Nowak, ale jako kobieta, zwolenniczka lewicy, nie jako Jan Kowalski, a jako zwolennik PiS, narodowiec lub gej. Tożsamość grupowa, wzmacniana przez media społecznościowe, staje się ważniejsza niż tożsamość indywidualna. Ten proces dotyczy całego świata zachodniego. A Polacy wbrew stereotypowi indywidualizmu Sarmaty cenią wartości kolektywne, takie jak przywiązanie do tradycji, rodziny czy stosowanie się do zasad, na co wskazują wyniki European Social Survey. W związku z tymi trendami można się spodziewać osłabienia indywidualizmu Polaków.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl c897b7b470

Watykański bat na biskupów

Nadzwyczajna wizyta polskich biskupów w Rzymie mogłaby być końcem klonowania polskiego episkopatu wedle reguł Wojtyły

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Polski Kościół wchodzi w bardzo ostry zakręt historii. Rozpoczynająca się za kilka dni seria spotkań polskich biskupów z papieżem Franciszkiem wykracza poza rytuał wizyt *Ad Limina Apostolorum*. Choć każdy biskup raz na pięć lat powinien odwiedzić groby apostołów Piotra i Pawła w Watykanie, tym razem chodzi o coś poważniejszego. Papież wezwał polskich hierarchów w trybie pilnym, wszystkich. Na przygotowania mieli mniej czasu niż zazwyczaj. Pojawią się na watykańskim dywaniku, mając w pamięci niedawne, bezprecedensowe kary dla niektórych: ukaranie kard. Henryka Gulbinowicza (zmarłego chwilę potem) zakazem uczestnictwa w celebracjach i spotkaniach publicznych, zakazem używania insygniów biskupich i pozbawieniem prawa do pochówku w katedrze; kary dla abp. Sławoja Leszka Głódzia i bp. Edwarda Janiaka. W tle są ujawniane w ostatnich latach afery związane z przestępstwami nadużyć seksualnych księży oraz ich systemowym tuszowaniem. Polska przechodzi ostry kryzys powołań kapłańskich i równocześnie szybko się sekularyzuje. Wszystko to w cieniu niezwykle zacieśnionego sojuszu z pisowską władzą, która obsypuje Kościół pieniędzmi i przywilejami, jednocześnie zapewniając przestępcom w sutannach nietykalność.

Polski Kościół jest chory, z uwagą należy obserwować, jaką kurację wprowadzi papież Franciszek, traktowany przez polskich hierarchów ze sporym dystansem, żeby nie powiedzieć lekceważeniem. U źródeł wszystkich patologii coraz bardziej widać do niedawna pomnikową i niekrytykowalną postać Jana Pawła II, który poprzez swoją politykę kadrową tak fatalny Kościół w Polsce stworzył i utwierdził. Cień jego działalności i decyzji jest coraz mroczniejszy.

Wyjątkowość obecnego momentu w historii Kościoła podkreśla też przerwane milczenie i odwaga osób, które ujawniają nadużycia, przestępstwa oraz skandale, opisują rozgrywające się w Kościele procesy. Należą do nich były jezuita, antropolog kultury, teolog, historyk Stanisław Obirek i Artur Nowak, adwokat, publicysta, pisarz.

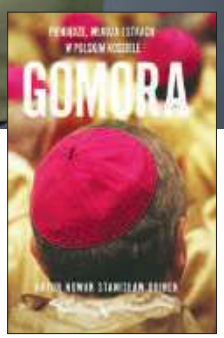

STANISŁAW OBIREK I ARTUR NOWAK
– autorzy wydanej właśnie książki „Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele”

Porozmawiamy o potężnej, groźnej, zagadkowej instytucji. Jak ją opisać, nie używając na początku jej nazwy? Gdyby czytelnik miał rozwiązać zagadkę...

Artur Nowak: – Mówimy o korporacji, dobrze opisanym tworze w wymiarze ekonomicznym, prawnym, społecznym. Czyli jest to przede wszystkim przedsiębiorstwo, zbudowane na sieci relacji lojalnościowych. Jest to model zakupu usług religijnych za obietnicę zbawienia. Funkcjonuje z pokolenia na pokolenie, od wieków. Zaczyna się od chrztu, który najczęściej nie jest związany ze świadomym wyborem, decyzją – a jego skutki trwają aż do śmierci. To jest świetnie pomyślane, niczego specjalnie od tak wymyślonego konsumenta usługi religijnej się nie wymaga. Musi wędrować przez życie od jednego sakramentu do drugiego. **Wszystkiemu towarzyszy odpłatność.**

AN: – Z punktu widzenia prawa mamy do czynienia z instytucją pozbawioną jakiejkolwiek kontroli, wewnętrznej i zewnętrznej. Szacuje się, że w Polsce „obroty” Kościoła to ok. 17-19 mld zł rocznie – sądzę, że to zaniżone wyliczenia. Nie ma możliwości sprawdzenia, na ile wikary okrada proboszcza, na ile proboszcz biskupa, a biskup

eprasa.pl c897b7b470

– Watykan. A co robi z pieniędzmi Watykan, widać po kolejnych aferach z bankami, praniem brudnych pieniędzy we współpracy z mafią, spekulacyjnymi zakupami nieruchomości. Pojawił się pomysł używania kart płatniczych, ale polskie duchowieństwo zgodnie go odrzuciło.

Dzięki czemu nie ma kontroli przepływu pieniędzy.

AN: – Ta korporacja zastygła w formule średniowiecznej. Podczas gdy inne formy dużych przedsięwzięć gospodarczych, przedsiębiorstw, ewoluowały, dostosowywały się do nowych czasów, oczekiwań unowocześniających się państw, stawały się m.in. transparentne, jeśli chodzi o obrót i rozliczanie się z pieniędzy, kosztów, zysków – to Kościół zastygł w kształcie sprzed wielu wieków. Luter, który chciał zlikwidować handlowanie sakramentami i urzędami, przegrał tę konfrontację. Rzym nie zaakceptował tych reformistycznych fanaberii. Mamy więc dzisiaj instytucję wyjętą spod prawa, niewspółpracującą z państwem. Państwo szanuje Kościół, natomiast Kościół absolutnie nie szanuje państwa. Konkordat *de facto* niczego nie normuje. Doskonałym przykładem jest działalność tzw. komisji majątkowej, podczas prac której doszło do wielu przestępstw. Skończyło się to w atmosferze wielkiego skandalu, z którego nie wyciągnięto żadnych wniosków, konsekwencji, nikogo nie ukarano. Kościół równocześnie powołuje się na swoją kombatancką przeszłość, sakralizuje swoją misję. Uznając się za instytucję „nadprzyrodzoną", stawia się poza i ponad prawem.

Mówimy o globalnej instytucji, choć skupiamy się bardziej na tym, co tu i teraz, w Polsce.

AN: – Dodam zatem, że na Zachodzie wiele z tych kwestii unormowano, np. ujednolicono siatkę płac duchownych i jest ona znana. Ile zarabia miesięcznie wikary, ile proboszcz, ile biskup w Niemczech, we Francji – to dane jawne. W Polsce to zupełnie nie działa. Są księża, którzy klepią biedę na wiosce, a są tacy, którzy dostali złotodajne probostwa, tzw. kuwejty – rozdzielanie tych bogatych i biednych placówek to ogromna władza biskupów. To niejawny system kar i nagród, bardzo często powiązany z korupcją. Żeby ksiądz dostał kuwejt, musi dać łapówkę. Biskupowi. Ale działają też sympatie. Kto się podoba biskupowi, ma szansę na dobrą placówkę, kto podpadnie – jest zsyłany. Kryteria duszpasterskie nie grają tu prawie żadnej roli. Ten system deprawuje, ponieważ nie ma żadnych mechanizmów kontroli, przejrzystości. To sprzyja patologii i ją wzmacnia. Na Zachodzie w wielu krajach duchowni nie mają żadnego kontaktu z finansami Kościoła, zarządzają tym rady parafialne, świeccy – w przejrzysty sposób, publikując szczegółowe sprawozdania, raporty.

Państwo szanuje Kościół, natomiast Kościół absolutnie nie szanuje państwa.

Dlaczego ten wariant nie przyjął się w Polsce?

Stanisław Obirek: – Kościół wyróżnia całkowita nieweryfikowalność. Równocześnie w polskim Kościele A.D. 2021 istnieje do perfekcji rozwinięty system krycia przestępstw, których sprawcami są duchowni. Nie ma tego w takim stopniu w innych instytucjach.

Przychodzi do głowy policja...

SO: – W Polsce mamy kilku tzw. przyzwoitych biskupów, chętnie udzielają się w mediach, są sympatyczni...

Zagrają na gitarze przy ognisku, zaśpiewają, napiszą książkę o inkwizycji...

SO: – …ale żadną miarą nie skrytykują swoich kolegów. Powiedzą nawet coś krytycznego o celibacie, ale zapytani o aferę biskupów Janiaka czy Paetza, odpowiadają: „To nie moja diecezja". To zmowa milczenia. Używa się w tym kontekście pojęcia omerty, mafijnej przysięgi lojalnościowej. Na szczególną „ochronę" zasługują ci przestępcy kościelni, którzy generują spore zyski i dochody dla Kościoła – to przykład ks. Andrzeja Dymera, krakowskiego infułata Bronisława Fidelusa czy twórcy Lichenia ks. Eugeniusz Makulskiego. Mamy do czynienia w Polsce z organizacją, która przestraszyła się współczesności i wyraźnie postawiła w nowych, potransformacyjnych czasach na model rozwoju reprezentowany przez o. Tadeusza Rydzyka. Jego sukces przyciągnął wielu biskupów.

Sukces finansowy ponad wszystko?

SO: – Niepowtarzalnymi cechami tej organizacji są absolutna niechęć do krytyki, brak autokrytyki, niemożność zreformowania się od środka i całkowita tajność archiwów oraz zasobów informacyjnych. Do tego dochodzi wyjątkowe w ostatnich latach, od 2015 r., zblatowanie z formacją rządzącą. Nazywam ten proces iranizacją albo wręcz chomeinizacją polskiego katolicyzmu. Chomeini przejął władzę w Iranie w 1979 r., Jan Paweł II został papieżem rok wcześniej. Jak Chomeini jest symbolem fundamentalizacji islamu, tak Jan Paweł II rozpoczął identyczny proces w katolicyzmie. Kto nawet nie krytykuje, tylko zadaje choćby krytyczne pytania – ten jest traktowany jako wróg, zaprzaniec, heretyk.

Wam udaje się bardzo krytycznie pisać o polskim papieżu, Kościele. Jeszcze kilka lat temu nie było to możliwe.

AN: – Polski Kościół jest bardzo antyintelektualny. Nie niuansuje głosów krytycznych, wszystkie wrzuca do worka „wróg" albo „zakazane". Tymczasem wiele zmian może wyjść od środka, od wierzących. Ale nie u nas. W Polsce krytyka Kościoła istnieje na poziomie ponarzekania, ludowego antyklerykalizmu, gdzie mamy gębę zapijaczonego księdza, co ma kochankę i przepija kasę. Ale to wszystko po cichu, prywatnie, nie przekłada się to na żadne zmiany struktury. Polski lud wierzący się nie buntuje, nie bierze odpowiedzialności za swoją wspólnotę, zostawia ją księżom i biskupom. Wyzbywa się wolności. Inaczej niż w Kościele zachodnim, posoborowym.

Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie – to powiedzenie zaczerpnięte od lorda Actona podstawiacie jak zwierciadło polskim biskupom. I dlatego mamy instytucję potężną, zamożną, zadufaną i nietykalną. Ale polska hierarchia jest też skrajnie antyintelektualna.

SO: – Patrząc dzisiaj z dystansu na polski Kościół – jako były jezuita, były teolog – a napisanie takiej książki jak „Gomora" pozwala ów dystans osiągnąć, widzę, że ten wymiar antyintelektualny jest dla opisu polskiego Kościoła absolutnie kluczowy. I jest

eprasa.pl c897b7b470

on jednoznacznie dokonaniem Jana Pawła II. Wydawałoby się, że to paradoks. Przecież to autor wielu książek, jako papież zapisał tysiące stron. A właśnie on wyniósł na ołtarze więcej świętych i błogosławionych niż wszyscy jego poprzednicy. To oznacza, że ten „intelektualista" był konsekwentnie nieufny wobec rozumu. Zaufał „ludowej" religijności. Tym samym przeciwstawianie go Wyszyńskiemu ma tak naprawdę słabe podstawy. Byli bardziej podobni, niż przez lata to przedstawiano.

Równolegle z tą pasją beatyfikowania i kanonizowania szła nieufność do otwartego myślenia. Miał trzypunktowe kryterium dogmatyczne, wedle którego weryfikował np. kandydatów na biskupów: aborcja i antykoncepcja, celibat, kapłaństwo kobiet. I tyle, zdał, nie zdał. Konsekwencją były tysiące teologów skazanych na milczenie. Już w 1980 r. Karl Rahner, wybitny niemiecki teolog, mówił, że dla teologii idzie „czas zimowy". W Polsce o tym w ogóle nie dyskutowano. Polakom to umknęło, że ten poeta, aktor, autor, mag słowa był skrajnie antyoświeceniową postacią, wrogiem rozumu na rzecz owej magii.

Ale przecież latem w Castel Gandolfo urządzał słynne spotkania z największymi umysłami Europy i świata. Bywali tam Levinas, Ricouer, Gadamer, Dahrendorf, Kołakowski, Taylor...

SO: – Był nawet Steven Hawking, który wspominał, że usłyszał wtedy od Jana Pawła II: „Tylko nie zaglądajcie Panu Bogu w kalendarz" (chodziło o teorię *Big Bang*, wielkiego wybuchu, opisującą początek wszechświata). Hawking miał odpowiedzieć, że jego tylko to interesuje. Dzisiaj nazwałbym to otwartym tekstem: to było mydlenie oczu. Pozwalał im się wygadać. Podobnie Ratzinger, późniejszy Benedykt XVI, który po 2000 r. debatował z Habermasem, ale jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary trzymał za twarz wszystkich, którzy choć na jotę odchodzili od twardej fundamentalnej dogmatyki, dla której zresztą trudno znaleźć biblijne uzasadnienie (choćby celibat księży). Antyintelektualizm Wojtyły jest dla mnie czymś oczywistym, a jego intelektualizm jest przereklamowany.

AN: – Powiedziałbym, że właśnie Jan Paweł II był prawdziwym, realnym patronem radiomaryjnej formy religijności, to jest jego realna spuścizna. Jan Paweł II jest wprost patronem Rydzyka. U wspomnianego Ratzingera, skądinąd wybitnego teologa katolickiego, ważną rolę formacyjną odegrała przeżyta przez niego trauma rewolucji seksualnej lat 60. i 70. w Niemczech. I to bardzo go zbliżyło do Wojtyły. To zresztą niezwykle ciekawe, co z Wojtyły zostało, co ludzie pamiętają. Zapewne jego chorobę, umieranie. Dumę Polaków, że Polak jest papieżem. Ale jaki to był przekaz? Trudno powiedzieć. U Franciszka to jest wyczuwalne i spójne.

W polskim Kościele A.D. 2021 do perfekcji rozwinięty jest system krycia przestępstw, których sprawcami są duchowni.

Z tego myślenia i sposobu zarządzania Kościołem wyszły kadry Wojtyły. Kandydaci, jeśli chodzi o Polskę, podsuwani przez Dziwisza i Kowalczyka, byli dobierani wedle tych trzech kryteriów: stosunku do aborcji, celibatu i kapłaństwa kobiet.

SO: – Oprócz antyintelektualizmu Wojtyły, o którym zaczyna się mówić, to kadry są drugim wielkim przemilczanym tematem i problemem. I jego klęską. We wszystkich Kościołach lokalnych Wojtyła niszczył – i zniszczył – ich upodmiotowienie, to, co było owocem Soboru Watykańskiego II. Pierwszym uderzeniem była zresztą encyklika Pawła VI *Humanae vitae,* która wbrew głosom z wewnątrz Kościoła, świeckich i biskupów, rozpoczęła przeciwantykoncepcyjną i antyaborcyjną krucjatę trwającą do dziś. Więcej katolików wie dzisiaj, że Kościół jest przeciw prezerwatywom i pigułce, niż że głosi zmartwychwstanie Chrystusa. Paweł VI, opowiadając się wówczas za głosem mniejszości w Kościele, był pod wpływem Wojtyły, którego z kolei teorie seksualności wywodziły się z przekonań jego przyjaciółki Wandy Półtawskiej. Jej wyobrażenia o seksualności powinny być rozpatrywane w kategoriach patologii, a nie propozycji etycznej czy edukacyjnej. To ona miała decydujący wpływ na Karola Wojtyłę i w konsekwencji na ograniczanie praw kobiet.

Wyznaczenie ram seksualności, co dozwolone, a co zakazane, jest potężnym instrumentem władzy. A władza w kontekście działania Kościoła jest pojęciem fundamentalnym.

AN: – Kościół boi się wolności, dlatego operuje pojęciem ofiary, pochwala cierpienie, nie akceptuje wolnomyślicielstwa, niezależności kobiet, ich prawa do decydowania o własnym ciele i życiu.

Polski Kościół, tak mocno oparty na władzy, pieniądzach, generujący strach, musi się czuć niekomfortowo w otoczeniu innych Kościołów, choćby europejskich. Czy zdobędzie się na schizmę? Odłączenie? Na patronowanie Katolickiemu Państwu Narodu Polskiego?

SO: – To pytanie wraca w debacie ostatnich lat. Polscy biskupi źle się czują bez polskiego papieża, bez którego by ich nie było. Nie „uważają" Franciszka. Kościół polski jest słaby, nie stać go na schizmę, herezję, jest uległy jak stado baranów. Przez dekady kierował nim jednoosobowo Wyszyński, potem Wojtyła za sprawą „swoich" biernych, ale wiernych biskupów.

Jeśli papieżowi Franciszkowi uda się zmienić kadry biskupie i kardynalskie, które wybiorą kolejnego papieża wedle innej logiki niż Wojtyłowa, to jest szansa. Jeśli chodzi o polski Kościół, ta zmiana może się zacząć już teraz, w październiku, przy okazji nadzwyczajnej (przyśpieszonej) wizyty polskich biskupów w Rzymie. To byłby koniec kilkudziesięcioletniego klonowania polskiego episkopatu wedle reguł Wojtyły, za poduszczeniami Dziwisza i Kowalczyka. To musiałoby być zupełnie nowe otwarcie, ludzie spoza tej sitwy. Wyobrażam sobie, jak taki Tomasz Dostatni – dominikanin albo Jacek Prusak – jezuita zostaje prymasem i wprowadza zupełnie nowy system zarządzania. Teoretycznie to wyobrażalne, praktycznie – trudno powiedzieć. Kościół słabnie, co mnie w ogóle nie martwi, jest światowym liderem sekularyzacji, jego potencjał kulturowy się wyczerpał, będzie biedniał, nie powinien być taką siłą polityczną,

eprasa.pl c897b7b470

jaką jest w obecnej konstelacji rządowej. Wówczas taka zmiana Kościoła w stronę modelu irlandzkiego jest wyobrażalna.

Czy w naszym wypadku możliwy jest scenariusz chilijski? Czyli dymisja całego episkopatu po wizycie u papieża? Do Rzymu peregrynują dostojni biskupi, a wracają prości księża pokutnicy?

AN: – Nie, nie, nie ma mowy. My też nie jesteśmy bezkrytycznymi wielbicielami Franciszka. Wprawdzie niewiele trzeba, by być lepszym od Ratzingera i Wojtyły, ale jego opowieść nie krąży wokół widma cywilizacji śmierci, jak w języku Wojtyły i Jędraszewskiego. On proponuje wizję zmiany i odnowy. W Chile zapłonęły świątynie – tego nie dało się zignorować. Kościół nigdy sam z siebie nie dokonuje odnowy, to zasada Gomory, musi zostać przyparty do muru, zmuszony przez wiernych, opinię publiczną. W Polsce może dojść do konfrontacji liberalnego skrzydła duchowieństwa z hierarchią. To już się dzieje w Europie, w Belgii, Niemczech. Franciszek nie zamyka im ust, nie wyrzuca, nie potępia. Głównym czynnikiem prowadzącym do konfrontacji jest brak kasy. Trzeba będzie się wyprzedawać.

Polska sekularyzuje się najszybciej na świecie, dotyczy to głównie młodych, mówią o tym międzynarodowe badania, choćby Pew Research Center. W Łodzi w szkołach średnich 70% młodzieży wypisało się z lekcji religii.

AN: – To jest ta siła. Kiedy rozmawiam z młodymi ludźmi, to oni mówią: „My nie czytamy twoich książek, nie oglądamy twoich programów, bo my mamy na Kościół wyj...". Ale sekularyzacja młodych to nie wszystko. Trzeba też pamiętać, że badania opinii publicznej mówią, że społeczeństwo nie chce blatowania się polityków z Kościołem. Kiedy to dotrze do polityków – sytuacja się zmieni.

O tym gniewie świadczy także popularność naszej książki, która wyprzedza kryminały i porady kulinarne. Ludzie mają dość. Poza tym następuje zmęczenie rytualizacją życia publicznego, świętami, sztandarami, wieńcami. To wszystko staje się zbyt toporne, niezjadliwe. Kościół przestał odpowiadać na ważne dla ludzi pytania egzystencjalne, może duchowe. I ludzie zaczynają szukać tej odpowiedzi gdzie indziej.

SO: – Chciałbym powiedzieć coś pozytywnego. Otóż obserwujemy właśnie, jak sejmiki, które przyjęły te niesławne uchwały anty-LGBT, teraz, pod naciskiem Unii i zagrożone utratą często wielkich pieniędzy, zaczynają się wycofywać z tego. **Pieniądze!**

SO: – Tak, tu się potwierdza teza Artura, że jeśli w grę wchodzą pieniądze, to nagle widzimy powrót na ziemię. Nie zapominajmy o roli popkultury, filmach braci Sekielskich, Smarzowskiego. To był fenomen Strajku Kobiet. Biskupi zdębieli, a takich konfrontacji będzie coraz więcej.

Nie martwię się szczególnie samym kryzysem Kościoła, bardziej mnie martwi polskie państwo, które takiej instytucji ulega, jest bezwolne, fasadowe.

AN: – Istotą tego tąpnięcia są jednak rosnące zasoby obywatelskie naszego społeczeństwa. Kościół drenuje i panuje niepodzielnie nad ludźmi, którzy na to pozwalają. Ale oni dzisiaj przestają na to pozwalać, nadchodzi nowe pokolenie. Język Jędraszewskiego jest czymś obciachowym. Kościół w niezauważalny dla siebie sposób stracił uprzywilejowaną pozycję w ludzkich sercach i myślach. W krakowskim seminarium studiuje dzisiaj sześciu kleryków. To jest zapaść. Jeszcze niedawno było to niewyobrażalne.

Episkopat nas tu raczej nie zaskoczy. Patrzę na tego bp. Rysia, który ma podobno aspiracje kardynalskie, ale kiedy na niego huknięto, bo coś tam liturgicznie nagiął, to podkulił ogon. Tam wciąż panuje reguła od czasów Wyszyńskiego: nigdy, pod żadnym pozorem nie krytykujemy się na zewnątrz. Nie można też zapomnieć, że mamy do czynienia z wąziutką grupą skrajnie uprzywilejowanych mężczyzn żyjących w pałacach, nieprzyzwyczajonych do konieczności konfrontowania swoich poglądów i zachowań ze światem zewnętrznym. Wożą ich, żywią, piorą skarpety. Po co to zmieniać? To nawet nie jest dziwne.

Opamiętanie w jakichś kręgach Kościoła nadejdzie, będą musieli zawalczyć, żeby ludzie do nich przychodzili. Każda władza absolutna kiedyś kapituluje.

Więcej katolików wie dzisiaj, że Kościół jest przeciw prezerwatywom i pigułce, niż że głosi zmartwychwstanie Chrystusa.

Roman Kurkiewicz
r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK/AGENCJA GAZETA, ALBERT ZAWADA/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl c897b7b470

Język, który pomaga zabijać

O polskich doświadczeniach w dehumanizacji

Kamiński czy Błaszczak po takiej prezentacji powinni z miejsca stracić posady, ale tak się nie stanie, bo runie cała konstrukcja obozu władzy.

Marcin Ogdowski

Na wspólnej konferencji prasowej ministrowie spraw wewnętrznych i administracji oraz obrony narodowej zaprezentowali materiały operacyjne pozyskane rzekomo od zatrzymanych na polsko-białoruskiej granicy uchodźców. „Służby (…) zidentyfikowały dowody na działalność pedofilską oraz dowody zoofilii", mówił Stanisław Żaryn, rzecznik Mariusza Kamińskiego. „Podjęliśmy decyzję, żeby udokumentować również ten wątek", wtórował mu przełożony, gdy na wielkim ekranie wyświetlano częściowo zamazane ujęcie mężczyzny kopulującego ze zwierzęciem. „Zgwałcił krowę, chciał dostać się do Polski?", zaalarmowała TVP Info. „Zabezpieczone materiały wskazują, że wśród uchodźców są narkomani, pedofile i zoofile", informowały wieczorne „Wiadomości".

Zagrożenie totalne

Dla porządku dodajmy, że podczas konferencji pokazano także inne „dowody" obciążające ujętych imigrantów, m.in. zdjęcia z brutalnych egzekucji, dokonanych gdzieś na Bliskim Wschodzie. O jakości materiałów najlepiej świadczy fakt, że zoofilski kadr okazał się fragmentem nielegalnego pornosa sprzed lat. Co więcej, występuje w nim nie krowa, ale klacz.

Sprawa może wydawać się zabawna i ilustrować kolejną kompromitującą wpadkę pisowskiej władzy. Lecz nie sposób przejść nad nią do porządku dziennego.

– Celem prezentacji było wywołanie poczucia zagrożenia totalnego – ocenia dr Maria Stojkow, socjolożka z Wydziału Humanistycznego AGH. – Obcy nie tylko zdolni są wyrządzić krzywdę mnie, moim bliskim, ale nawet żywemu inwentarzowi. Wpuszczenie ich do Polski to ryzyko dla wszystkiego, co posiadam, dla całego gospodarstwa. I nie ma większego znaczenia, że ów przekaz został poddany miażdżącej weryfikacji przez wolne media. W publicznej telewizji i radiu dalej wałkowano temat.

Muzułmańskie zagrożenie wraca w narracji PiS – opartej na najgorszych stereotypach – jak bumerang.

– Istnieje kilka grup, które nadają się do budowania wrażenia, że my, „normalni Polacy", żyjemy w warunkach oblężonej twierdzy – zauważa dr Stojkow. – Wciąż nie milkną echa nagonki na środowiska LGBT, lecz Arabowie, czy szerzej – muzułmanie, to obiekt idealny, bo bezbronny. W Polsce jest ich mało, a ci na granicy to niezorganizowana grupa. PiS umiejętnie to wykorzystuje.

Zaczęło się podczas kampanii parlamentarnej w 2015 r., która zbiegła się z poważnym kryzysem migracyjnym w Europie. Ponad milion osób, głównie Syryjczyków, szturmowało wówczas granice Unii Europejskiej. „Są już objawy (…) chorób bardzo niebezpiecznych i dawno niewidzianych w Europie: cholera na wyspach greckich, dyzenteria w Wiedniu, różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne. To nie oznacza, żeby kogoś dyskryminować. Ale sprawdzić trzeba", mówił Jarosław Kaczyński. Jego ugrupowanie postawiło sobie za cel niedopuszczenie do przyjmowania uchodźców w Polsce i… wygrało wybory.

– Słowa Kaczyńskiego sprawiły, że część ludzi zaczęła postrzegać uchodźców jako pasożyty – zwraca uwagę Maria Stojkow, widząc w tym jedną z tajemnic sukcesu PiS.

Podatność na manipulacje strachem nie jest tylko polską przypadłością i nie zależy od kontekstu kulturowego – przekonuje socjolożka i przypomina ludobójstwo w Rwandzie. Zaczęło się od tego, że Hutu nazywali Tutsi „karaluchami".

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

eprasa.pl c897b7b470

Dlaczego PiS sięga po takie środki? Bo może. – Edukacja w Polsce nie jest nastawiona na propagowanie treści antydyskryminacyjnych – wylicza dr Stojkow. – Nie mamy zatem nawyku reagowania na niestosowne praktyki. Państwo też nie reaguje, bo jest słabe – Kamiński czy Błaszczak po takiej prezentacji powinni z miejsca stracić posady, ale tak się nie stanie, bo runęłaby cała konstrukcja obozu władzy. No i opozycyjna część społeczeństwa chyba „wypaliła się obywatelsko". Skala rozmaitych wyzwań, jakie postawiło przed nią PiS, spowodowała ogromną mobilizację, ale skutki były i są mizerne. Przekonanie o nieskuteczności działań sprzyja wycofaniu i nie pomaga w tworzeniu odpowiedniej presji. A rozochocony rząd idzie dalej, co rusz przekraczając kolejne czerwone linie.

Islamofobia realna…

Lecz to nie PiS przecierało szlaki – w historii Polski po 1989 r. język pełnił już funkcje dehumanizujące muzułmanów. Identyczne procesy były udziałem służących w Iraku i Afganistanie polskich żołnierzy. Wobec drugiej strony nie używano określenia „nieprzyjaciel", „wróg". Oficjalnie Polacy walczyli z „przeciwnikami" czy „insurdżentami" (od ang. *insurgent* – powstaniec), nieoficjalnie – z „brudasami", „szmatogłowymi", „kozoj…" i – przede wszystkim – z „szuszfolami". Tej ostatniej nazwy używano zarówno w odniesieniu do rebeliantów, jak i wszystkich mieszkańców Iraku i Afganistanu. Słowo „szuszfol" wywodzi się z Pałuk, regionu na granicy Kujaw i Wielkopolski, i w tamtejszej gwarze oznacza człowieka niechlujnego i leniwego. Wojskowi stosowali je zamiennie z określeniem „arabus" – także w Afganistanie, niezamieszkanym przez Arabów.

Wojna w naturalny sposób sprzyja deprecjonowaniu przeciwnika. Złośliwe i lekceważące słownictwo odbiera mu cześć i powagę. A umniejszony w ten sposób nieprzyjaciel staje się wrogiem trochę mniej strasznym. Weźmy choćby popularne przed laty „szwaby", które – zarezerwowane w języku polskim dla Niemców – oznaczają również robactwo – coś obrzydliwego i zarazem dającego się pokonać. Bo właśnie wroga pozbawionego cech ludzkich czy tylko statusu „przyzwoitego człowieka" po prostu łatwiej się zabija. Czy wręcz „likwiduje", jak przez dłuższy czas mogliśmy czytać w oficjalnych komunikatach wysyłanych do Polski z Afganistanu.

Bazą dla dehumanizacyjnych praktyk językowych w Afganistanie była też frustracja. „Nie chce mi się z tobą gadać. Te małe gnojki spuściły nam dzisiaj wpier…", zbył mnie dowódca jednego z patroli, gdy po powrocie do bazy poprosiłem go o rozmowę. Ostatecznie nie pogadaliśmy, choć wyjaśnił mi, na czym owo lanie polegało. Otóż oddział już po wyjściu z wizytowanej wioski został ostrzelany z granatników RPG – szczęśliwie dla Polaków niecelnie. Centrum operacji taktycznych zabroniło kontrakcji i nakazało odwrót. Zbliżał się wieczór, dowództwo kontyngentu nie chciało ryzykować walki w ciemnościach. Usłyszawszy tę relację, wyobraziłem sobie chłopca szczypiącego olbrzyma. Bo dla większości Afgańczyków – ludzi z naszej perspektywy średniego i niskiego wzrostu – polscy żołnierze to naprawdę rosłe chłopaki. I mimo tej rosłości często bezsilne.

> Złośliwe i lekceważące słownictwo odbiera nieprzyjacielowi cześć i powagę. W ten sposób staje się on wrogiem trochę mniej strasznym.

Ale misyjny slang upokarzał też sojuszników. Żołnierz ANA (ang. Afghan National Army) nie zasługiwał na inne określenie niż „anals" lub „anusiak". Deprecjonowanie Afgańczyków do poziomu tylnej części ciała bądź śmiesznej postaci z kreskówki było efektem nie tylko kulturowego, ale i zawodowego poczucia wyższości. „My to byśmy dopiero zrobili zasadzkę…", skomentował latem 2009 r. jeden z polskich żołnierzy nieudaną akcję ANA. Inny śmiał się z „cudacznych czapek, mundurów i starych kałachów" afgańskiej armii. Dwa lata później pośród naszych wojskowych w Ghazni rekordy popularności bił filmik zarejestrowany rzekomo przez bezzałogowiec. Przedstawiał on mężczyznę w mundurze afgańskiej policji, kopulującego z kozą. „Oni do niczego innego się nie nadają", mówiono. Trudu weryfikacji materiału nikt się nie podjął.

…i platoniczna

Trzeba jednak zauważyć, że opisane zjawiska miały w większości charakter nieformalny. MON i dowództwa kontyngentów nie wspierały rasistowskich postaw. Dość wspomnieć, że z miejsca przystano na sugestię grupy dziennikarzy, by nie pisać o „likwidacji" rebeliantów. Konferencja Kamińskiego i Błaszczaka to już zupełnie inny poziom. Za jej sprawą język dehumanizacji uzyskał legitymizację. Dokąd nas to zaprowadzi? Karkołomna wydaje się teza, że rząd działa z intencją napędzania fizycznej przemocy wobec niechcianych cudzoziemców. Nikt przy zdrowych zmysłach z widłami na uchodźców nie pójdzie. Ale działaniom władz towarzyszy brak albo ignorowanie świadomości długofalowych skutków. Muzułmanie – rdzenni Polacy i obcokrajowcy – po 2015 r. mierzą się z coraz liczniejszymi przejawami przemocy. Dr Stojkow podaje przykład zrzucania chust z głów kobietom.

– Wielu moich znajomych z lękiem wsiada do autobusu – opowiada socjolożka. – Ciemniejsza skóra czy charakterystyczny element ubioru coraz częściej działają jak płachta na byka. Skutki można rozpatrywać na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, złe wieści idą w świat, karmiąc negatywne wyobrażenia o Polakach. Nasz kraj przez dekady cieszył się dobrą opinią na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Przyłączenie się do interwencji w Iraku rozpoczęło proces psucia reputacji. Rasistowska retoryka władz RP dopełnia obrazu zniszczeń na tym polu. Ale z poważniejszymi skutkami przyjdzie nam się mierzyć tu, w Polsce, gdzie rośnie w siłę platoniczna islamofobia. Platoniczna, bo większość Polaków nie zna muzułmanów, a jedynym punktem odniesienia jest dla nich powierzchowna relacja ze sprzedawcą kebabu. Niedostatek muzułmanów sprawi, że osoby skłonne do praktyk dyskryminacyjnych wezmą na celownik pozostałych „lekko innych".

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Rozmówki polsko-przygraniczne

W tym bagażniku żaden uchodziec by się nie zmieścił!

Elżbieta Podleśna

Poranny wjazd do zony.

Dwie posterunkowe, ładne, młodziuteńkie, ile mogą mieć lat, 20? Bardzo poważne, bardzo przejęte rolą.

– Cel podróży?

– Pieszowola koło Sosnowicy.

Nic im to nie mówi. Patrzą po sobie dość zdezorientowane. Blondynka podejmuje konwersację:

– Jaki ma pani eee... interes we Włodawie?

– Nie mam żadnego interesu. Chcę tylko przejechać na trasę lubelską.

Dalej nic. Teraz głos ma brunetka:

– Ale Włodawa jest w strefie stanu wyjątkowego i nie można wjeżdżać.

– Ja nie chcę wjeżdżać do miasta. Na pierwszym rondzie chcę zjechać w trzeci zjazd i na drugim też w trzeci. I już jestem na trasie lubelskiej.

– Ale do Włodawy nie wolno...

– Tak, tak, wiem, stan wyjątkowo żałosny. Tyle że, wie pani, raczej nie da się stąd inaczej wydostać, trzeba przejechać przez dwa ronda. Może zawołają panie waszego przełożonego?

Nie chcą. Chcą same. Chcą pokazać, jak dobrze wykonują swoje powinności. Zerkają w stronę radiowozu.

– Rozporządzenie o...

– Nawet na rozporządzeniu nie przefrunę na trasę lubelską – sarkam. – Jeżdżę tędy dwa razy dziennie, stan czy nie stan, i proszę mi nie utrudniać!

– Proszę pani, jesteśmy tu pierwszy dzień, widzimy panią pierwszy raz, skąd mamy wiedzieć, że pani codziennie...

– Może ja paniom dokumenty pokażę – lituję się.

– Tak, poprosimy.

– Proszę jechać.

•

Poranny wyjazd z zony. Uśmiechnięta pucołowata blondynka.

– Dokumenty poproszę. Yhy. To teraz bagażnik... Nie no – śmieje się jak mała dziewczynka – w tym bagażniku przecież żaden uchodziec by się nie zmieścił!

Przyglądam się jej bez cienia uśmiechu.

– Mnie to nie bawi. To są godni szacunku, pokrzywdzeni, zaszczuwani przez was ludzie. Wszelkie żarty na ich temat są nie na miejscu.

Odjeżdżam. Mogę się założyć, że patrzy za mną z rozchylonymi ustami.

•

Kontrole na wjeździe, kontrole na wyjeździe. W moim przypadku od czterech do sześciu dziennie. Czujki na wszystkich bocznych drogach prowadzących do granicy. A więc do wszystkich wsi i miasteczek leżących nad Bugiem. Setki funkcjonariuszy. Co chwilę mijasz radiowóz.

Włodawę i okolice od kilku dni obsługują policjanci z Kielc i Krakowa. Rzucają ich w nieznane tereny. Żeby nie zadzierzgnęły się więzi. Taka idea. To w większości młodzi chłopcy. Udają szeryfów. Stoją na tych wiejskich drogach z karabinami maszynowymi. Kryją twarze w kominiarkach. Są też dziewczyny, bardzo poważne i zasadnicze. Bywają dowcipnisie.

Policjanci na noc zjeżdżają do hoteli nad jezioro. Przed snem niektórzy biegają. Wczoraj jeden, facet po czterdziestce, ukłonił mi się, po czym wrócił do rozmowy z matką.

– No nie wiem, ile nas tu będą trzymać. Teoretycznie zmiana miała trwać do 3 października, ale już przebąkują, że dłużej...

•

Nocny wjazd do zony. Jestem wykończona. Chcę tylko, by było szybko.

– Dokumenty.

– Cel podróży.

– Bagażnik.

Rutyna.

•

Nocny wyjazd z zony. Ledwo już widzę na oczy, a oni stoją nad samą Włodawką, w najgęstszej mgle. Podchodzi młodziutki okularnik.

– Dokumenty. Pani miejscowa?

– Do pierwszych przymrozków.

Śmieje się nie wiedzieć z czego i na tym rechocie dowcipkuje:

– Nikogo pani w bagażniku nie schowała?

– Nie śmieszy mnie to.

– Tylko pytam – odpowiada naburmuszony.

Chce mi się płakać. Skąd oni wzięli te wszystkie dzieci?

FOT. MAŁGORZATA GENCA POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

•

Piąta śmierć mnie zmroziła.

Dziś tylko spotkania z policjantami.

Uśmiechnięty, uprzejmy, w średnim wieku.

– Dowód pani ma, OK, proszę jechać.

– Ale wie pan, że przez to, w jakim stylu pilnujecie, umierają ludzie?

– A to względem czego?

– A względem piątej śmierci. Już pięć osób zmarło, choć pewnie nie wiemy o wszystkich.

– Ale to na terenie Białorusi! To Łukaszenka! – uśmiech spełza.

– Wygodnie tak myśleć. Że kompletnie nie ma się z tym nic wspólnego. Inaczej by uwierało, nie?

– Proszę pani, mamy stan wyjątkowy...

– Wyjątkowo k…ski stan.

– Co pani powiedziała?!

– Brzydkie słowo.

– Proszę jechać! Nie tamować ruchu.

•

Młody, wysoki, zamaskowany. Widać tylko oczy, jeszcze bez żadnej zmarszczki wokół. Karabin maszynowy, wyglądający jak plastikowa zabawka z odpustu, dynda mu na brzuchu. Tuż przy mojej twarzy. Zaglądam w lufę.

– Po co to panu? – wskazuję na broń.

– Na wypadek nieprzewidzianych okoliczności – mówi z wyraźną dumą i dotyka pieszczotliwie giwery.

Mam dreszcze.

– Przecież zamorzycie ich chłodem i głodem. Nie musicie oddawać żadnego strzału. Już pięć osób w ten sposób umarło.

– Co pani nie powie.

– Ludzie umierają przez te wasze cyrki.

– Taaa, cyrki! Proszę jechać!

•

Sierżant, młody, niezdrowa cera. Kominiarka ściągnięta pod brodę.

– Cel podróży?

– Dziesięć metrów za panem.

– Pytam o cel podróży.

– Tamto drzewo po lewej stronie. Serio. I potem naprzód tą ścieżką.

– Pani tutejsza?

– Przez dłuższą chwilę. Mimo waszych prób umilenia mi życia. Ale co tam ja. Ludzie umierają przez wasze rozkazy i wzorową służbę.

– Jacy znowu ludzie?

– Zwyczajni. Mają głowy, nogi i ręce. Trochę ciemniejszą skórę. Inną religię. Mówią w niezrozumiałym języku. Ale są ludźmi. Już pięcioro ten wasz stan wyjątkowy uśmiercił.

– Jasne. Proszę wysiąść z auta i udostępnić przestrzeń bagażnikową.

– Proszę sprawdzać, bagażnik jest otwarty.

– Nie, ma go pani sama otworzyć. Jeszcze potem pani mnie oskarży, że zarysowałem albo ukradłem.

– Na pewno dlatego? A nie dlatego, że psuję panu dobre samopoczucie?

– Szerokiej drogi.

– Nie szerokiej. Stoicie uzbrojeni po zęby na wąskiej wiejskiej drodze, panowie bohaterowie.

– Dowód proszę.

– Oglądaliście już, nic się nie zmieniło, samochód stoi pod waszym bokiem.

– Jesteśmy druga zmiana. Cel podróży?

– Życie. Niestety pięcioro uchodźców już go nie uświadczy. Jesteście za to odpowiedzialni.

– Oni próbowali nielegalnie przekroczyć granicę!

– A wie pan, ilu Polaków w czasie komuny nielegalnie przekraczało granicę? Myśli pan, że nie udzielano im pomocy humanitarnej i spychano na bagna?

– Proszę ruszać.

Wychylam się jeszcze przez okno i krzyczę:

– Przykłada pan rękę do śmierci ludzi!

Odkrzykuje, zaperzony:

– Nieprawda! Wcale nie!

•

Zdarzają się też trochę inni, bardziej otwarci. Kiedy czuję szansę, wchodzę w interakcję. Jak dwa dni temu, w Sobiborze. Tuż za obozem zagłady.

– Cel podróży?

– Pieszowola.

– Skąd państwo jadą?

– Z obozu w Sobiborze.

– Z obozu...?

– Nie słyszał pan nigdy o Sobiborze?

– No jakoś nie.

– Wie pan, co to obóz zagłady?

– Tak. A gdzie to jest?

– Kilkadziesiąt metrów od pana. Za tymi drzewami. Te budynki to muzeum. Tymi torami wieziono Żydów na śmierć. A teraz po drugiej stronie torów zaczyna się strefa stanu wyjątkowego. To też strefa śmierci. Bo wie pan, że umarli już pierwsi uchodźcy? Z zimna i wycieńczenia. Widzi pan, jak historia się powtarza?

– Nie no, proszę pani, jednak jest jakaś różnica...

– Ale jaka? Żydzi nie mieścili się w koncepcji III Rzeszy, nie podobali się Niemcom, więc ich prowadzono na śmierć. Muzułmanie nie pasują Unii Europejskiej, więc pozwala się im umierać, odmawia pomocy humanitarnej. Na razie nie zabija własnoręcznie, ale to pewnie kwestia czasu... Strasznie mnie boli, że taki facet jak pan jest stawiany przez polityków w miejscu – niech pan się nie obrazi – w którym stał obozowy kapo...

– Wie pani, takie rozkazy. Proszę jechać i... I dziękuję za lekcję historii.

Kiedy wieczorem kładę się do łóżka, czuję, że każdy przejazd przez *check point* zabiera jakąś cząstkę mnie.

Bezpowrotnie.

Młody, wysoki, zamaskowany. Karabin maszynowy dynda mu na brzuchu. Tuż przy mojej twarzy.

Elżbieta Podleśna jest psycholożką, psychoterapeutką, działaczką społeczną, aktywistką na rzecz praw człowieka

eprasa.pl c897b7b470

Banaś uderza w Ziobrę

Sądy gospodarcze Bermudów i Rwandy oraz prawo rozwodowe Peru – czyli na co szła kasa z Funduszu Sprawiedliwości

Marek Czarkowski

„Lodziarnia", „Skarbonka Solidarnej Polski", „Mają rozmach s...syny!" – to najłagodniejsze komentarze internautów dotyczące informacji o wynikach kontroli NIK w nadzorowanym przez ministra Zbigniewa Ziobrę Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, popularnie nazywanym Funduszem Sprawiedliwości (w latach 2018-2019 pełnomocnikiem Ziobry ds. Funduszu Sprawiedliwości był obecny wiceminister Marcin Romanowski).

O tym raporcie krążyły legendy. Wiadomo było, że w funduszu szastano publicznymi pieniędzmi, za nic mając prawo i procedury. Lecz to, co ustalili i opisali na 206 stronach kontrolerzy NIK, dowodzi wręcz epickiego rozmachu ludzi Solidarnej Polski. „Działania ministra sprawiedliwości (dysponenta funduszu) oraz znacznej części beneficjentów umów dotacji skutkowały niegospodarnym i niecelowym wydatkowaniem środków publicznych, a także sprzyjały powstawaniu mechanizmów korupcjogennych", czytamy w raporcie.

W okresie objętym kontrolą, czyli od połowy 2017 r. do maja 2021 r., z 681,4 mln zł dotacji przyznanych ze środków funduszu jedynie 228,5 mln (34%) przeznaczono na pomoc świadczoną bezpośrednio osobom pokrzywdzonym przestępstwem i ich najbliższym, a 24,2 mln zł na pomoc postpenitencjarną. Reszta poszła na bardzo szeroko rozumiane przeciwdziałanie przyczynom przestępczości – fundusz zawarł 144 dotyczące tego umowy na kwotę 171 mln zł.

Na wsparcie np. ochotniczych straży pożarnych wydano 140,8 mln zł. Jednostki ochrony zdrowia otrzymały 32,4 mln zł. Budowa i wyposażenie ośrodka dla osób dorosłych przebywających w stanie śpiączki pochłonęła 37,2 mln zł.

Na lukratywne dotacje mogły liczyć podmioty o tak szlachetnych nazwach jak: Fundacja Profeto.pl – Sercański Sekretariat na rzecz Nowej Ewangelizacji, Fundacja Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Życia, Fundacja Mamy i Taty, Fundacja Lux Veritatis czy Fundacja Czyste Serca.

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu z pieniędzy funduszu sfinansował m.in. „Studium analityczno-praktyczne zapobiegania przestępczości w obszarze handlu dziećmi i surogacji" czy badanie „Alkoholowy Zespół Płodowy – badanie interdyscyplinarne i prawno-porównawcze".

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego zajął się ważniejszymi kwestiami, takimi jak: „Zasady kontroli biur kongresmenów/senatorów z ich statutowej działalności", „Aksjologiczne i prawne podstawy wspierania chrześcijan prześladowanych za wiarę oraz przeciwdziałania skutkom nietolerancji religijnej", „Prawa i wolności człowieka a przestępstwo niezatrzymania się do kontroli drogowej", a nawet „O potrzebie konstytucjonalizacji ochrony ojcostwa". Prawdziwym przebojem w dorobku naukowym UKSW są prace: „Wyspecjalizowane sądy gospodarcze w wybranych państwach pozaeuropejskich w zakresie Bermudów, Hongkongu, Kataru, Malezji, Rwandy" oraz „Perspektywy wprowadzenia włoskiego modelu asygnaty podatkowej do polskiego systemu finansowania związków wyznaniowych".

W ramach projektu badawczo-rozwojowego realizowanego przez Fundację Mamy i Taty powstały m.in. publikacje „Sposoby zapobiegania rozpadowi rodziny w Chorwacji: wskaźniki najważniejszych wartości gwarantujących sukces małżeński wg EVS 2008", „Ochrona trwałości małżeństwa i rodziny w prawie rozwodowym Peru" czy „Ochrona trwałości małżeństwa i rodziny w japońskim i chińskim prawie rozwodowym".

Instytut Wymiaru Sprawiedliwości prowadził monitoring mediów pod kątem sposobu prezentowania chrześcijan w środkach masowego przekazu. Analizą objęto m.in. portal Onet, „Gazetę Wyborczą", „Newsweeka", „Angorę", „Wysokie Obcasy". Powstało 35 opracowań odnoszących się do prześladowań i dyskryminacji chrześcijan w takich krajach jak Chile, Wenezuela, Francja i Chorwacja. Zajęto się też sposobem prezentowania chrześcijan w literaturze i sztukach teatralnych. W pracy „Przykłady uprzedzeń i stereotypów wobec chrześcijan w fantastyce" zestawiono przypadkowe treści książek Dana Browna, Stephena Kinga i Andrzeja Sapkowskiego. Wszystko za pieniądze podatników.

Ciekawym przypadkiem były fundacje, które podpisały umowy na świadczenie pomocy ofiarom przestępstw. Jak ustalili inspektorzy NIK, stały się one źródłem korzyści dla ich własnej kadry zarządzającej. Przykładem może być Fundacja Lex Nostra, która zleciła organizację lokalnych punktów pomocy (oraz pełnienie funkcji osoby pierwszego kontaktu) dziewięciu osobom w siedzibach prowadzonych przez nie kancelarii prawnych. Te same osoby występowały równocześnie w roli specjalistów udzielających porad prawnych i otrzymywały dwa niezależne wynagrodzenia.

Co więcej, trzej współpracownicy fundacji (w tym dwie osoby będące jednocześnie prawnikami) okazali się beneficjentami pomocy, występując jako osoby pokrzywdzone przestępstwem. Ze środków publicznych dofinansowano im nawet zakup środków czystości i higieny osobistej. A pierwszą osobą zaangażowaną, z dniem 1 lutego 2019 r., do realizacji zadań zleconych Fundacji Lex Nostra była… pani prezes zarządu Fundacji Lex Nostra. Za dyżury prezes fundacji w ciągu trzech miesięcy zapłacono 61,4 tys. zł, choć w tym okresie Fundacja nie udzielała jeszcze świadczeń osobom pokrzywdzonym. I nie był to koniec. Kontrolerzy trafili na dokumenty, z których wynikało, że fundacja nie realizowała samodzielnie powierzonych jej zadań wsparcia prawnego oraz psychologicznego udzielanego ofiarom przestępstw, zamiast tego zarząd fundacji zlecił je powiązanej osobowo i kapitałowo

FOT. TWITTER

eprasa.pl c897b7b470

Marcin Warchoł, kandydat Solidarnej Polski na prezydenta Rzeszowa, przed wyborami przekazał miejscowym jednostkom OSP środki z Funduszu Sprawiedliwości.

spółce z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie… Lex Nostra.

Co najciekawsze, w dniu podpisania umów na świadczenie pomocy prawnej i psychologicznej prezesem spółki Lex Nostra była pani prezes zarządu Fundacji Lex Nostra, a oba podmioty mieściły się pod tym samym adresem.

Inspektorom nie spodobało się też, że fundacja w listopadzie i grudniu 2019 r. zapewniała w tym samym lokalu zakwaterowanie ofiarom przestępstw i osobom opuszczającym areszt śledczy lub zakład karny. NIK uznała, że przebywanie na terenie tej samej nieruchomości ofiar i sprawców czynów karalnych lub osób oskarżonych o takie czyny mogło skutkować wtórną wiktymizacją pokrzywdzonych. Ale kto by się tym przejmował.

Wielką biegłością w czerpaniu publicznego grosza, którego źródłem był Fundusz Sprawiedliwości, wykazali się członkowie i kierownictwo radomskiego Stowarzyszenia Hojne Serce. Wiceprezesem zarządu stowarzyszenia, udzielającym w ramach projektu konsultacji prawnych, okazał się syn prezesa stowarzyszenia. Drugi syn prezesa S., będący członkiem komisji rewizyjnej stowarzyszenia, pełnił jednocześnie całodobowy dyżur telefoniczny. Synowa prezesa Hojnego Serca także pełniła całodobowy dyżur telefoniczny. Ponadto w ramach prowadzonej działalności gospodarczej sprzedawała stowarzyszeniu bony żywnościowe i towarowe, które były przekazywane beneficjentom pomocy.

Joanna B., członek stowarzyszenia – prywatnie partnerka wiceprezesa zarządu – z jego upoważnienia zawarła z nim w imieniu stowarzyszenia umowę na udzielanie beneficjentom konsultacji prawnych.

W raporcie znalazła się też wzmianka o trzech siostrach: Izabeli, Marcie i Magdalenie G., które bynajmniej nie społecznie pracowały w Hojnym Sercu, najwyraźniej realizując hasło „Rodzina na swoim".

Uwagi inspektorów NIK o tym, że dokumentacja księgowa Funduszu Sprawiedliwości i niektórych beneficjentów rażąco odbiegała od standardów przyjętych w naszym kraju, to oczywistość. W raporcie nie ma wzmianki o politycznych powiązaniach tych, którzy brali kasę, z tymi, którzy ją dzielili. To zajęcie dla dziennikarzy. Detale dotyczące tej kwestii mogą się okazać najciekawszym efektem kontroli w Funduszu Sprawiedliwości.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

NAGRODA SAMORZĄDOWA im. Norberta Barlickiego

Przyznane zostały Nagrody Samorządowe im. Norberta Barlickiego za lata 2020 i 2021. Kapituła, której przewodniczył prezydent Aleksander Kwaśniewski, a sekretarzem był Jan Kazimierz Czubak, postanowiła, że **laureatami za rok 2021 zostali:**

- w kategorii Całokształt Działań na rzecz Samorządu Terytorialnego – **Andrzej Kunt, burmistrz Kostrzyna nad Odrą**
- w kategorii Samorząd Miejski – **Łukasz Komoniewski, prezydent Będzina**
- w kategorii Samorząd Powiatowy – **Krzysztof Nowak, członek Zarządu Powiatu Kłobuckiego**
- w kategorii Jednostka Samorządu Terytorialnego – **miasto Gostyń**
- w kategorii Organizacja Pozarządowa – **Stowarzyszenie Króla Kazimierza Wielkiego**
- w kategorii Firma Przyjazna Samorządowi – **Instytut Heweliusza sp. z o.o. z Wrocławia**

W kategorii Samorząd Województwa kapituła postanowiła nagrody nie przyznawać.

Laureatami za rok 2020 są natomiast:

- w kategorii Całokształt Działań na rzecz Samorządu Terytorialnego – **Zygmunt Frankiewicz, senator RP, prezes Związku Miast Polskich**
- w kategorii Samorząd Miejski – **Beata Moskal-Słaniewska, prezydent Świdnicy, członek zarządu Związku Miast Polskich**
- w kategorii Samorząd Powiatowy – **Krzysztof Romankiewicz, starosta zielonogórski**
- w kategorii Samorząd Województwa – **Edward Fedko, radny Sejmiku Województwa Lubuskiego**
- w kategorii Jednostka Samorządu Terytorialnego – **miasto Malbork**
- w kategorii Organizacja Pozarządowa – **Towarzystwo Przyjaciół Będzina**
- w kategorii Firma Przyjazna Samorządowi – **PIRK Tor-Krak sp. z o.o. z Krakowa**

eprasa.pl c897b7b470

Prywatna Partia Czarzastego

Jednoczenie lewicy przez rozbijanie

Robert Walenciak

Rozmawiam z delegatami, którzy będą na kongresie zjednoczeniowym lewicy 9 października. Pytam, jak to będzie wyglądało. Nie ma co ukrywać, rozmowa idzie topornie. Ale coś mówią – to ma być krótki kongres. Stadion Narodowy, 1,2 tys. osób. I wszystko jak w teledysku. Ciach, ciach, szybki wybór przewodniczących, oklaski, radość. I koniec. I ochroniarze. Będą pilnować, żeby nie wszedł ktoś zawieszony.

A poza tym nie wiadomo, czy kongres w ogóle będzie. Bo przecież w każdej chwili z powodu pandemii może być odwołany.

Dlaczego formuła na szybko? „Rozmawiałem z człowiekiem od Czarzastego. Tłumaczył, że takie teraz czasy – opowiada jeden z delegatów. – Że wszystko robi się dla telewizji, a telewizja nie chce dłużyzn. Chce newsa. I takim będzie wybór liderów. Koniec, kropka".

Te słowa prowokują proste pytanie, czy mój rozmówca w takie wyjaśnienia wierzy. W odpowiedzi słyszę: „Przecież wiadomo, że chodzi o coś innego". To o co chodzi? Po pierwsze, o władzę. Władzę w partii.

O tę władzę tak zaciekle walczy Czarzasty. Zaciekle, bo łamiąc statut partii, i to wielokrotnie. Gdyby nie łamanie statutu, już by przewodniczącym nie był. I z Prywatnej Partii Czarzastego byłyby nici. On o tym dobrze wie.

•

To zresztą wie każdy, bo spór w Nowej Lewicy, czyli w SLD, od kilku miesięcy toczy się przy podniesionej kurtynie. Dlatego wiemy, że Włodzimierz Czarzasty nie ma w swojej partii większości. Że w każdym gremium przegrywa. Nie ma większości w zarządzie partii – dlatego zawiesił tych, którzy mu się sprzeciwiali. To działanie w Polsce niespotykane, żeby przewodniczący partii zawieszał, kogo chciał i kiedy chciał.

Czarzasty nie ma też większości w radzie krajowej. Dlatego przestał ją zwoływać, choć powinien to robić, bo statut mówi, że powinna być zwoływana co najmniej raz na trzy miesiące. Ostatnia rada krajowa zebrała się w czerwcu.

Nie ma także większości w partii, więc – ignorując uchwały – nie zwołał Konwencji Nowej Lewicy. Tej, która była w roku 2019 i nie została zamknięta. Czarzasty miał zwołać drugą jej część, ale tego nie zrobił. Bo większość delegatów byłaby przeciwko niemu i odebrałaby mu władzę.

Dodajmy jeszcze tytułem wyjaśnienia – jeśli chodzi o zwoływanie ciał statutowych, to rola przewodniczącego jest techniczna. Ma zwołać, bo ktoś musi to zrobić. Ale on tego nie zrobił…

Czarzasty dba o to, by na kongresie nie pojawiły się osoby, które mogłyby mu zagrozić.

Ponieważ Czarzasty nie ma w partii poparcia i złamał jej wewnętrzne przepisy, parł w ostatnich tygodniach do zjednoczenia Nowej Lewicy z Wiosną. Tak aby powstała nowa partia, nowe ciało. Wtedy to wszystko, co robił, stanie się nieważne.

•

Ale jeśli nie ma większości w partii, dlaczego nie obawia się kongresu zjednoczeniowego? To złe pytanie – prostują moi rozmówcy – on się obawia. Dlatego starannie do kongresu się przygotowuje. Delegatów na kongres wybierają rady wojewódzkie, Czarzasty jeździ więc po Polsce, uczestniczy w posiedzeniach rad i tam pilnuje, by wybierano właściwych ludzi.

Piszę te słowa w piątek, więc jeszcze przed posiedzeniem rady mazowieckiej. Rada ta została zwołana w ostatnim możliwym terminie i od razu narzucono jej sposób wyboru delegatów. Określono, że każdy powiat będzie mógł wysłać na kongres zjednoczeniowy 14 ludzi. Co to oznacza w praktyce? Ano to, że licząca 700 członków organizacja warszawska (a Warszawa jest powiatem) będzie miała tyle samo delegatów co organizacje ze wschodniego Mazowsza, liczące po kilkunastu członków. Do tego mają oni być wybierani przez szefa struktur mazowieckich, poplecznika Czarzastego.

Dodajmy jeszcze jedno – organizacja warszawska, największa w partii, jest zdecydowanie przeciwna Czarzastemu. To ognisko buntu. Ale takim prostym zabiegiem z liczbą delegatów jej wpływ został ograniczony do zera.

•

Jest kolejny trik, który przewodniczący wymyślił, by kongres odbył się po jego myśli. Otóż nie dopuszcza do niego osób, które mogłyby mu zagrozić. Są na to dwa sposoby.

Pierwszy to zawieszanie niewygodnych działaczy. Trwa od lata, od nieszczęsnego posiedzenia zarządu, które było przenoszone i na które wpuszczali ochroniarze. Potem przewodniczący część działaczy odwiesił, część nie. Oczywiście za cenę upokorzenia odwieszanego.

Drugi sposób to nieprzyjęcie do nowej partii. O co w tym chodzi? W statucie jest zapis, że nową partię tworzyć będą frakcje. I przed zjednoczeniem trzeba będzie do którejś frakcji się zapisać. Ale jest również zapis, że przewodniczący frakcji może aplikującego działacza nie przyjąć. I tak też się działo. W ten prosty sposób zostali wyeliminowani wszyscy ci, których przewodniczący uznał za zagrożenie. Na przykład Andrzej Rozenek. Oficjalnie dlatego, że krytykował rozmowy Czarzasty-Morawiecki i mówił, że takie paktowanie, w tajemnicy przed zarządem partii, szkodzi lewicy. Ale chyba ważniejszym powodem było to, że Rozenek

eprasa.pl c897b7b470

We władzach fundacji SLD znaleźli się m.in. Włodzimierz Czarzasty, Anna-Maria Żukowska i Marcin Kulasek.

zgłosił swoją kandydaturę na szefa partii, zapowiedział, że 9 października będzie kandydował. Żeby więc nie kandydował, nie został wpuszczony do nowej partii.

Trochę inaczej potoczyła się sprawa Joanny Senyszyn. Sekretarz generalny Marcin Kulasek skierował przeciw niej do sądu partyjnego skargę, że „przekracza granice krytyki szefa partii". A sąd partyjny, w niepełnym składzie, odebrał jej bierne prawo wyborcze, więc nie będzie mogła w nowej partii na żadne stanowisko kandydować. To wydarzenie, jego absurdalność, Joanna Senyszyn komentowała w sieci: „Czego się boi Czarzasty? Co zbroił, że łamie prawo, byle nie dopuścić do demokratycznych wyborów w partii? Dlaczego pozbywa się wszystkich ewentualnych kandydatów na współprzewodniczącego Nowej Lewicy? Po wyeliminowaniu Treli i Rozenka postanowił pozbyć się mnie. Rękami sekretarza Kulaska skierował do sądu partyjnego wniosek o zakaz pełnienia przeze mnie partyjnych funkcji przez rok za rzekome przekroczenie granic krytyki szefa partii, w tym, cyt. z aktu oskarżenia, za pomocą słów powszechnie uważanych za obraźliwe: »dyktator«, »dyktatorek«, »zamordyzm«, »niebywały skandal«, »szaleństwo«, »zamordystyczne rządy«, »zamordystyczna partia«.

Przewodniczący Czarzasty w swoich publicznych wystąpieniach nagminnie używa słów naprawdę zaliczanych do obraźliwych, a mianowicie: »mendy«, »mendziarstwo«, »głupawy«, »głupi«, »cipa«, »śmierdzący«, »zatęchły«, »kurwić«, »kurwa«, »świnia i menda«, »debil«, »cham«, »idiota«, »bandyta« (zestawienie w załączeniu). Czy powinnam wystąpić o ukaranie Czarzastego za obniżanie prestiżu partii, bo o sobie mówił, choć nie bez racji ;) »bufon i dupek«?".

Oczywiście wiadomo, że w tym całym wniosku chodziło o pozbycie się Senyszyn, o to, żeby nie przyjechała do Warszawy i nie wygłosiła jakiegoś niespodziewanego przemówienia. A to, jak został on sformułowany, to już efekt inteligencji Marcina Kulaska.

Z kilkoma zawieszonymi prowadzone były rozmowy. Tłumaczono im, że awantura szkodzi lewicy. Dla części był to ważny argument, mi.in. dla Bogusława Wontora, posła z województwa lubuskiego. W pewnym momencie Wontor zadzwonił do Czarzastego, by sprawę wyjaśnić, i nagrał mu się na sekretarkę, że jest gotów się dogadać. „Potem Czarzasty wszystkim puszczał to nagranie i mówił, jak to buntownicy pękają", relacjonował jeden z moich rozmówców.

Ten przypadek jest bardzo ciekawy, bo w sprawie swojego zawieszenia Wontor udał się do sądu powszechnego. Kiedy zostanie ona rozpatrzona, tego nikt nie wie. Ale na razie sąd wydał orzeczenie o zabezpieczeniu powództwa, czyli zawiesił zawieszenie i Wontor będzie mógł być na kongresie.

•

Przy tych wszystkich przepychankach związanych z wyrzucaniem ludzi z partii, z zastraszaniem, umyka pewna istotna sprawa. Jak w demokratycznym państwie można było uchwalić statut partii, który całą władzę oddaje w ręce przewodniczącego? Krzysztof Podgórski, który również nie został wpuszczony do nowej partii, ma interesujące podejrzenia. Że inny statut został przez konwencję SLD w 2019 r. przyjęty, a inny trafił do sądu. „Mam swoje notatki – mówi. – Mam kopię roboczą statutu sprzed konwencji. Z zaznaczonymi poprawkami. I widzę to, co jest teraz. Obecny statut nie zawiera wielu zapisów, które zgłaszaliśmy i które zostały przyjęte". Podobnie zresztą mówi wielu innych działaczy.

Konwencja w 2019 r. odbywała się w warszawskim hotelu Gromada, w tym samym hotelu była także konwencja Wiosny, chodziło o to, by obie zakończyły się decyzją o połączeniu i można było hucznie to ogłosić. Kłopot był jednak w tym, że statut SLD precyzował, jak powinna wyglądać procedura rozwiązania partii bądź połączenia jej z inną. Dlatego, żeby to obejść, Czarzasty zaproponował zmianę statutu. A z drugiej

FOT. FOTONEWS/FORUM

eprasa.pl c897b7b470

strony, żeby zapewnić Wiośnie, że nie rozpłynie się w Sojuszu, wymyślono zapis o dwóch frakcjach.

Podgórski bardzo dobrze to pamięta: „Mówiono wówczas, że każda frakcja będzie wybierała swojego przewodniczącego. Oddzielnie. Żebyśmy nie zdominowali Wiosny. A teraz okazuje się, że będą wybory wspólne, czyli że Wiosna będzie nam wybierać przewodniczącego. Zapewniano poza tym, że przejście do frakcji będzie automatyczne: byłeś w SLD, więc jesteś we frakcji SLD, tak miało być. Tymczasem nagle okazało się, że przewodniczący frakcji może przyjąć kandydata lub go odrzucić. I to bez żadnych instancji odwoławczych. Tak się składa, że prowadziłem bardzo dokładne notatki dotyczące statutu, kolejnych propozycji i tego, jak nad nimi głosowano. I z tym, co jest, sporo rzeczy się nie zgadza".

Cóż więc się stało podczas konwencji? Jej uczestnicy niechętnie dziś o niej opowiadają. „Był ogólny bałagan – to jedna z relacji. – Wiosna już skończyła obrady i czekali na nas. A u nas była dyskusja. W pewnym momencie Czarzasty wszedł na trybunę i dramatycznie wołał, że przed nami epokowa rzecz, zjednoczenie lewicy, a my dywagujemy. Że trzeba kończyć. No i nas przekonał. Myśleliśmy, że tak właśnie trzeba. Kto miał w głowie sprawy statutu?".

„Gdy już ten statut był w sądzie, mówiliśmy Czarzastemu, by pokazał nam jego kopię – opowiada z kolei Podgórski. – Zawsze się wykręcał. Że pandemia, że sąd zamknięty, że kiedy indziej… I tak to trwało".

•

Jak zatem kongres zjednoczeniowy będzie przebiegać? Czy według ustaleń wszystko pójdzie szybko, żeby nie było czasu na dyskusję, na refleksję itd.? Żeby nie gadano o programie nowej, zjednoczonej partii? Bo takie jest właśnie założenie.

Czarzasty wypchnął z nowej partii tych, którzy zgłaszali ambicje kandydowania. Ale przecież ma prawo się obawiać, że jest jakaś grupa, która dogaduje się w tajemnicy (żeby nie zostać zawieszonym), a ujawni się na kongresie i zgłosi swojego kandydata. Wówczas mogą się zdarzyć rzeczy nieprzewidziane. Żeby więc temu zapobiec, jest plan, by kongres był krótki. Półtorej godziny, góra dwie. Tak żeby nikt z żadnym spiskiem nie zdążył.

Podobne obawy są zresztą wśród zwolenników Biedronia. Posłowie Wiosny w wielu przypadkach ściągali delegatów z łapanki – nikt do końca nie będzie wiedział, jak się zachowają i jak zagłosują. A wzięło się to stąd, że tej partii po prostu nie ma. Nawet w dużych miastach. Na przykład w Toruniu w SLD były 283 osoby, a w Wiośnie – siedem. Ale jedni i drudzy będą mogli wysłać na kongres po sześciu delegatów.

•

Nasuwa się pytanie, dlaczego Włodzimierz Czarzasty tak zabiega o utrzymanie władzy w partii. O co mu chodzi? Bo trudno przypuszczać, że o zmienianie Polski. Lewica Czarzastego i Biedronia to projekt, który na razie jest źle oceniany przez wyborców. Takie ugrupowanie może liczyć na ok. 7% poparcia, choć w roku 2019 wspólna lista lewicy miała 12,5% głosów. A to oznacza, że Nowa Lewica zdobędzie ok. 15-20 mandatów, czyli do Sejmu załapią się tylko niektóre jedynki z list.

Taka siła, owszem, przy dobrych układach może być dopuszczona do władzy, albo z PiS, albo z PO (to sprawa dla Czarzastego drugorzędna), dostając jedno czy dwa ministerstwa. Ale nie ma szans, by zyskała wpływ na jakieś sprawy programowe.

Ale może o to chodzi? Może dlatego warto partię wyczyścić z osób znanych, mających własne zaplecze, żeby później robić z nią to, co się chce? A taki manewr łatwo tłumaczyć – że właśnie trwa proces czyszczenia partii z PZPR-owskich złogów, że otwiera się szansa dla młodych, że następuje proces odmładzania partii…

•

Jest jeszcze jeden trop, który wskazują działacze lewicy. Otóż rok temu powołana została do życia fundacja Sojusz Lewicy Demokratycznej. Na jej czele stanął Marcin Kulasek, a w radzie znaleźli się m.in. Włodzimierz Czarzasty i Anna-Maria Żukowska. Oficjalnie fundacja jest po to, żeby nikt w przyszłości nie zawłaszczył nazwy i znaku SLD. Ale może posłużyć do innych celów. Nasi rozmówcy przypominają, że lewica wciąż dysponuje sporym majątkiem. Są to nieruchomości w różnych miastach Polski. Na przykład kamienica na rynku w Rzeszowie, w której mieści się siedziba partii, czy w Kielcach, położona przy głównej ulicy… W poprzednich wyborach pod zastaw nieruchomości SLD otrzymywał bez problemów 4-5 mln zł pożyczki, teraz ceny poszły w górę. Innymi słowy, Czarzasty wybiera wariant *win-win*. Jeżeli zdobędzie dobry wynik w wyborach, będzie walczył o dobre ministerstwo lub dwa. Jeżeli wybory pójdą jego partii kiepsko – spróbuje się uwłaszczyć na resztkach po SLD. Majątek będzie można wyprowadzić do fundacji, np. tłumacząc, że trzeba myśleć o miejscach pracy dla zasłużonych działaczy albo że trzeba budować własne media. I pokazywać – że Srebrna, że PSL…

W zderzeniu z zaprawionymi w bojach działaczami taki manewr nie przejdzie. Ale gdy ich miejsce zajmą osoby z trzeciego rzędu… Dlatego – tłumaczą moi rozmówcy – Czarzasty tak twardo gra o władzę w partii. Gdyby chodziło o samą politykę, grałby bardziej miękko, szukał sojuszników, chciałby być otwarty na nowe środowiska, troszczył się o dobrą opinię. Tymczasem tego nie ma. Jest prosta gra, żeby osiągnąć jak największą władzę, żeby zbudować Prywatną Partię Czarzastego. I tyle.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Jak w demokratycznym państwie można było uchwalić statut partii, który całą władzę oddaje w ręce przewodniczącego?

W Toruniu w SLD były 283 osoby, a w Wiośnie – siedem. Ale jedni i drudzy będą mogli wysłać na kongres po sześciu delegatów.

eprasa.pl c897b7b470

Anna Brzeska

Kobiety górą

Patriarchat powoli umiera, ale konserwatywni politycy wciąż sporo zyskują na jego pokazowej obronie

„W kryzysie świata mężczyzn przyszedłem na świat", śpiewa mój ulubiony wokalista młodego pokolenia, Krzysiek Zalewski.

Wojciech Eichelberger w wywiadzie dla „Dużego Formatu" idzie jeszcze dalej. Twierdzi, że ów „kryzys" to eufemizm, mamy raczej do czynienia z „egzystencjalnym dramatem męskiej połowy ludzkości", w którym mężczyźni czują się zagrożeni i detronizowani, przez co zwracają się w stronę konserwatyzmu jako szansy na ratowanie starego porządku.

– Przeżywasz egzystencjalny dramat jako mężczyzna? – pytam swojego partnera, wyciągającego właśnie pranie z pralki.

– Co?

– Eichelberger mówi, że przeżywacie dramat. Egzystencjalny. Jako mężczyźni.

Okraszona wybuchem śmiechu odpowiedź nie nadaje się do publikacji. Cóż, z perspektywy kogoś, kto nigdy nie był beneficjentem patriarchatu, kto od zawsze sam prasuje swoje koszule i nie pyta żony, gdzie znajdzie czyste skarpety, wywody o „męskim kryzysie" mogą się wydawać czczą gadaniną dla nudzącej się warszawki.

Kłopot w tym, że Eichelberger ma rację, mężczyźni o konserwatywnym światopoglądzie mają powody, by się obawiać. Przede wszystkim: utraty dostępu do kobiet oraz zakończenia ery męskiej dominacji w sprawowaniu władzy.

Kobieta – wykształcona, niezależna, szefowa

Ze statystyk wiemy, że kobiety coraz bardziej dbają o swoje wykształcenie i kwalifikacje zawodowe. Jeszcze w 1995 r. odsetek mężczyzn i kobiet z wyższym wykształceniem (w przedziale 15-64 lata) w Polsce był niemal równy – 7,8% dla mężczyzn i 7,6% dla kobiet. W miarę upływu lat proporcje zaczęły się zmieniać, a krzywe rozjeżdżać: w 2010 r. mieliśmy już 16% panów i 22,8% pań z wyższym wykształceniem. Dekadę później liczby wyglądają tak: 23,4% mężczyzn i aż 34,5% kobiet może się pochwalić uczelnianym dyplomem.

Rośnie również liczba kobiet na stanowiskach kierowniczych. Według raportu „Women in Business 2017" firmy audytorsko-doradczej Grant Thornton kobiety w Polsce zajmują już ok. 40% stanowisk kierowniczych w firmach. Choć eksperci wskazują, że udział kobiet w sprawowaniu władzy w przedsiębiorstwach rośnie zbyt wolno, tego zjawiska nie da się nie zauważyć.

Sposoby widzenia świata przez młode kobiety i młodych mężczyzn rozjeżdżają się w przeciwnych kierunkach.

Jednocześnie zmniejsza się (ale wciąż jest palącym problemem!) tzw. *gender gap* – luka płacowa między płciami, czyli różnica między średnimi godzinnymi wynagrodzeniami brutto. W 2019 r. wynosiła ona 8,5% – pięć lat wcześniej było to powyżej 11%. Dodatkowo transfer socjalny w postaci 500+, wzrost płacy minimalnej i zmiany w prawie alimentacyjnym (wyższe progi dające możliwość skorzystania z Funduszu Alimentacyjnego i zasada „złotówka za złotówkę" w wypadku osób, które nie spełniają kryterium w 100%, możliwość uzyskania tzw. alimentów natychmiastowych) sprawiły, że dziś kobietom stosunkowo łatwiej jest uniezależnić się ekonomicznie od mężczyzn, podjąć decyzję o rozstaniu lub rozwodzie – czy choćby walczyć o równy podział obowiązków. Własne pieniądze, a wraz z nimi odwaga powiedzenia panom „nie", stały się ich silną kartą przetargową.

Tendencje te potwierdzają liczby – niemal 70% pozwów rozwodowych składają kobiety. Według raportów

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c897b7b470

GUS w latach 70. XX w. proporcje wynosiły mniej więcej 50 na 50.

Kobietom w uwolnieniu się od przemocowych czy toksycznych partnerów pomagają także zmiany w Kodeksie postępowania cywilnego oraz Ustawie o policji, które weszły w życie w 2020 r. Dzięki nim służby mundurowe mają możliwość wydania decyzji o natychmiastowym opuszczeniu mieszkania przez sprawcę przemocy na 14 dni – w tym czasie osoby doświadczające przemocy mogą uzyskać sądowe zabezpieczenie w postaci dalszego nakazu opuszczenia mieszkania lub zakazu zbliżania się. Biorąc pod uwagę to, że sprawcami fizycznej przemocy częściej są mężczyźni, właśnie oni mogą być z tych zmian niezadowoleni.

Niezależność kobiet rośnie też dzięki cyfryzacji i coraz szerszemu dostępowi do informacji. W facebookowych grupach skupiających matki czy kobiety w ogóle nie brakuje próśb o pomoc, wsparcie bądź wskazówki dotyczące rozstania, rozwodu, samodzielnego macierzyństwa. Dziewczyny skarżą się nie tylko na przemoc ze strony partnerów, ale i na zaniedbywanie przez nich domowych obowiązków, brak zaangażowania w wychowanie dzieci, uzależnienie od gier komputerowych lub pornografii. Fragment postu znalezionego na popularnym forum: „Jestem w 14. tygodniu ciąży, a muszę wszystko robić sama, pracuję do 15, po pracy wracam do domu, sprzątam, gotuję, piorę, wyprowadzam zwierzęta... Mój mąż, jak ma na 13 do pracy, wstaje o 11, ubiera się i jedzie do swoich rodziców do domu, tam mamusia mu robi śniadanko (...). Zostawia wszystko, tak jak wstał, rozwalone łóżko, brudne ciuchy przy łóżku, ja nie mam już po prostu siły". Takich skarg można w sieci znaleźć tysiące.

Skarżą się też oczywiście mężczyźni. Tyle że to kobiety częściej odchodzą – panowie mają więc powód, by czuć się zagrożeni. To również kobiety jako użytkowniczki internetu częściej stawiają na komunikację z innymi (raport Sotrender z 2015 r.), częściej używają Facebooka. Kobiece grupy, kręgi czy fora pomagają nie tylko w znalezieniu informacji o przysługujących nam prawach, ale i stanowią miejsca, gdzie dziewczyny wzajemnie się inspirują, zagrzewają do walki o lepsze życie bez kiepskich partnerów. W erze przedinternetowej uzyskanie tego rodzaju wsparcia było ograniczone wyłącznie do kręgu najbliższych znajomych – a jeśli akurat były to osoby o konserwatywnych poglądach, znacznie częściej można było usłyszeć: „To twój mąż, macie dzieci, jakoś wytrzymasz". Sieć rozszerzyła kobietom bazę kontaktów i pokazała, że nie są same ze swoimi problemami.

Do listy przyczyn męskich zmartwień dochodzi jeszcze jedno – rozczarowane partnerami rodakami. Polki coraz częściej wychodzą za obcokrajowców.

Konfederacja odrzuconych macho

Lęki i obawy to zawsze atrakcyjny towar dla sił politycznych. Z ofertą dla panów od lat przychodzą więc konserwatyści. Spójrzmy choćby na „Nowy Porządek", czyli zbiór tez przygotowanych przez komitet wyborczy Krzysztofa Bosaka z Konfederacji, gdzie sprawa została postawiona jasno: podstawowym celem małżeństwa ma być posiadanie dzieci, a prawo powinno się opierać na normach chrześcijańskich oraz uwzględniać różnice w naturze kobiet i mężczyzn. Święte księgi chrześcijan mówią zaś wyraźnie: kobieta to dodatek do mężczyzny, powstała z jego żebra. To mężczyzna, Mojżesz, otrzymuje od Boga dziesięć przykazań na Górze Synaj – kobiety występują w nich w jednym szeregu z niewolnikami i rogacizną. Co więcej, w „Nowym Porządku" to uznanie ojcostwa za szczególną wartość zostało zapisane pogrubioną czcionką. Konfederacja ma w ofercie poza tym kontrolowanie kobiecej płodności poprzez zakaz aborcji.

W wyścigu o tę grupę potencjalnych wyborców pola nie oddają partie Zjednoczonej Prawicy, dla których obrona tzw. tradycyjnej rodziny stała się już sztandarowym hasłem. Ukoronowaniem tych działań stało się powołanie na stanowisko ministra edukacji Przemysława Czarnka, autora słynnego już stwierdzenia: „Kariera w pierwszej kolejności, a później może dziecko – prowadzi to do tragicznych konsekwencji. Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez pana Boga powołana". Równie popularne stały się słowa doradcy ministra, Pawła Skrzydlewskiego, dla którego „kluczowe jest właściwe wychowanie kobiet, a mianowicie ugruntowanie dziewcząt do cnót niewieścich". To ostatnie stwierdzenie stało się hitem, z którego śmieją się setki tysięcy internautów.

Kłopot w tym, że sprawa wcale nie jest zabawna. Prawicowe poglądy w 2021 r. ma według CBOS aż 36% młodych mężczyzn – a jednocześnie aż 40% kobiet deklaruje poglądy lewicowe. Z kolei maleje liczba osób o przekonaniach centrowych – sposoby widzenia świata przez młode kobiety i młodych mężczyzn rozjeżdżają się więc w przeciwnych kierunkach. Choć trudno powiedzieć, ilu z nich jest skrajnymi radykałami, jedno jest pewne: frustracja mężczyzn spowodowana odrzuceniem (lub lękiem przed odrzuceniem) przez coraz bardziej niezależne, coraz lepiej wykształcone dziewczyny o feministycznych poglądach znajduje potwierdzenie w internetowych trendach.

Konserwatywni mężczyźni mają powody, by się obawiać utraty dostępu do kobiet i zakończenia męskiej dominacji w sprawowaniu władzy.

Incele kontratakują

Jednym z nich jest ruch czy środowisko tzw. inceli (od ang. *involuntary celibacy*, mimowolny celibat), czyli samotnych mężczyzn o radykalnie prawicowych poglądach, złączonych przekonaniem, że za ich nieatrakcyjność dla żeńskiej części świata odpowiedzialne są kobiety, stawiające mężczyznom zbyt wysokie wymagania co do ich wyglądu i statusu materialnego. Subkultura dorobiła się już nawet specyficznego słownika określeń, zwykle pochodzących z języka angielskiego. Przykładowo: *Chad* to facet, który jest obiektem pożądania kobiet (i celem ich internetowych poszukiwań na portalach randkowych) ze względu na fizyczną atrakcyjność

eprasa.pl c897b7b470

i pozycję społeczną. Z kolei *simp* to tzw. miły gość, według inceli niemający żadnych szans na zdobycie partnerki, który jednak pochlebstwami stara się wkupić w łaski kobiet, wykazując się daleko idącą naiwnością. Kobiety w slangu inceli funkcjonują jako femoidy – tak, incele odmawiają im człowieczeństwa. Popularne jest też pogardliwe określenie dziewczyn jako zmywar, co ma podkreślić ich specyficzną społeczną rolę.

Niestety, subkultura inceli to nie tylko niegroźne narzekanie na los odrzuconych mężczyzn, to również świat pełen mizoginistycznych, nienawistnych stwierdzeń i nawoływania do (często brutalnej) przemocy wobec kobiet. Ideologia zbiera już żniwo. W 2014 r. 22-letni Elliot Rodger na terenie kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego zamordował nożem trzech współlokatorów, następnie zastrzelił dwie studentki i studenta – po czym popełnił samobójstwo. Początkowo chciał dokonać zbrodni w żeńskim akademiku, ale nie udało mu się tam dostać – jego motywem była, jak ujawnił w nagranym wcześniej materiale wideo, frustracja seksualna, fakt pozostawania prawiczkiem i nienawiść do kobiet.

W ślad za Rodgerem poszli kolejni – podobne ataki zdarzyły się cztery lata później w Toronto (zginęło 10 osób) oraz w Tallahassee na Florydzie, gdzie sprawca zastrzelił dwie kobiety. Obaj uznawali mordercę z Kalifornii za swojego idola i identyfikowali się ze środowiskiem inceli.

Kobiety w slangu inceli funkcjonują jako femoidy – tak, incele odmawiają im człowieczeństwa.

Incelizm przez socjologów czy psychologów postrzegany jest nie tyle jako fizyczne zagrożenie – zabójstwa dokonane przez osoby deklarujące się jako incele to wciąż margines – ile raczej poważny problem społeczny. Młodzi mężczyźni, przyjmujący całkowicie błędną, podsycaną przez prawicowych polityków diagnozę, w której to kobiety są wrogiem numer jeden i dlatego należy je skłonić do posłuszeństwa przemocą lub przepisami prawa, mają rację w jednej kwestii: dziewczyny coraz częściej nie chcą mieć z nimi do czynienia. Kłopot w tym, że jest to właśnie skutek ich mizoginii, a nie natury kobiet czy ich rzekomych wygórowanych preferencji.

Trudno powiedzieć, jakie światopoglądowy rozjazd kobiet i mężczyzn może mieć skutki dla demografii. Czy mężczyźni raczej dostrzegą, że patriarchat skazany jest na porażkę – Wojciech Eichelberger we wspomnianym wywiadzie już widzi jego „bolesną i powolną śmierć" – i dostosują się do nowych warunków, czy może czeka nas wojna płci niczym z „Seksmisji"? Oby to pierwsze.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad,pl

Zapewnienie godnych warunków pracy w Polsce

– obrady okrągłego stołu w projekcie współfinansowanym przez Królestwo Norwegii

Dialog Społeczny – Godna Praca

Zapewnienie godnych warunków pracy w Polsce

W dniach 13-14 września br. w ramach projektu „Ensuring Decent Working Conditions in Poland", którego liderem jest Rada OPZZ Województwa Dolnośląskiego i który jest realizowany dzięki wsparciu Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021 w ramach programu „Dialog społeczny – godna praca", odbyły się obrady okrągłego stołu. Udział w nich wzięli przedstawiciele organizacji związkowych z województw: małopolskiego, opolskiego oraz dolnośląskiego, przedstawiciele organizacji pracodawców oraz Państwowej Inspekcji Pracy. Spotkanie umożliwiło zapoznanie się z przesłankami godnej pracy, a także warunkami pracy i praktykami funkcjonującymi w Norwegii. W wyniku burzliwej dyskusji wypracowano postulaty zmian legislacyjnych, w tym: wzmocnienie szczególnej ochrony stosunku pracy osób należących do związku zawodowego; wprowadzenie reguły, iż porozumienia zbiorowe obejmują tylko członków danej organizacji związkowej, będącej stroną porozumienia; wydłużenie urlopów wypoczynkowych; podwyższenie stawki za nadgodziny; stworzenie zachęt dla pracodawców do zawierania układów zbiorowych pracy; wprowadzenie do Kodeksu pracy zasady mówiącej o obowiązku pracodawcy zapobiegania stresowi w miejscu pracy; wzmocnienie PIP, a także podwyższenie kar za naruszanie uprawnień pracowniczych.

Dzięki realizowanemu projektowi stało się jasne, że w pierwszej kolejności musimy zmieniać mentalność stron dialogu społecznego, w szczególności postawę pracodawców. Jest to jeden z głównych warunków, aby wzorem norweskim wypracować autonomiczną formułę ustalania rozwiązań prawnych w regionie/branży lub zakładzie pracy. W dalszej kolejności niezbędne są zmiany legislacyjne, bazujące na najlepszych doświadczeniach naszych partnerów z Norwegii.

Zainteresowanych projektem zapraszamy do odwiedzenia kanału na YouTubie, na którym znajdziecie relacje z ostatnich działań: www.youtube.com/channel/UC5LKZjxiaKRGsfIH26x6PVg.

Norway grants

Innovation Norway

Projekt wspierany przez Norwegię w ramach Funduszy Norweskich 2014-2021, w ramach programu „Dialog społeczny – godna praca" / Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work"

eprasa.pl c897b7b470

Celem ministra jest pacyfikacja nauczycieli

Lex Czarnek to pakiet zmian prawnych, które mają ograniczyć autonomię szkół

Rozmawia Beata Igielska

Ma pan komplet nauczycieli?

– Mam.

Szczęściarz z pana.

– Wiem. Ale jeśli ja mam, ktoś inny nie ma. Brak nauczycieli stał się zjawiskiem chronicznym, a nie czasowym, występującym wraz z początkiem roku szkolnego. Znajomi dyrektorzy mają kłopot, zatrudniają studentów. Nie jest tak, jak było jeszcze do niedawna: dajesz ogłoszenie i zatrudniasz.

Nauczyciele powinni być zadowoleni: poluje na nich praca, a nie na odwrót, płace mają wzrosnąć, biurokracja ma zmaleć…

– Pan minister Przemysław Czarnek mówi, co uważa za stosowne powiedzieć, i jeśli powie to wielokrotnie, część odbiorców uzna, że tak jest. Media, w których się wypowiada, nie są mediami czytanymi przez większość nauczycieli. Czytają je wyborcy obecnej władzy. Pewnie na jego miejscu robiłbym to samo. Gorzej, jeśli on w to wszystko wierzy. Ale nie mam aż tak złego zdania o intelekcie pana ministra, żeby wierzyć, że on w to wierzy. Uważam, że działalność ministra i to, co mówi, jest świadomą manipulacją. To polityk, który chce osiągnąć swoje cele, najlepiej jak najmniejszym kosztem.

Z drugiej strony nauczyciele i ich związki zawodowe też bywają zapętleni w swoich tłumaczeniach. Weźmy fundusz socjalny. Wśród różnych propozycji pana Czarnka zostało zapisane, że fundusz ma być na zasadach ogólnych. Tymczasem dziś jest dużo wyższy niż w innych zakładach pracy. Nauczyciel więc, czytając o podwyżkach, wie, że minister odbiera mu pieniądze z tego funduszu, przekłada z jednej kieszeni do drugiej. Nieznający zaś sytemu oświatowego odbiorca tego nie wie. Nauczyciele, opisując swoją niedolę, raczej nie wspominają, że mają wyższy fundusz socjalny.

Wyjaśnijmy sprawę systemu nauczycielskich wynagrodzeń, który jest skomplikowany do absurdu.

– Właśnie dlatego, że jest tak skomplikowany, każda próba racjonalizacji zostanie natychmiast oprotestowana. Tylko jednoczesne wrzucenie mnóstwa pieniędzy i skorygowanie absurdów mogłoby liczyć na w miarę powszechne poparcie. To naprawdę stajnia Augiasza, która potrzebuje swojego Herkulesa. Ale jest w niej mnóstwo pułapek. Na przykład należę do tych, którzy są przekonani, że etat nauczycielski etatowi nauczycielskiemu nierówny. To, że wszyscy nauczyciele w szkołach publicznych mają jeden wymiar etatu, nie odzwierciedla rzeczywistego obciążenia pracą.

Wiem coś o tym, pracowałam jako polonistka.

– Ale też wie pani, jak kończy się każda próba powiedzenia tego głośno. Jest oprotestowywana. Nie jako nieprawda, tylko jako wbijanie klina w środowisko nauczycielskie. Tak jakby było ono monolitem. Jest monolitem w tym sensie, że wszyscy równo klepią biedę. Ale naprawdę nie ma dobrego systemu wartościowania pracy nauczycieli. Na zdrowy rozum ktoś, kto sprawdza 50 wypracowań, ma więcej roboty niż ktoś, kto tego nie robi. Mam oczy i widzę, ile pracują nauczyciele w mojej szkole.

Minister proponuje podniesienie pensum.

– Z punktu widzenia ministra jest to logiczne: nie mam pieniędzy, chcę, żeby ludzie więcej zarabiali, a raczej chcę dać więcej pieniędzy pojedynczym nauczycielom, muszę więc podnieść pensum. Przecież teraz też wielu nauczycieli pracuje w nadgodzinach, bo nie ma chętnych do pracy w szkole. Minister na to: zamiast brać nadgodziny, macie je w etacie. Tyle że te pieniądze są na poziomie zupełnie oderwanym od wymaganych kwalifikacji, a obecnie również od warunków pracy.

Powiedział pan: minister, manipulując, realizuje swoje cele. Jakie?

– Jego celem jest pacyfikacja nauczycieli. Elementem tego jest wywarcie na suwerenie wrażenia, że nauczycielom jest dobrze i są mu wdzięczni. To doprowadzona do perfekcji technologia rządzenia – szczuć jednych na drugich.

Walka z biurokracją jest fikcyjna.

– Oczywiście, zmiany proponowane przez ministra absolutnie nie ograniczają biurokracji. Ruch wykonany w rozporządzeniu na początku września jest pozorny. Źródłem biurokracji jest strach dyrektorów, szkoły produkują mnóstwo papierów po prostu na wszelki wypadek. Zgody na to, zgody na tamto. Minister Czarnek chce uczynić z systemu edukacji narzędzie kształtowania młodego pokolenia w duchu określonym przez partię rządzącą. Podąża w ten sposób szlakiem wytyczonym wcześniej na Węgrzech. Kolejnym krokiem według tego wzorca będzie zatrudnianie dyrektorów szkół i nauczycieli przez kuratoria lub inną instytucję państwową, specjalnie do tego powołaną. Nauczyciel w konsekwencji może stać się, w zamian za wyższą pensję, urzędnikiem państwowym pozbawionym kompletnie samodzielności.

Brak nauczycieli stał się zjawiskiem chronicznym. Znajomi dyrektorzy zatrudniają studentów.

eprasa.pl c897b7b470

JAROSŁAW PYTLAK

– od 1990 r. dyrektor Szkoły Podstawowej nr 24 STO w Warszawie, od 2007 r. Zespołu Szkół. Biolog i pedagog, nauczyciel biologii, chemii i przyrody, harcmistrz. Odznaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Srebrnym Krzyżem „Za zasługi dla ZHP" oraz Złotą Odznaką Społecznego Towarzystwa Oświatowego. Autor bloga *Wokół szkoły.*

To właśnie ufundowanie całego systemu edukacji na kompletnym braku zaufania do ludzi i obawie przed kontrolą powoduje rozkwit biurokracji. Także z tego powodu proponuję włożyć między bajki twierdzenie, że nauczyciele będą mogli teraz poświęcić więcej czasu uczniom. Kwitnie produkcja papierów w związku z pracą z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych – WOPFU i IPET. Są plany naprawcze – jeden z nauczycielskich mitów. Są sprawozdania z dodatkowych zajęć i pełnionych funkcji, zespołów przedmiotowych itp. Wszelakie dokumenty dotyczące pomocy psychologiczno-pedagogicznej, sprawozdania z wycieczek, wypisywanie szkoleń i tzw. samochwałka na koniec roku – wypisywanie swoich osiągnięć. Jest pisanina przy awansie zawodowym. Dokumentów naprawdę przydatnych, służących doskonaleniu pracy, jest w tym wszystkim niewiele.

Uf, w oświacie liczy się tylko to, co na papierze, co w ten sposób daje się udokumentować.

– Tak, to są prawdziwe źródła szkolnej biurokracji, np. stosy oświadczeń podpisywanych przez rodziców podczas pierwszego zebrania. Każda kontrola, jakiej można się spodziewać, opiera się przede wszystkim na analizie dokumentacji.

Nauczyciel, czytając o podwyżkach, wie, że minister odbiera mu pieniądze z funduszu socjalnego, przekłada z jednej kieszeni do drugiej.

Minister Czarnek nigdy nie był nauczycielem, więc nie wie, na czym polega szkolna biurokracja.

– Czy wie pani, jaki nakład ludzkiej pracy jest potrzebny, żeby zasilać danymi System Informacji Oświatowej? Według moich obliczeń to co najmniej osobne pół etatu. „Ktoś to zrobi". W jednych szkołach kadrowa, w drugich wicedyrektor, w innych specjalnie wyznaczeni nauczyciele. Mówię teraz o szkołach niepublicznych, w których możemy na ogół sobie pozwolić na wyznaczenie jakiegoś stanowiska. W szkole publicznej zaś liczba stanowisk jest ograniczona. Przez cały okres istnienia SIO nikt nie zapytał, kto to wypełnia. Przypomnę, że SIO reklamowano, że nie będzie sprawozdań dla GUS. Robimy i jedno, i drugie.

Wróćmy do pacyfikowania nauczycieli. Potężnym starszakiem są komisje dyscyplinarne. Było kilka spraw z powodu udziału w Strajku Kobiet.

– System oświatowy to plus minus 30 tys. placówek, 30 tys. dyrektorów. Zgodnie ze statystyką muszą trafiać się w nim różni ludzie, także tacy, którzy czepiają się bzdur lub bez uzasadnienia kierują sprawę do komisji dyscyplinarnej. Dla mnie gorszym przykładem chwytania nauczycieli za twarz, ubezwłasnowolniania, jest planowany nakaz uzyskiwania zgody kuratorium na zapraszanie do szkoły organizacji pozarządowych. Ministerstwo chce zapewnić państwu i jego funkcjonariuszom zgrupowanym w kuratorium monopol na decydowanie o działalności programowej szkół. Inna sprawa, że organizacje pozarządowe bywają różne, a społeczność rodzicielska jest podzielona i wejście kogoś na ogół będzie budziło emocje. Jednak dotychczas dyrektor musiał uzgadniać to z radą rodziców. To było demokratyczne, uwzględniało rodzicielskie prawo do współdecydowania. Rodzice pojedynczych dzieci mogli nie wyrazić zgody na to czy tamto. Natomiast gdy wszystko poza realizacją podstawy programowej jest koncesjonowane przez władze, szkoła staje się ubezwłasnowolniona. Jako instytucja państwowa ma ona realizować politykę państwa, a wszelka inicjatywa będzie niemile widziana.

Zmieniły się też zasady konkursów na dyrektora, choć i dziś wiele z nich było fikcją.

– Ten problem nie dotknie szkół niepublicznych. Bardziej nas dotknie możliwość wystąpienia do organu prowadzącego o odwołanie. I to prawda, niektóre konkursy dotąd również były fikcją. Nadzór pedagogiczny, choć słuszniej by go nazwać

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c897b7b470

nadzorem politycznym, zostaje przy konkursach na dyrektora wzmocniony, i to na pewno jest wyraźny symbol kierunku zmian. Będzie miał wystarczająco dużo głosów, żeby zyskać pewność zablokowania niechcianej kandydatury. Inna sprawa, że akurat na tym polu jeszcze chwila i nie będzie z kogo wybierać. Nikt specjalnie się nie rwie do bycia dyrektorem szkoły czy przedszkola.

Zwiększy się także rola kuratora. Będzie on niemal jak prokurator.

– Minister chciałby zarządzać osobiście całą oświatą, a ponieważ to niemożliwe, potrzebuje emisariuszy – kuratorów. Pierwsza zmiana, jaką PiS zrobiło – kuratorium przestało być organem samorządu, a stało się organem państwa. Gdybym więc miał sprzątać po obecnych rządach w oświacie, zrobiłbym odwrotnie. Ale nie likwidowałbym kuratoriów.

A do czego niby kuratoria są takie potrzebne?

– Przez 30 lat mam same dobre doświadczenia z kuratorium. Wizytatorki wielokrotnie udzieliły mi porady, pomogły. Jak organizuję wypoczynek, rejestruję go w kuratorium. Ilekroć miałem pytania, udzielono mi na nie kompetentnych odpowiedzi. Choćby dlatego zostawiłbym kuratoria jako organ samorządowy. Choć wiem, że wielu ludzi ma złe doświadczenia i oni mogą myśleć inaczej.

Ale przecież nie dostał pan odpowiedzi z kuratorium na pytanie o podstawę prawną obarczenia szkół akcją organizowania szczepień.

– Nie dostałem. Zasięgnąłem jednak opinii prawnej. Powiedziano mi, że niektóre elementy tej akcji da się podciągnąć pod zadania dyrektora zapisane w prawie. Ale już szczepienie przy tej okazji rodziców nie ma żadnej podstawy.

Boję się szkoły pod sztandarami ministra Czarnka. Jak się nie dać ideologizacji?

– Nie czuję się uprawniony do radzenia komukolwiek. Mogę jedynie powiedzieć, co sam robię. Po prostu robię swoje, tzn. staram się postępować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Pewnie jeśli zostanie uchwalone tzw. lex Czarnek, będzie mi trudniej. Natomiast w relacji szkoła-uczniowie, szkoła-rodzice dzieje się to, co działo się dotychczas.

Dlaczego tak się boicie lex Czarnek?

– Najkrócej rzecz ujmę tak: jest to cały pakiet zmian prawnych, które mają ograniczyć autonomię szkół.

Jest też odpowiedzialność karna dyrektorów szkół.

– To już nie lex Czarnek. Autorem tej osobnej inicjatywy prawnej jest Michał Wójcik, wiceprzewodniczący Solidarnej Polski i wiceminister sprawiedliwości. Wprowadzenie do prawa oświatowego konkretnych sankcji karnych: trzy lata więzienia, pięć lat więzienia, jest w mojej ocenie przejawem upolicyjnienia państwa. Przestępstwa powinny być w kodeksie karnym, a nie w prawie branżowym.

We wspomnianej inicjatywie jest ciekawe sformułowanie „szkoda małoletniego". Co to takiego?

– Tego nie wie nikt. Może nią być wszystko. Bezdyskusyjną sprawą jest oczywiście śmierć czy kalectwo. Ale w dzisiejszym społeczeństwie szkodą małoletniego może być np. opowiedzenie mu o szczepionkach. Pytanie też, kto będzie decydował o tym, czy coś jest szkodą, czy nie. Za pewne działania lub swoje zaniechania jako dyrektor szkoły już w obecnym stanie prawnym mógłbym ponieść odpowiedzialność karną. Ale władza chce podnieść stan zagrożenia dyrektora placówki oświatowej na wyższy poziom.

Co panu najbardziej przeszkadza w tej chwili?

– Ogólne wypalenie społeczne. Wszyscy mamy raczej kiepski nastrój. Wynika on z braku perspektyw. 20 lat temu wiedziałem, co chciałbym mieć w szkole za pięć lat, widziałem cel. Teraz? Po prostu utrzymujemy się na powierzchni. Mam jedynie nadzieję, że za pięć lat nie będzie gorzej. To żadna przyjemność... Do tego dochodzi przywołane już zwaśnienie nas, szczucie jednych na drugich. Obecna władza polityczna jest skutkiem zmian w społeczeństwie. Wewnątrz niego pojawiło się takie mnóstwo sprzecznych koncepcji, że nie widzę żadnego potencjalnego autorytetu, który mógłby skłonić ludzi do przyjęcia wspólnej perspektywy. Widzieć mógłbym ją w mojej szkole, zakładając, że nikt nie będzie mi wpychał kija w szprychy.

Tak, jestem skrajnym pesymistą, jeśli chodzi o możliwość uporządkowania oświaty. Jest milion pomysłów, co jeden, to mniej realny. Do tego jest nagromadzenie emocji, frustracji; powiedzenie: od dziś będziemy robić tak i będzie lepiej, zostanie natychmiast oprotestowane przez jakąś grupę. Przecież minister Czarnek też ma swoich zwolenników, jego poglądy są podzielane przez znaczną część społeczeństwa – ta jego LGBT-fobia...

Ale pan dołuje.

– Nie mam nic optymistycznego do powiedzenia. Nie mam recepty ani słów pokrzepienia. Jeśli rodzicom teraz jest źle, powiem: będzie wam jeszcze gorzej. Jeśli ktoś mnie pyta, czy warto być dyrektorem, powiem: ochłoń, napij się wody. Jestem w tej szkole tyle lat, więc szkoda mi tego, co tu osiągnąłem. Dziś jeszcze trzymam front z rozsądnym poziomem zagrożenia. Ten poziom zwiększa jednak każdy pomysł typu lex Czarnek. Zawsze dobrze funkcjonowałem, gdy widziałem cel. Dziś o niego coraz trudniej. Tym bardziej że rodzice w swojej masie są bardzo konserwatywni, wcale nie chcą rewolucyjnych zmian. To plus lata zaniedbań w budowaniu sensownych zasad pracy nauczycieli powoduje, że o jakąkolwiek zmianę będzie bardzo trudno, niezależnie od tego, kto będzie rządził. Nic się nie zmieni, póki znacząca część społeczeństwa nie zrozumie, że edukacja jest najważniejsza na świecie.

Przykładem ubezwłasnowolniania nauczycieli jest planowany nakaz uzyskiwania zgody kuratorium na zapraszanie do szkoły organizacji pozarządowych.

Wprowadzenie do prawa oświatowego sankcji karnych: trzy lata więzienia, pięć lat więzienia, jest przejawem upolicyjnienia państwa.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Terrorysta we mnie

Gdyby nie chodziło o coś zupełnie potwornego, bo tym jest niewyobrażalne traktowanie uchodźców na granicy z Białorusią przez polskie formacje mundurowe: wojsko, policję, Straż Graniczną – można by nawet napisać coś śmiesznego. Ale ten *modus operandi* wzmocniony wprowadzonym stanem wyjątkowym przynosi realną śmierć – na polskiej ziemi umierają z głodu, pragnienia, wycieńczenia, zimna i chorób kolejni ludzie, w tym kilkunastoletnie dzieci; inne, paroletnie, są siłą, bezprawnie, zawracane na Białoruś. Formacja rządząca z patetyczną, nabzdyczoną, udawaną powagą odczłowiecza ich, publikując bez żadnej wiarygodności rzekome materiały z telefonów komórkowych. W historii największych blamażów propagandy nienawiści zapisała się konferencja „ministrów" Kamińskiego i Błaszczaka oraz komendanta SG Tomasza Pragi, na której publicznie prezentowano materiały pornograficzne jako uzasadnienie nieludzkich poczynań. Kilka godzin zabrało mediom ustalenie, że prezentowane zdjęcia, opatrzone komentarzem, że w sytuacjach tych biorą udział zatrzymani na granicy, są tak naprawdę kadrami z nagranych wiele lat temu (w epoce VHS) filmów pornograficznych. Inne doniesienia ujawniły, że na odnalezionych zdjęciach (nie wiadomo skąd, czyich) są np. afgańscy żołnierze i formacje walczące z talibami, dla których do niedawna polscy i amerykańscy żołnierze byli „koalicjantami".

Jedną częścią problemu jest sam fakt posługiwania się tak załganą, goebbelsowską propagandą, stygmatyzacja zatrzymywanych, fałszywe przypisywanie im różnych czynów. Autorem tych rewelacji jest wszakże człowiek skazany wyrokiem sądu na karę trzech lat więzienia za... fałszowanie i prokurowanie dowodów, kiedy był szefem Centralnego Biura Antykorupcyjnego. To, że w wątpliwy prawnie sposób ułaskawił go partyjny kolega Andrzej Duda, zanim wyrok się uprawomocnił – tylko dodaje sprawie pikanterii. To nie wypadek przy pracy, to metoda Kamińskiego i Wąsika, stosowana od lat.

Najbardziej bolesne jest jednak nie zachowanie władzy, która zaciera rączki, bo kryzys nadgraniczny jej służy i „słupki" idą w górę, która jest cyniczna, pozbawiona skrupułów i ludzkich odruchów, tylko to, że ta władza ma realne poparcie sondażowe dla swoich działań. Nie kieruję oskarżeń w stronę tych popierających, w kierunku polskiej większości. Trzeba dysponować sporym kapitałem kulturowym, edukacyjnym, obywatelskim, żeby oprzeć się zmasowanej propagandzie siejącej strach, budującej atmosferę zagrożenia, obarczającej winą ludzi szukających schronienia przed wojną, głodem, przemocą, brakiem środków do życia i możliwości bezpiecznego istnienia.

Konferencja ohydy i nienawiści Kamińskiego, Błaszczaka i Pragi (generale – przyjdzie czas wstydu i konsekwencji) to wstęp, to element zorganizowanej nagonki, która jest, jak wiemy z historii czystek etnicznych i ludobójstw, warunkiem wstępnym, wprowadzeniem do przemocy realnej, śmiertelnej. Wojciech Tochman, reporter od lat zajmujący się tą problematyką, napisał przejmująco na Facebooku: „Wystąpienia ministrów Mariusza Kamińskiego i Mariusza Błaszczaka na temat uchodźców na polskiej granicy nosiły wyraźne ślady mowy ludobójców. Jeżeli uchodźców przyjdzie do nas jeszcze więcej i nie będą skorzy tak sprawnie umierać na polskich granicach, jak umierają teraz, polski rząd posłuży się nie tylko polskim wojskiem? Odpowiednio przygotowani cywile mają wykonać najbrudniejszą robotę? Z przekonaniem i pasją? A i żołnierskie głowy trzeba zawczasu uformować? O to chodzi rządowi? Ten język: »opór, napór, forsowanie, zagrożenie, niebezpieczne powiązania, organizacje przestępcze, przeszłość kryminalna, doświadczenie bojowe, pedofilia«. Nie tylko nasze granice są zagrożone, nasze polskie dzieci są w niebezpieczeństwie! Zróbmy WSZYSTKO, by polskie dzieci ochronić!

Oskarżam polskie władze działające po wodzą Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Dudy o szczucie ludzi przeciwko ludziom i o prowokowanie masowego zabijania".

A we mnie się budzi mój mały terrorysta. Nie umiem strzelać, nie umiem podkładać bomb, jak choćby to młode, prawicowe, katolickie, „patriotyczne" małżeństwo, które zamierzało odpalić ładunek podczas lubelskiej parady równości przed paroma laty. Zdradzę zatem swój tajny plan akcji terrorystycznej. Jej celem byliby tacy mocarze intelektu jak Kamiński, Błaszczak, Wąsik, Soloch, Duda. Zabieramy ich na wycieczkę do wczesnojesiennego, lecz już mroźnego lasu na noc, dwie, trzy. Bez wody i żarcia, bez klimatyzowanych bmw i audi, bez namiocików i śpiworów. I patrzymy, jak Andrzej Duda (harcerz przecież) próbuje przez cały dzień rozpalić ognisko, ale zapałki zepsuł albo zgubił. I patrzymy, jak oni patrzą na tego Dudę i na nas, którzy pijemy wodę i wylewamy, a niektórzy mają zapalniczki i zapalają papierosy. Widzimy, jak ci spece od twardych granic miękną i rozpuszczają się na deszczu, jak stają się mokrą, nieznaczącą plamą.

A potem pomagamy im, okrywamy, poimy, ogrzewamy, odwozimy do ciepłego, zadaszonego pomieszczenia, np. do Sejmu. I dajemy im jeszcze raz do podpisania papiery o stanie wyjątkowym. Najgorsze jest to, że oni by je znowu podpisali. Bo sprawcy takich czynów mają głęboko zracjonalizowaną ich słuszność. Nazwą to służbą ojczyźnie, Bogu, Polakom i będą zabijać dalej. Tak jak to robią teraz na konferencjach prasowych i w podpisywanych lub na gębę wydawanych rozkazach. Gorliwi kaci Kaczyńskiego. Normalni politycy polskiej prawicy.

Konferencja ohydy i nienawiści Kamińskiego, Błaszczaka i Pragi jest wprowadzeniem do przemocy realnej, śmiertelnej.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Kanclerz w zawieszeniu

W Niemczech po raz pierwszy rząd federalny stworzą przynajmniej trzy partie. I to koalicjanci zdecydują, czy jego szefem będzie socjaldemokrata, czy chadek

Jan Opielka

Fenomen ogona, który macha swoim psim właścicielem, a przynajmniej machać próbuje, jest w politycznej Polsce dobrze znany. W Niemczech, po wyborach federalnych z 26 września, ten układ będzie bardziej skomplikowany – ogony będą dwa i to one zadecydują, kto w ogóle będzie psem. Ten nowy układ sił wynika z bezprecedensowego upadku dotychczas rządzącej chadecji. Szef CDU i zarazem od kilku miesięcy kandydat na kanclerza, Armin Laschet, podczas kampanii wyborczej zaliczał wpadkę za wpadką, poparcie dla jego partii w zaledwie kilka miesięcy stopniało o ponad 10 pkt proc. CDU po raz pierwszy w historii uzyskała na szczeblu federalnym wynik poniżej 30%, zdobywając zaledwie 24,1% głosów. Dlatego wybory te stanowią „upadek chadecji CDU/CSU jako ostatniej nienaruszonej partii ludowej i tym samym koniec czarnej (tradycyjne barwy chadecji – przyp. red.) republiki Angeli Merkel, gdzie wszystko kręciło się wokół chadecji jako centrum władzy – pisze Albrecht von Lucke, redaktor naczelny miesięcznika politycznego „Blätter für deutsche und internationale Politik". – Z tych wyborów wynika konieczność zasadniczo nowych, o wiele bardziej złożonych konstelacji politycznych. Konstrukcja starej Republiki Federalnej ostatecznie się załamała".

W nowych konstelacjach politycznych owe dwa ogony – Zieloni i liberałowie z FDP – zyskają zdecydowanie większą sprawczość. Zieloni ze swoją czołową kandydatką na stanowisko szefowej rządu, Annaleną Baerbock, uzyskali co prawda najlepszy wynik w swojej federalnej historii, zdobywając prawie 15% głosów – tyle że jeszcze kilka miesięcy temu w sondażach wyraźnie wyprzedzali socjaldemokratów. Liberałowie zaś zdobyli poparcie rzędu 11,5%. W sumie obie partie wystawią czterech posłów więcej niż SPD z jej kandydatem na szefa rządu Olafem Scholzem. Zgodny duet Zielonych i liberałów kilkanaście lat temu wydawałby się nie do pomyślenia, jednak Zieloni to już nie partia lewicowa jak niegdyś, tylko ugrupowanie ekologicznego centrum, stawiające podobnie jak liberałowie na innowacyjność gospodarczą, tyle że w odróżnieniu od FDP szczególnie w sferze czystych technologii. Po wyborach to te dwie partie jako pierwsze podjęły rozmowy, sygnalizując tym samym, że od nich będzie zależeć, z kim i w jaki sposób chcą rządzić przez najbliższe cztery lata. Szef FDP Christian Lindner już zapowiada, że ze współpracy Zielonych i jego partii ma powstać „postępowe centrum nowej koalicji".

Markus Söder, Angela Merkel i Armin Laschet liczyli na zwycięstwo chadecji...

Światła drogowe czy Jamajka?

Pytanie tylko, jakiej koalicji. FDP chce rządzić, nie zerwie negocjacji koalicyjnych jak w roku 2017. I mimo że jej preferowanym partnerem byłaby CDU, z którą ma więcej zbieżności programowych aniżeli z SPD, na razie nie wygląda na to, by tzw. koalicja Jamajki (CDU, Zieloni, FDP) doszła do skutku. Historycznie najsłabszy wynik wyborczy CDU, przegrana z SPD, oderwany od rzeczywistości i tracący autorytet kandydat na kanclerza Armin Laschet, którego dni jako szefa CDU zdają się policzone – to wszystko wskazuje, że partia Angeli Merkel po raz pierwszy od 16 lat

Niezależnie od tego, kto ostatecznie zostanie kanclerzem, radykalnej zmiany postawy Berlina wobec Warszawy nie należy się spodziewać.

eprasa.pl c897b7b470

zasiądzie w ławach opozycji, w dodatku wewnętrznie skłócona. „Ma się wrażenie, że SPD i chadecja zamieniły się rolami: socjaldemokraci prezentują się jako zdyscyplinowane i pod względem dążenia do władzy niezwykle efektywne ugrupowanie, podczas gdy chadecja wygląda na gromadę kur, które przed chwilą odwiedził lis", komentuje Berthold Kohler w konserwatywnym dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung", uchodzącym za pismo prochadeckie. Ten wewnątrzpartyjny chaos zwiększa prawdopodobieństwo, że chadecja z ław opozycyjnych będzie musiała zmagać się z polityką koalicji świateł drogowych (czerwony – SPD, żółty – FDP, zielony – Zieloni).

Niemniej powstanie koalicji Jamajki nadal nie jest wykluczone. Lobby gospodarcze oczywiście optuje za takim układem, a wpływowy tygodnik gospodarczy „Wirtschaftswoche" nie bez racji pisze, że „droga Zielonych do chadecji jest krótsza niż FDP do SPD". Bo faktem jest, że dla Zielonych bardziej naturalnym partnerem są socjaldemokraci. Partie te już dwa razy, w latach 1998-2005, tworzyły rządy koalicyjne. W kwestiach ekonomicznych nie ma między nimi większych rozbieżności, oczywiście poza sferą polityki energetycznej i klimatycznej. Tu SPD ze względu na swój elektorat pracowniczy jest bardziej zachowawcza, choćby w sprawie prędkości zastąpienia kopalnych nośników energii. O ile jednak Zieloni będą w stanie zrealizować więcej ze swoich postulatów w koalicji świateł drogowych, o tyle istnieje dla nich zagrożenie, że ich tożsamość rozmyje się na rzecz SPD. Potwierdzają to doświadczenia w landach, w których Zieloni współrządzili lub współrządzą z SPD. W kolejnych wyborach tracili na rzecz SPD i FDP, choćby po pierwszej koalicji świateł drogowych w Nadrenii-Palatynacie, podczas gdy ich udział w regionalnych koalicjach jamajskich, np. w Szlezwiku-Holsztynie, wychodził im na dobre – a traciły CDU i FDP.

... ale ostatecznie to SPD Olafa Scholza o włos wygrała wybory.

Bliżej zatem jest do koalicji świateł drogowych, ale nic nie jest przesądzone. Socjaldemokraci mają wprawdzie swoją historię współpracy z FDP, z którą rządzili w latach 1969-1982, ale były to inne czasy, a dziś szczególnie kwestie polityki wewnętrznej, a dokładniej społeczno-gospodarczej, dzielą obydwie partie. Koalicja czerwono-żółto-zielona będzie miała spore problemy w godzeniu kluczowych kwestii społeczno-gospodarczych, tak by wyrazistość trzech partnerów nie doznała większego uszczerbku. „W tej chwili trudno sobie wyobrazić kompromis między SPD i Zielonymi, żądającymi podwyżki wynagrodzenia minimalnego i podniesienia podatków, a FDP, która wszystko to odrzuca", pisze von Lucke. Faktycznie, obiecane przez Olafa Scholza rychłe podniesienie ustawowej płacy minimalnej z dotychczasowych 9,35 euro do 12 euro za godzinę będzie dla FDP trudne do przełknięcia. Jeszcze większy opór liberałowie będą stawiali w kwestii obiecanego przez SPD podniesienia podatków dla bogatszych i wprowadzenia nowego podatku od transakcji giełdowych. „Jeśli SPD i Zieloni zdołają przeforsować resztę swojej wspólnej agendy rynku pracy, zniknie jakikolwiek profil liberalny", obawia się dziennik „FAZ". „Umowy o pracę na czas określony byłyby dopuszczalne tylko za specjalną zgodą państwa. Byłoby więcej demokracji gospodarczej dzięki większemu udziałowi rad zakładowych, także w nowo powstających start-upach. A przedsiębiorstwa podlegałyby daleko idącym i obowiązkowym negocjacjom zbiorowym, jeśli nie przyjęłyby dobrowolnie porozumień zawartych przez związki zawodowe i stowarzyszenia pracodawców", piszą na jego łamach dziennikarze gospodarczy Dietrich Creutzburg i Manfred Schäfers.

Wspólny front zagraniczny

Wiele, być może wszystko, co istotne, w negocjacjach koalicyjnych będzie zatem koncentrować się na szeroko pojętych kwestiach społeczno-gospodarczych i pracowniczych. Tym bardziej że presja ze strony socjaldemokratów, aby tych postulatów nie odpuścić, będzie duża, zwłaszcza dlatego, że wielu nowych posłów SPD wywodzi się z młodzieżówki partii, tradycyjnie tworzącej jej lewe skrzydło. W innych jednak kwestiach istnieją zbieżności między SPD, Zielonymi i FDP. Partie powinny znaleźć konsensus we wszystkim, gdzie da się połączyć „ochronę klimatu i wzrost gospodarczy, modernizację polityki oświatowej, liberalizację polityki genderowej, rodzinnej i narkotykowej, być może też w kwestii stanowczego przyśpieszenia transformacji w kierunku dekarbonizacji", pisze Wolfgang Michal w lewicowym tygodniku „Freitag". Wszystkiemu temu nie powinien się sprzeciwiać wielki biznes, wszak „przebudowa to dla gospodarki przede wszystkim

FOT. AP/EAST NEWS, REUTERS/FORUM

eprasa.pl c897b7b470

więcej produktów, więcej eksportu, więcej konsumpcji, wyższy wzrost".

Fakt, że na tym etapie powyborczych debat dominują kwestie gospodarcze i socjalne, nie dziwi. W polityce zagranicznej i unijnej nie ma różnic na tyle istotnych, aby mogły zniweczyć powstanie koalicji – czy to świateł drogowych, czy Jamajki. Za to z perspektywy polskiej, lub raczej perspektywy PiS, to chadecki kanclerz Laschet byłby łatwiejszym partnerem. Socjaldemokraci, mimo nieco już zblakłej czerwieni na szyldzie partyjnym, nadal są partią centrolewicową, czyli stanowią część jądra Unii Europejskiej, którą politycy PiS obarczają winą za lewacką ideologię. Podczas gdy Laschet w ostatnich miesiącach wyraził się bardziej koncyliacyjnie wobec różnych tradycji politycznych w innych krajach UE, ze strony Scholza żadnego bezpośredniego czy pośredniego ukłonu w stronę Polski bądź Węgier nie było. Jednak niezależnie od tego, kto ostatecznie zostanie kanclerzem, radykalnej zmiany postawy Berlina wobec Warszawy nie należy się spodziewać. „Pojednanie z Polską jest w DNA każdego socjaldemokraty", mówi Dietmar Nietan, ekspert tej partii do spraw Polski.

W powyborczym cieniu

W cieniu nowego układu sił są dwie pozostałe partie, które dostały się do Bundestagu. Lewica, Die Linke, zyskała zaledwie 4,9% głosów, lecz zdobyła trzy bezpośrednie mandaty – w Niemczech obowiązuje mieszany system wyborczy, część posłów wybierana jest bezpośrednio, nie z list partyjnych – i tym samym wprowadzi do parlamentu 39 posłów. To jednak nie może jej satysfakcjonować, wszak w ostatnich miesiącach sondaże dawały teoretyczną możliwość stworzenia lewicowej koalicji czerwono-zielono-czerwonej (SPD, Zieloni i Die Linke). Tyle że, jak szybko się okazało, mimo awansów ze strony części polityków Die Linke ani Zieloni, ani socjaldemokraci nie byli skłonni do poważnego namysłu nad taką koalicją. I to nie tylko ze względu na sprzeciw Die Linke wobec udziału Niemiec w „misjach" w Afganistanie i działań NATO. Die Linke przez ostatnie lata, punktując z ław opozycji politykę zwłaszcza SPD, w pewnym sensie odgrywała rolę „warsztatu naprawczego" socjaldemokratów, zauważa badacz społeczny Horst Kahrs. Teraz Lewica „musi pracować nad swoim miejscem w systemie partyjnym, nie definiując siebie już poprzez wady SPD i Zielonych", mówi Kahrs w wywiadzie dla portalu RedaktionsNetzwerk Deutschland.

Również Alternatywa dla Niemiec (AfD) z wynikiem 10,3% głosów znalazła się w cieniu powyborczych wydarzeń. Zyskała o 2,3 pkt proc. mniej niż cztery lata temu i, co ważniejsze, wyszła z tych wyborów nie tylko osłabiona liczebnie. Wewnętrznie rozdarta między bardziej umiarkowanym centrum a skrzydłem radykalnym nie była w stanie narzucić swojej narracji, choćby sprzeciwu wobec polityki pandemicznej i obowiązujących do niedawna restrykcji. Co prawda, AfD nadal jest silna we wschodniej części Niemiec – w dwóch landach, Saksonii i Turyngii, zdobyła więcej głosów niż inne partie. Jednak paradoksalnie jej obecność w parlamencie federalnym nie przynosi oczekiwanego wzrostu poparcia – być może dlatego, że AfD nie jest w stanie zarysować przekonującej „narodowej" wizji, która w skali całego kraju przekonałaby więcej niż ok. 10% społeczeństwa, zdającego sobie sprawę z powagi przyszłych wyzwań.

Więcej pytań niż odpowiedzi

A wyzwania dla nowego rządu są ogromne. „Pewne jest to, że kryzys klimatyczny zaczyna się nasilać również w tym kraju. Pewne jest to, że dalsza polaryzacja między bogactwem, dobrobytem, obawą o status i niepewnością rozrywa więzi społeczne, które spajają współczesne demokracje. Pewne jest to, że w czasach zagrożeń ekologicznych i społecznych potrzebne są silne instytucje publiczne i demokratyczne, odporne na kryzysy i katastrofy, które z dużym prawdopodobieństwem w przyszłości nadejdą", piszą socjolodzy Frank Adloff i Sighard Neckel. Dlatego, jak przekonują, kwestie społeczne i ekonomiczne w przyszłości muszą iść w parze.

Nowy Bundestag ma się zebrać 26 października. Prawdopodobnie wtedy wybrany zostanie szef rządu. Jednak negocjacje koalicyjne mogą potrwać dłużej, po ostatnich wyborach w 2017 r. rząd został utworzony niemal po pół roku. Stało się tak, ponieważ rozmowy koalicyjne między zwycięskimi wówczas chadekami, Zielonymi i liberałami z FDP zostały zerwane przez tych ostatnich. Dziś taki scenariusz wydaje się mało prawdopodobny. Bardziej realne jest to, że w chadecji nastąpi tąpniecie, którego ofiarą padnie Armin Laschet – a urośnie w siłę przewodniczący CSU Markus Söder, który wiosną przegrał bój o nominację na kandydata na kanclerza chadecji, mimo że w sondażach większość Niemców preferowała jego, a nie Lascheta. Gdyby wówczas wygrał, sytuacja powyborcza wyglądałaby inaczej. Chadecy byli zbyt pewni siebie, zakładając, że niezależnie od tego, kto będzie kandydatem na kanclerza, ich zwycięstwo jest murowane – przecież jeszcze pół roku temu przewaga sondażowa ich partii nad SPD wynosiła ok. 20 pkt proc. „Pychą części kierownictwa CDU było uwierzenie, że mogą się obejść bez ludowego trybuna takiego jak Söder, chociaż jego poparcie nadal plasuje się wyraźnie powyżej notowań Scholza", komentuje Albrecht von Lucke.

Söder już teraz widzi swoją szansę. I wysyła sygnały, że w razie stworzenia – dziś mniej prawdopodobnej – koalicji Jamajki to on powinien stanąć na czele rządu. „Söder jako przewodniczący CSU, najmniejszej partii rządzącej, nie byłby tak silny, jak wielu myśli. To mogłoby być koalicjantom na rękę", pisze Berthold Kohler. Jak widać, w Niemczech tydzień po wyborach jest więcej pytań niż odpowiedzi.

Jan Opielka

Wszystko wskazuje na to, że partia Angeli Merkel po raz pierwszy od 16 lat zasiądzie w ławach opozycji, w dodatku wewnętrznie skłócona.

eprasa.pl c897b7b470

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Nieuchronność postkapitalizmu

Nie mówimy sobie prawdy. Zwodzimy się. Żyjemy złudzeniami. Odmawiamy przyjęcia do wiadomości faktów. Odwlekamy to, co i tak nieuniknione. To zwykłe mechanizmy naszego funkcjonowania. Życie często nas za nie karze. Ale to tylko nasze osobiste klęski. Gorzej, gdy postępujemy tak jako społeczeństwo, naród czy ludzkość. Tak jak teraz. Idzie o kapitalizm i przyszłość świata. Wiemy już, że z powodu groźby katastrofy klimatycznej niemożliwy jest *business as usual*. Przynajmniej deklaratywnie przyznajemy, że daleko idące zmiany są konieczne. Mają one jednak pozostawić kapitalizm jako dominujący sposób gospodarowania w stanie nienaruszonym. Ma on jedynie się „zazielenić". Wielu wydaje się, że wystarczy zmienić źródła pozyskiwania energii, ograniczyć nieco ilość odpadów i śmieci, ukrócić niewiarygodne marnotrawstwo i przestać tak strasznie truć planetę, aby uzyskać to, o co chodzi – neutralny klimatycznie kapitalizm i bezpieczny dobrobyt na dziesięciolecia. Wyrazem tego złudzenia są przeróżne ekologiczne wkładki do pism o profilu neoliberalnym, krzewiących przez dziesięciolecia wiarę w dobro nieskrępowanego kapitalizmu, a dziś, zamiast przyznać się do naiwności i błędu, próbujących ową wiarę ocalić pokazywaniem, że to i owo wprawdzie musi się zmienić, ale po to, by *de facto* nic się nie zmieniło.

> Zielony kapitalizm zużywa wcale nie mniej zasobów niż kapitalizm zwykły.

To się nie uda. Nic z tego nie będzie. Przyczyna jest prosta: kapitalizm nie może istnieć bez wzrostu, bez ekspansji, bez nieodpowiedzialności i przerzucania ciężarów na barki otoczenia – przyrodniczego i społecznego. Jest z nim tak jak z jazdą na rowerze – jedzie się, dopóki się pedałuje, potem można jeszcze przez chwilę toczyć się siłą inercji, ale upadek jest nieunikniony. Dziś jednak widać wyraźnie, że dalej tak się nie da. Coraz więcej ekspertów mówi wprost: musimy się przygotować na czasy bez wzrostu. Planeta już go nie wytrzyma. Doszliśmy do kresu jej wytrzymałości, nie da się bowiem uzyskiwać czegoś, co jest z definicji nieograniczone, w sytuacji ograniczonych zasobów, a zielony kapitalizm zużywa ich wcale nie mniej niż kapitalizm zwykły. Zużycie materiałów do produkcji ekologicznych napędów, zielonej energii i sieci informatycznej jest nieomal równe ich zużyciu zwykłemu, a niewolnicza praca ludzi wydobywających metale ziem rzadkich na potrzeby zielonego kapitalizmu jest jeszcze gorsza niż praca tradycyjnych górników wydobywających węgiel.

Wszystko to oznacza, że musimy się przygotować na czasy po kapitalizmie. Im prędzej to zrozumiemy, tym lepiej dla nas. Sprawa jest bowiem trudna. Wszak nie wyobrażamy sobie świata bez kapitalizmu. Nie mamy w zanadrzu żadnych wiarygodnych wizji tego, co miałoby go zastąpić. Stąd to uczucie bezradności, tak typowe dla naszych czasów. Słyszymy jedynie od polityków amerykańskich, że amerykański styl życia jest poza dyskusją (a przypomnijmy, że Amerykanie, stanowiąc ok. 5% światowej populacji, zużywają ok. 25% zasobów materiałowych Ziemi), od azjatyckich, że za swoje zadanie uznają ostateczne wydobycie swoich społeczeństw ze stanu niedostatku (Chiny), od europejskich z kolei, że ich zadaniem jest utrzymanie dobrobytu (Niemcy) albo dogonienie tych, którzy już go mają (Polska). Wszystkie te deklaracje, choć w jakiejś mierze uzasadnione i zrozumiałe, pokazują jednak, że do świadomości polityków nie dociera dramatyzm sytuacji.

Nie lepiej jest z intelektualistami. Można odnieść wrażenie, że przez lata wszyscy tkwiliśmy w śnie o końcu historii (Fukuyama), a dziś musimy się gwałtownie obudzić i zacząć ponownie myśleć. Także o alternatywach dla kapitalizmu. A myślenie to trudne, choćby dlatego, że wprowadzane wcześniej w życie scenariusze niekapitalistycznego świata okazały się katastrofą. Znajdujemy się zatem w pewnej pułapce dziejowej: nie możemy już kontynuować tego, co jest, ale nie mamy pojęcia, co robić. Sen posthistorii pozbawił nas wyobraźni i odzwyczaił od myślenia utopijnego. Nadto aż za bardzo staliśmy się świadomi jego pułapek i niebezpieczeństw. To dobrze. Ale bez projektów zmiany tego, co jest, przegramy.

Co nieco już wiemy, tego i owego jesteśmy pewni. Na przykład tego, że idea ciągłego wzrostu i ekspansji ekonomicznej za wszelką cenę powinna zostać zastąpiona ideą umiaru i samoograniczenia. Że zamiast o wzroście ekonomicznym powinniśmy mówić o jakości życia, że to, co wydawało się nam oczywiste od setek lat – dobrobyt polegający przede wszystkim na posiadaniu rzeczy – musimy zastąpić dobrostanem wynikającym z lepszych stosunków międzyludzkich, kontemplowania przyrody, pielęgnowania artystycznej wrażliwości, poszukiwania sensu w rzeczach małych i codziennych. Że trzeba mniej pracować, więcej rozmawiać. Przestać konkurować z innymi na posiadane rzeczy, zebrane wrażenia, osiągnięte zaszczyty. Wyśmiewać miliarderów, którzy jak mali chłopcy bawią się w podróże kosmiczne, celebrytów chwalących się luksusem, w którym żyją. Mówić głośno prawdę o turbokapitalizmie jako ślepej uliczce dziejowej. Marzyć o lepszym świecie.

Czy to jednak wystarczy do zmiany? Nie sądzę. Interesy i środki materialne oraz propagandowe tych, którzy chcą, aby nic się nie zmieniło, są zbyt wielkie, a drobne transformacje proekologiczne systemu wydają im się ceną wartą zapłacenia, aby ocalić dominującą pozycję. A do tego całe to gadanie o ekologii przecież nic nie kosztuje. Wielu da się nabrać. I oto chodzi.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Anglia jedzie na oparach

Do pustoszejących półek w sklepach ludzie zdążyli się przyzwyczaić, ale kiedy zaczęło brakować paliwa, wpadli w panikę

Zuzanna Muszyńska

Co trzecia z 1,2 tys. stacji BP nie miała w sprzedaży żadnego z głównych rodzajów paliwa.

Dziewięć miesięcy od brexitu, 19 od początku pandemii, Wielka Brytania chwieje się w posadach. Coraz częściej brakuje mleka, butelkowanej wody, jajek, mięsa, benzyny. Nie ma kto wozić towarów. Rząd interweniuje, wprowadzając na ostatnią chwilę tymczasowy program wizowy dla zagranicznych kierowców samochodów ciężarowych i osób zatrudnionych przy produkcji żywności. Czy Europejczycy uratują Brytyjczykom *Christmas*?

Problemy z zaopatrzeniem rynku narastały stopniowo. Od marca 2020 r. do chwili obecnej opuściło Wyspy 15-19 tys. kierowców ciężarówek z kontynentu, a w sumie ich liczba spadła o 30 tys., czyli 10% w ciągu roku. W lipcu Anglia otworzyła się po wielomiesięcznym okresie obostrzeń. We wrześniu dzieci wróciły do szkół, a pracownicy urlopowani (na tzw. *furlough*) lub pracujący zdalnie podczas pandemii do firm. I okazało się, że kraj nie był gotów na masowy powrót do normalności. Liczba wakatów w transporcie osiągnęła według wyliczeń zrzeszenia branżowego transportowców 100 tys. Do pustoszejących półek w sklepach ludzie zdążyli już się przyzwyczaić, ale kiedy na niektórych stacjach zaczęło brakować paliwa, wpadli w panikę i ustawili się w kolejkach do dystrybutorów. Deklaracje rządu, że jest dobrze, pogorszyły sytuację.

Miało być pięknie w Anglii dla Anglików, mniej konkurencji, więcej pracy za lepsze pieniądze. Tymczasem do exodusu europejskich kierowców, spowodowanego kombinacją brexitu i pandemii, dołączyły stare brytyjskie problemy.

Kto dowiezie po brexicie

Brytyjscy kierowcy ciężarówek rezygnują z zawodu. Pracują w złych warunkach, mało zarabiają. Na noclegi zatrzymują się często w zatoczkach na skraju dróg (ang. *lay-by*) albo na terenach przemysłowych, bez dostępu do toalet. Parkingi przy głównych drogach szybko się zapełniają, nie

eprasa.pl c897b7b470

starcza miejsca dla pojazdów wielkogabarytowych. Opłata za nocny postój wynosi 30 funtów. „W Europie to nie do pomyślenia – opowiada „Guardianowi" Christopher Johns, *trucker* z 10-letnim stażem. – Każdy wjazd na kontynent to dla mnie duża ulga".

Johns twierdzi, że wielu jego kolegów zarabia tyle samo, ile dostaje na dzień dobry pracownik Lidla. „To szokujące, jak mało dba się o kierowców w Wielkiej Brytanii. Pracujemy bardzo ciężko za bardzo małe pieniądze – narzeka. – Zarabiałbym więcej, gdybym pracował na kontraktach, tak jak moi koledzy, ale mam żonę i troje dzieci, potrzebuję stabilnego zatrudnienia. Starcza nam na życie tylko dlatego, że jeżdżę dużo po Europie, za co dostaję wyższe zwroty kosztów".

Marco Digioia, sekretarz generalny Europejskiego Stowarzyszenia Przewoźników Drogowych (UETR), uważa, że brytyjski program wizowy nie przyciągnie kierowców, którzy w Europie są rozchwytywani. Niewielu ma powody, by opuścić kontynent dla Szkocji czy Anglii, gdzie pracuje się w gorszych warunkach. Podczas gdy Bruksela ogłasza wielomiliardowe inwestycje w infrastrukturę logistyczną, rząd Borisa Johnsona chwyta się szalonych pomysłów, takich jak bardziej elastyczny czas pracy kierowców. Ci nie chcą słyszeć o kolejnych nadgodzinach – bo tak należy odczytywać plany rządu. Już teraz jeżdżą po 12-15 godzin na dobę. Chcą jeździć bezpiecznie. Wykonują stresujący, wymagający solidnych kwalifikacji zawód. A rząd podpowiada, że tutaj też dałoby się zaoszczędzić: szkolić szybciej, egzaminy upraszczać.

W powstałej wskutek pandemii kolejce do egzaminów na kierowców samochodów ciężarowych czeka 40 tys. osób. Pierwsze 4 tys. kandydatów przetestują egzaminatorzy wojskowi, których wypożyczy minister obrony. Za późno i za mało, by zdążyć przed Bożym Narodzeniem – od złożenia papierów do ukończenia kursu mija zwykle od trzech do czterech miesięcy. Po zdobyciu prawa jazdy kategorii C/C&E potrzeba jeszcze od czterech do sześciu tygodni praktyki. Nie ma szans, by absolwent kursu wyjechał samodzielnie w trasę przed Nowym Rokiem. Docelowo rząd chce dofinansować system edukacji truckerów, tak by kursy kończyło nawet 50 tys. osób rocznie. „Kierowcy ciężarówek utrzymują ten kraj w ruchu. Podejmujemy działania, aby rozwiązać problem niedoboru kierowców, usuwać bariery", mówi minister edukacji Nadhim Zahawi. Obiecuje kształcić bezpłatnie, krótko, intensywnie, byle adepci mogli szybko wyjechać na drogi.

Do skrzynek około miliona posiadaczy prawa jazdy kategorii C/C&E trafią w najbliższych dniach listy z podziękowaniem za pełnienie kluczowej funkcji w brytyjskiej gospodarce i z zachętą skierowaną do tych, którzy odeszli z zawodu. List zawierać będzie obietnice poprawy warunków pracy, w tym wzrostu płac. Średnia miesięczna pensja truckera wynosi obecnie 37 tys. funtów. W najnowszych ofertach pracy wymagającej najwyższych kwalifikacji figurują zarobki powyżej 50 tys. Małe firmy nie mają szans w bitwie o pracowników. Większe kuszą bonusami w wysokości do 5 tys. funtów (dla kierowców cystern paliwowych). To działa – kierowcy przechodzą z firmy do firmy. Zapłacą za to zwykli ludzie, przy kasie w spożywczaku.

Od marca 2020 r. opuściło Wyspy 15-19 tys. kierowców ciężarówek z kontynentu. W sumie ich liczba spadła o 30 tys.

Czego nie chce rząd

Stowarzyszenia branżowe producentów żywności i napojów oraz transportu od dawna wzywały przedstawicieli rządu do podjęcia odpowiednich kroków, by ratować wyludniający się rynek pracy. Proponowały wprowadzenie rocznych wiz dla m.in. kierowców, rzeźników i kucharzy. Rząd udawał, że nie słyszy. Wpuścić obcych do jednej gałęzi gospodarki to zachęcić inne do żalenia się, że i u nich brakuje ludzi. A brexit to brexit.

Minister transportu Grant Shapps podkreśla, że kryzys transportowy jest problemem globalnym – Polska, Niemcy, Francja, Kanada też narzekają na brak kierowców. Wielka Brytania nie chce cofać się w rozwoju. Zamiast polegać na sile roboczej z zagranicy, należy budować gospodarkę opartą na wysokich kwalifikacjach pracowników i godziwych płacach. Pracodawców zachęcać do długoterminowych inwestycji w krajową siłę roboczą. Uwolnienie się od długofalowego uzależnienia od zagranicznych pracowników to jeden z czołowych probrexitowych argumentów Borisa Johnsona.

Niedawno zabrakło w Anglii dwutlenku węgla. Amerykański koncern CF Industries produkujący nawozy rolnicze zamknął dwie nierentowne fabryki na terenie Wielkiej Brytanii z powodu wzrostu cen energii. W wyniku procesu wytwarzania nawozów powstaje dwutlenek węgla – CF Industries wypełniały 60% zapotrzebowania rynku brytyjskiego na ten związek chemiczny. Jego użycia wymagają napoje gazowane, operacje w klinikach chirurgicznych, ubój zwierząt, pakowanie produktów mięsnych. Rząd brytyjski zdecydował się wesprzeć przemysł chemiczny, przeznaczając nieujawnione sumy na dofinansowanie produkcji dwutlenku węgla w amerykańskich firmach. Za miesiąc rozpocznie się przedświąteczny ubój indyków. Przyda się dwutlenek węgla, i to w niskiej cenie. Branża drobiarska po nieudanym roku 2020, obawiając się dotkliwego braku pracowników sezonowych do patroszenia i pakowania ptactwa w bieżącym roku, wywalczyła 5 tys. trzymiesięcznych wiz. Pozostaje obawa, że przyjazd do pracy na kilka tygodni stał się po brexicie nieopłacalny. Jeśli brytyjscy konsumenci zmuszeni będą robić zakupy w Europie, hodowcy na Wyspach poniosą straty, które będzie musiał rekompensować rząd.

Farmerom też należałaby się pomoc, jesienne plony trzeba zebrać, zapakować i zawieźć do sklepów. W branży budowlanej brakuje pracowników od lat, teraz problemy znacznie się nasiliły. Służba zdrowia uzasadnia „trudnościami na granicy i w transporcie" odwoływane masowo badania krwi – z powodu braku probówek. To za wiele, by wyborcy nie zaczęli dostrzegać nieudolności rządu. Dwóch na trzech Brytyjczyków uważa jego działania za niewystarczające. Aż 52% zwolenników rozwodu z Brukselą wini za obecną złą sytuację właśnie brexit.

Tymczasem w Irlandii Północnej jest normalnie. Łańcuchy dostaw z kontynentu działają sprawnie,

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

gdyż Irlandia Północna pozostała we wspólnym rynku. Minister Shapps podkreśla zaś, że brexit to nie skutek, lecz rozwiązanie obecnego kryzysu, w przeciwnym razie Wielka Brytania, pozostając w europejskiej wspólnocie, nie mogłaby podjąć tylu swobodnych działań.

Niewidzialna ręka rynku nie pomogła, w mediach zrobiło się głośno o kolejkach po paliwo. Po relacjach kierowców karetek pogotowia, którym udało się zatankować dopiero na piątej z kolei stacji, nikt nie chciał słuchać tłumaczenia, że w rafineriach jest paliwa pod dostatkiem, lecz nie ma go kto rozwieźć po kraju. Co trzecia z 1,2 tys. stacji BP nie miała w sprzedaży żadnego z głównych rodzajów paliwa. Praktycznie wszędzie wprowadzono reglamentację, tak by wystarczyło dla wszystkich, a w pierwszej kolejności dla najbardziej potrzebujących. Burmistrz Londynu Sadiq Khan podkreśla, że miasto stara się zapewnić możliwość tankowania pracownikom służby zdrowia, opieki społecznej i taksówkarzom. Związki zawodowe proponują wyznaczenie stacji lub pór dnia wyłącznie do obsługi pracowników kluczowych dla gospodarki.

Rząd wykonał w tył zwrot. Rozważanie wezwania na pomoc wojska to sygnał, że gabinet Borisa Johnsona traci kontrolę nad sytuacją. Wizy dla obcokrajowców o niskich kwalifikacjach są odwrotem od założeń brexitu. Ogłoszenie przez ministra gospodarki Kwasiego Kwartenga czasowego wyłączenia gospodarki spod mocy ustawy antymonopolowej, tak by firmy mogły dzielić się informacjami i usprawniać łańcuchy dostaw, to zaprzeczenie wszystkiemu, w co wierzą konserwatyści.

Polonia: nie umieramy z głodu

„Od kilku dni nie ma w okolicy benzyny/diesla. Kiedy pojawia się dostawa – dosłownie kilka minut później przy stacji robi się wielka kolejka i nie znika aż do momentu skończenia się paliwa. W sklepie najczęściej brakuje chleba", pisze Marta z Codsall w Staffordshire. „Stacja Shella na mojej ulicy zamknięta od soboty. Musieliśmy odwołać wyjazd za miasto, bo do nielicznych stacji nadal sprzedających paliwo ustawiły się takie kolejki, że zablokowały ruch uliczny. Nie mieliśmy jak wyjechać z dzielnicy. Jeżeli chodzi o zaopatrzenie w sklepach, to jeszcze nie zdarzyło mi się nie kupić tego, co potrzebuję, ale wybór produktów jest zdecydowanie ograniczony", donosi z Londynu Małgorzata. Relacje z różnych zakątków kraju utrzymane są w podobnym tonie: w Lidlu zaczyna brakować makaronów i ryżu, w Tesco nie ma od tygodni wody butelkowanej. „W Sainsbury's w zasadzie jedzenie jest – pisze Kasia z londyńskiej dzielnicy Croydon – ale wybór bardzo ograniczony (szczególnie owoców i warzyw). Z głodu nie umieramy".

Na prowincji z zaopatrzeniem jest nieco lepiej. „W Bedfordshire tragedii nie ma, jest gdzie zatankować benzynę, chociaż diesla brak. Jedzenia nie brakuje", relacjonuje Beata. Im bliżej Londynu, tym gorzej. „Wracałam dziś z Norfolku. Większość stacji zamknięta na całej trasie do Londynu, z informacją NO FUEL i taśmami policyjnymi naokoło – pisze Kasia. – W samym Norfolku wczoraj na stacji brak benzyny, diesel można brać do 20 funtów. Zakaz napełniania kanistrów. Dzisiaj pojawiła się benzyna, ale też z limitem do 20 funtów".

W Lidlu zaczyna brakować makaronów i ryżu, w Tesco nie ma od tygodni wody butelkowanej.

Polka ze Szkocji musiała odłożyć część towarów przy kasie, gdyż... nie było ich w co zapakować. „Morrison. Moje zakupy już na taśmie, kasjer pyta, czy mam własne torby, bo w sklepie ich brak. Musiałam zostawić połowę rzeczy, podobnie jak inne osoby, a tym, którzy mieli zakupy w małych koszykach, pozwalano zabrać je na zewnątrz i wypakować prosto do samochodu", donosi Edyta z Glasgow.

Agnieszka z Bournemouth pisze: „Dzisiaj dostaliśmy mejle od menadżerki w sprawie paliwa – stacje zaczynają wprowadzać godziny dla kluczowych pracowników. Ja zatankowałam w niedzielę rano w Shellu na obrzeżach miasta, w drodze z pracy. Limit 30 funtów, jednak to dla mnie nie problem, bo za więcej nie zatankuję przy 35-litrowym baku. Około godz. 11 wybrałam się do Lidla na zakupy, był duży ruch (jak to w weekendy). Na półkach brakowało wielu produktów, zwłaszcza tych z długimi terminami ważności. Oprócz normalnych zakupów wzięłam kilka rzeczy na zapas. Widziałam, co się święci, już na początku sierpnia, kiedy wróciłam z Polski".

Są gotowi pocierpieć razem z Anglikami, byle dowieść, że brexit to błąd.

Zuzanna Muszyńska

eprasa.pl c897b7b470

Oko w oko Tomasz Jastrun

Z poetą myśli w Przemyślu

Jestem w Przemyślu na festiwalu Ogrody Poetów. Przemyśl, rozcięty wstęgą Sanu, to w swojej starej części miasto magiczne, usadowione na wzgórzach, a liczne kościoły stojące gęsto obok siebie wspinają się na te wzgórza jak schody do nieba. Pochyły rynek – czy nie jedyny taki w Polsce? – a na najwyższym wzgórzu ruiny zamku, w odremontowanej części jest duża sala widowiskowa i mniejsze gotowe na spotkania. Tam odbywa się tradycyjnie poetycki festiwal.

Jego organizatorka mówi, że sprawdziła, że byłem gościem Ogrodów Poetów 14 razy. Co?! Dałbym głowę, że nie więcej niż sześć. Jak zwodnicza jest ludzka pamięć, jak nie można jej ufać, ja swojej zupełnie nie ufam. Ufam tylko pamięci swoich wrażeń i emocji, a nie faktom. Z poetką Agnieszką Herman spacerem z zamku do hotelu nad Sanem, przez stare miasto, szliśmy z rynku z pół godziny. By wrócić na rynek. Taki ze mnie przewodnik. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia.

Czytanie wierszy. Po czym można poznać poetę narcyza? Czyta długie i trudne teksty, nie biorąc pod uwagę, jaka jest publiczność i jak wytrzymała jest ludzka uwaga. Okropnie mnie denerwuje, gdy ludzie nie czują innych ludzi, tak są skupieni na sobie. Artystom niestety często się to zdarza.

Po czym poznać poetę narcyza? Czyta długie i trudne teksty, nie biorąc pod uwagę, jaka jest publiczność.

Późną nocą z Leszkiem Żądłą, saksofonistą mieszkającym w Monachium, do pubu Niedźwiadek na rynku; otwarty do ostatniego gościa, przysiada się właściciel z żoną, dobre pszeniczne piwo. Oczywiście na chwilę schodzimy na politykę, od razu ustalamy, że mamy takie same poglądy. To bardzo teraz zbliża ludzi. Siedzę w miejscu, gdzie rok temu, a jak wczoraj, siedziałem z poetą Adamem Zagajewskim, jadł, pamiętam, regionalnego pieroga. Nie ma już pieroga i nie ma już Adama, a jednak jakoś jest żywy. Ale „już nie ma" szybko zjada „jakoś jest żywy". Zdumiewające zjawisko tej podwójności, które towarzyszy każdej śmierci.

Festiwal poświęcony Norwidowi, bo w tym roku jest rocznica jego urodzin. W ramach festiwalu seminarium poświęcone poecie, które prowadzę; dobrze i pewnie czuję się w tej roli, bo od tylu lat jestem blisko z Norwidem. Mój ojciec, obok Juliusza Gomulickiego, był chyba najwybitniejszym w Polsce znawcą Norwida, z tym że Gomulicki był detektywem jego życia, ojciec bardziej twórczości. Moja wiedza przy ich wiedzy jest niczym. Ojciec kłócił się z Gomulickim, pan Juliusz upierał się, że Norwid czytał „Kwiaty zła" Baudelaire'a i że są tego ślady w wierszach poety, ojciec twierdził, że ich nie ma. I niemal pojedynkowali się z tego powodu. Takie były kiedyś spory.

•

Od poezji do prozy życia. PiS pracowicie buduje niechęć Polaków do Unii, teraz służy temu sprawa kopalni węgla brunatnego Turów, ta odkrywkowa kopalnia na granicy weszła w szkodę Czechom i złożyli skargę w Unii, która karze nas finansowo. To nie jest prosta sprawa do rozwiązania, ale był czas, by pertraktować z Czechami. Ambasador Czech w Polsce mówi o słowach Morawieckiego „przykro to słyszeć" i przypomina, że Czesi od kilku lat zgłaszali Polsce problem. Narracja rządu, że Unia niesłusznie nas karze, bo chcemy być niepodlegli, a Czechy są podłe. PiS generalnie buduje siebie na lękach i niechęciach. Świat wokół jest zły, Rosja grozi nam czołgami, a Niemcy chcą skorzystać na Turowie i nas ograbić. Mamy więc już wojnę z Rosją i z Białorusią, zła krew jest z Czechami, źle jest z Izraelem, ze Stanami Zjednoczonymi konflikt, no i wiadomo – dramat z tą niechętną nam Unią Europejską, a tu na dodatek jedna trzecia Polaków nienawidzi PiS. A przecież tylko PiS obroni nas przed złym światem. Dzięki niemu Polska wstała z kolan. Rzeczywiście wstała i widać, że jest sama i goła.

•

Mariusz Kamiński na konferencji prasowej o uchodźcach na granicy: „Mamy do czynienia z osobami, które mają coś wspólnego z grupami przestępczymi, osoby zwichrowane seksualnie". Pokazano zdjęcie, jak uchodźca spółkuje z krową. Kolejny dowód, że jakieś traumy seksualne są u źródeł myślenia polskiej prawicy katolicko-narodowej.

•

Dziennikarze z „Gazety Wyborczej", Radia Zet i Onetu przygotowali pierwsze pełne zestawienie zarządów i rad państwowych spółek. Przez kilka miesięcy analizowali informacje na temat 5 tys. osób pojawiających się we władzach ponad 1 tys. spółek skarbu państwa oraz spółek z nimi powiązanych. Przynajmniej 900 z nich ma związki z politykami Zjednoczonej Prawicy. Wiemy jednak, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Pisałem kiedyś o tym, jak wymienia się szefów pism literackich na pisowskich. To samo zaczyna się dziać w wydawnictwach, jeśli nie są prywatne. We wszystkich instytucjach kultury podległych ministerstwu trwa wymiana kadr. A co dopiero dzieje się gdzie indziej, choćby w Poczcie Polskiej czy w Lasach Państwowych lub w PKP. Ta lepka pajęczyna oplata już całą Polskę.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Rodzina, która wywołała epidemię

Uzależnienie od leków opioidowych szybko przełożyło się na zwiększone zażywanie narkotyków

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja ze Stanów Zjednoczonych

W czasach gdy amerykański sen stał się własną karykaturą, saga rodu Sacklerów jest jak wyjątek potwierdzający regułę. Rodzina, która wpędziła Amerykę w bezprecedensową na skalę świata epidemię uzależnień i śmierci z powodu zażywania opioidów, właśnie przegrała, a jednocześnie wygrała ciągnącą się od prawie 15 lat rozprawę przeciwko jej praktykom biznesowym. Zachowa majątek, immunitet od kolejnych pozwów sądowych, a nawet nadal będzie mogła produkować i sprzedawać leki, w tym opioidowe.

Sacklerowie to właściciele założonego jeszcze w 1892 r. koncernu farmaceutycznego Purdue Pharma, który przez ostatnie 25 lat zbijał fortunę na produkcji i sprzedaży leków przeciwbólowych, wśród których gwiazdą był oxycontin – lek na bazie opioidu oksykodonu, silnie uzależniający, zwykle stosowany u pacjentów z bólem nowotworowym i pooperacyjnym. Sacklerowie, co zostało im wyczerpująco udowodnione, doskonale zdawali sobie sprawę z uzależniających właściwości oxycontinu, a jednak, począwszy od połowy lat 90., z premedytacją reklamowali lek, także w środowisku medycznym, jako całkowicie bezpieczny przy długotrwałym stosowaniu, w tym w leczeniu umiarkowanego bólu, nagradzając szpitale i lekarzy, którzy wykazywali się szczególną gorliwością w stosowaniu medykamentu.

Rewelacje, że agresywna promocja oxycontinu opierała się na informacyjnej manipulacji, wstrząsnęły Ameryką już w 2007 r., gdy firma po raz pierwszy została postawiona w stan oskarżenia. Sprawę o oszustwo marketingowe, które przełożyło się na skokowy wzrost uzależnień i śmierci z przedawkowania oxycontinu, a z czasem jego ulicznych odpowiedników, wniósł prokurator generalny Kentucky, występując w imieniu mieszkańców Appalachii, jednego z najbiedniejszych i najwcześniej dotkniętych epidemią opioidalną regionów USA. Koncern przyznał się do winy i w ramach kary zgodził się wypłacić stanowi Kentucky 600 mln dol., sumę jak na owe czasy bezprecedensową w kręgu spraw o nadużycia farmaceutyczne. Prezes i firmowy adwokat, główni oskarżeni w procesie, zostali obciążeni dodatkową karą 34 mln dol.

Co się odwlecze, to uciecze

Choć oszustwo Purdue Pharmy wyszło na światło dzienne, nie oznaczało to natychmiastowych problemów ani dla koncernu, ani dla zawiadującej nim rodziny. Amerykańskie prawo jest sprawiedliwe, ale potrafi być nierychliwe – tym bardziej, im większe pieniądze wchodzą w grę. Kolejne lata przyniosły wysyp pozwów ze strony osób indywidualnych i całych organizacji, w tym stanowych, występujących z ramienia ofiar nieświadomego uzależnienia od opioidów. Do odpowiedzialności karnej i finansowej w wysokości miliardów dolarów pociągnięci zostali dystrybutorzy i sprzedawcy oxycontinu (m.in. sieć aptek Walgreens), podobnie jak inni producenci opioidów, tacy jak Johnson&Johnson czy Teva Pharmaceutical Industries. Świadomość, że leki opioidowe to kluczowy element kryzysu zdrowotnego, zakorzeniła się w publicznej świadomości niczym stuletni dąb, a jednak rodzina stojąca w centrum skandalu nadal spokojnie zarządzała firmą i bogaciła się. Przez ćwierć wieku zyski ze sprzedaży oxycontinu zasiliły rodzinne konto sumą rzędu 13 mld dol. Proces upadłościowy Purdue Pharmy ruszył dopiero w 2019 r., 12 lat od wybuchu skandalu. A potem trzeba było jeszcze dwóch lat, by negocjacje między Sacklerami a stronami pozywającymi i prokurującymi upadłość – prokuratorami generalnymi większości stanów – zakończyły się porozumieniem i ustaleniem warunków bankructwa na drodze polubownej rekompensaty dla poszkodowanych w wysokości 10 mld dol.

Długo oczekiwany wyrok zapadł 1 września tego roku i stało się jasne: Sacklerowie wyszli z tej batalii obronną ręką. Koncern Purdue Pharma został formalnie ogłoszony bankrutem, ale przewodniczący rozprawie sędzia Robert Drain z Wydziału ds. Upadłości w White Plains w stanie Nowy Jork przychylił się do wszystkich najważniejszych warunków/żądań Sacklerów. O ile więc przekażą w ciągu najbliższej dekady 4,5 mld dol. na konta organizacji stanowych i społecznych walczących z epidemią uzależnień, oni sami oraz setki ich wspólników i byłych współpracowników (lista nazwisk ma 12 stron) otrzymają immunitet od odpowiedzialności prawnej w przyszłości. I choć 4,5 mld dol. to gigantyczna suma, majątek Sacklerów na tym nie ucierpi. „*Deal* upadłościowy nakazuje Sacklerom wycofać się z biznesu, ale pozwala zrobić to w sposób, który umożliwi im zachowanie, a potencjalnie i dalsze pomnażanie majątku, szacowanego w chwili obecnej na 11 mld dol.”, zareagowali na orzeczenie sędziego Draina Jeremy Hill i Sophie Alexander z serwisu

W latach 1999-2019 z przedawkowania opioidów zmarło w USA ponad 820 tys. osób.

eprasa.pl c897b7b470

Protest przed sądem po wyroku w sprawie Purdue Pharma, 9 sierpnia 2021 r.

ekonomicznego Bloomberg w tekście „Sacklerowie wychodzą ze skomplikowanej sprawy upadłościowej z miliardami w kieszeni".

Co więcej, wyrok pozwala Sacklerom na utworzenie na gruzach starej firmy nowego koncernu, który w dalszym ciągu może produkować i sprzedawać farmaceutyki, w tym produkty opioidowe. Zabezpieczeniem nowego tworu korporacyjnego przed ewentualną korupcją ma być jedynie fakt, że jego zarząd będzie wybierany z puli osób publicznych, a firma będzie funkcjonowała jak *public trust operation*. Czyli zyski powinny być przeznaczane na cele publiczne, w tym wypadku zdrowotne. W przypadku konfliktu konsumenta z firmą w litygacji musi uczestniczyć przedstawiciel rządu. I tutaj uwagodygresja, bardzo istotna dla zrozumienia, czym była/jest sprawa upadłości koncernu i dalszych losów jego właścicieli. Mimo udowodnionej winy Sacklerom nigdy nie brakowało wsparcia ani przyjaciół w najwyższych kręgach. Ich obroną jawnie zajmował się swego czasu m.in. Luther Strange, republikański senator z Alabamy, a wcześniej prokurator generalny tego stanu oraz szef Związku Republikańskich Prokuratorów Generalnych (sprawował tę funkcję do 2017 r.). Strange agitował republikańskie środowisko do działań na rzecz powstrzymania fali pozwów przeciw koncernom farmaceutycznym, nazywając je „społeczną fanaberią".

Co się opłaci, to się odwdzięczy

Najbardziej gorzkie jest jednak to, że Sacklerowie nie zostali przez sędziego Draina zobligowani do żadnych formalnych przeprosin za dramat, do którego się przyczynili. Nic dziwnego, że w dniu ogłoszenia wyroku przed budynkiem sądu nie zabrakło demonstrantów z napisami: „Moralnie upadły sąd upadłościowy sędziego Draina". Piszący gościnnie dla „New York Timesa" Ryan Hampton, były wiceszef komitetu Official Unsecured Creditors (w tym przypadku ofiar epidemii uzależnień od oxycontinu – przyp. red.) uczestniczący w postępowaniach upadłościowych Purdue Pharma, także nawiązuje do kompromitującego amerykański sąd wyroku, wskazując jednocześnie korupcję wymiaru sprawiedliwości. W artykule „Sacklerowie odchodzą w stronę zachodzącego słońca. Potrzebna nam reforma systemu" Hampton pisze: „Sacklerowie skorzystali na systemie, który grozi palcem przestępcy, a ofiarę zostawia samą sobie. (…) Do poszczególnych komisji powołano dużo więcej przedstawicieli korporacji niż przedstawicieli »ludzkich« ofiar epidemii opioidowej. Farmaceutyczny korpoświat przybył do sądu udowadniać, że i jemu należy się od Purdue przyzwoite odszkodowanie. Obecność ofiar w procesie postępowania upadłościowego traktował jak część gierki potrzebnej tylko po to, by doszło do porozumienia stron, a Sacklerowie w końcu wyszli wolni". Wspomniana suma 10 mld w ramach odszkodowań od Purdue Pharma to ogromne pieniądze, a jednak, jak twierdzi Hampton, większość ofiar bądź rodzin zmarłych nie będzie mogła liczyć na odszkodowanie wyższe niż 38-45 tys. dol. właśnie przez to, ile „system" pozwolił zgarnąć korpofarmie.

Wreszcie do podejrzeń, że werdykt w sprawie Sacklerów mógł być ustawiony, skłania fakt, że sędzia Drain nie przejął się postawą samego Departamentu Sprawiedliwości. „Takie rozwiązanie sprawy pozwoli Sacklerom *de facto* uniknąć odpowiedzialności za przestępstwo napędzania jednego z najpoważniejszych kryzysów zdrowotnych w historii USA i czerpania z niego profitów finansowych. Jest to nielegalne i niekonstytucyjne", napisał w oświadczeniu z ramienia Departamentu Sprawiedliwości sędzia William Harrington. Departament zapowiedział już, że będzie się odwoływał od decyzji Draina. Stawką jest przecież nie tylko sama sprawiedliwość, ale i ustanowienie precedensu na przyszłość.

Wyrok pozwala Sacklerom na utworzenie nowego koncernu, który nadal może produkować opioidy.

Jedno pociesza. Choć Sacklerowie po dziś dzień utrzymują, że nie zrobili nic złego, a nawet usiłują publicznie skarżyć się na ostracyzm społeczny, jakiego coraz częściej doświadczają, opinia publiczna – w przeciwieństwie do korpoświata i niektórych elementów systemu sprawiedliwości – zwraca się przeciw nim. Kilkadziesiąt organizacji i instytucji, które przez dziesięciolecia przyjmowały od Sacklerów darowizny na inicjatywy społeczno-kulturalne, zakończyło współpracę

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

z rodziną. Są wśród nich m.in. nowojorskie muzea sztuki Metropolitan i Guggenheim, brytyjskie galerie Tate oraz South London Gallery, a także Uniwersytet Columbia. Rośnie liczba publikacji dziennikarzy śledczych oraz byłych współpracowników Sacklerów, które obnażają kulisy rodzinno-korporacyjnej polityki w sposób niepozostawiający wątpliwości co do jej prawdziwej natury. W jednej z najlepiej udokumentowanych, „Imperium bólu" Patricka Raddena Keefe (2019), możemy przeczytać: „Gdy Purdue Pharma szykowała się w 1996 r. do wprowadzenia na rynek oxycontinu, Richard Sackler, członek rodziny i zarządu koncernu, wydał z tej okazji *lunch,* podczas którego poprosił gości, by wyobrazili sobie naturalne kataklizmy, takie jak trzęsienie ziemi, huragan czy śnieżycę. »Premiera oxycontinu przyniesie nam właśnie taki huragan recept, który zmiażdży naszą konkurencję«, rzekł wówczas Sackler. Pięć lat później, gdy pojawiły się pierwsze pytania o właściwości uzależniające oxycontinu, Sackler nakreślił strategię działania, z której Purdue stała się znana: »Będziemy obwiniać nie lek, lecz ludzi, którzy się od niego uzależnili. Musimy atakować uzależnionych w każdy możliwy sposób. Mówić, że to oni są problemem, oni, kryminaliści«".

Co mówi statystyka

Nie można oczywiście nie przyjmować, że niechęć statystycznego Amerykanina do Sacklerów wypływa z prostego faktu, iż sprokurowana przez dynastię epidemia wciąż się rozwija i pogłębia. Uzależnienie od leków opioidowych szybko przełożyło się na zwiększone zażywanie narkotyków, po które uzależnieni sięgają, gdy nie mają już dostępu do recept – głównie heroiny oraz syntetyków typu fentanyl. W przeciwieństwie do liczby wydawanych recept ulicznych dragów nie sposób kontrolować. A fakty są miażdżące. Według rządowego ośrodka informacyjnego Drugabuse.gov w latach 1999-2019 z przedawkowania opioidów zmarło w USA ponad 820 tys. Amerykanów. Z uzależnieniem walczy co najmniej 2 mln ludzi. U co szóstego pacjenta przyjmującego leki opioidowe rozwija się nawyk, co dziesiąty w pewnym momencie sięga po heroinę, a wśród heroinistów aż 80% to ludzie, którzy zaczęli „przygodę" z dragami od oxycontinu właśnie. Pandemia koronawirusa, choć na logikę przymusowe siedzenie w domu powinno zmniejszyć dostępność narkotyków, okazała się najgorsza od lat. Z przedawkowania zmarło w 2020 r. aż 93 tys. ludzi, o 30% więcej niż z tej samej przyczyny w roku 2019 (CDC, 2021).

Mimo udowodnionej winy rodzinie nigdy nie brakowało wsparcia ani przyjaciół w najwyższych kręgach.

Choć epidemia uzależnień już w 2017 r. uzyskała oficjalny status *public health emergency*, nie przełożyło się to na zbyt wiele przedsięwzięć amerykańskich władz. Były to bowiem czasy prezydentury Trumpa i triumfu konserwatystów niechętnych każdemu programowi, który trąci socjalnym rozdawnictwem. Z jednej strony, nie przydzielono adekwatnych funduszy, z drugiej, Trump oddelegował do koordynacji działań w walce z narkomanią swoich zaufanych, lecz niekoniecznie kompetentnych znajomych: kumpla Chrisa Christie (byłego republikańskiego gubernatora stanu New Jersey) oraz ulubioną doradczynię Kellyanne Conway. Zapanował „organizacyjny chaos" i po chwilowym wypłaszczeniu statystyk śmierci z przedawkowania w 2018 r. w roku 2019 znów poszybowały one w górę, bijąc dotychczasowy rekord (z 43 tys. w 2017 r. do 50 tys. w 2019 r.).

Wreszcie wdrażanie skuteczniejszych metod walki z opioidową epidemią utrudnia amerykański system opieki medycznej. Warstwą najbardziej dotkniętą kryzysem od początku byli najbiedniejsi Amerykanie – najpierw w większości środowiska białe, obecnie kolorowe – którzy nie mają ubezpieczenia, bo jest ono bardzo kosztowne. O ile więc nie mają dostępu do leczenia za darmo, o żadnym odwyku nie ma mowy. Koszt miesięcznej kuracji np. uznawanymi przez Światową Organizację Zdrowia za tzw. leki podstawowe buprenorfiną czy metadonem, nie mówiąc nawet o nowoczesnym preparacie o spowolnionym uwalnianiu, vivitrolu (naltreksonie), to od 500 do 1,2 tys. dol. miesięcznie (dane National Institute of Drug Abuse).

Rozwiązanie problemu nie będzie łatwe. Nie byłoby prostych recept nawet wówczas, gdyby Sacklerowie zostali przykładnie pociągnięci do odpowiedzialności za swoje przestępstwa, choć oczywiście każdy grosz jest tu na wagę złota i żadna dodatkowa kwota nie byłaby bez znaczenia. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Sacklerowie mimo wszystkich swoich win mogliby odegrać ważną rolę. Amerykanie pozostają społeczeństwem niebywale otwartym i podatnym na wpływ jednostki. Charyzma jest ważna i w polityce, i w życiu społecznym, a bodaj najlepszym tego przykładem jest zawrotna kariera celebrytów i influencerów. Do tego społeczeństwo to zdolne jest szybko zapominać i przebaczać, o ile widzi szczerą skruchę i chęć poprawy – to część tutejszego DNA, biorąca się z purytańskiego światopoglądu, wedle którego nigdy nie jest na późno na naprawę błędów i odkupienie. Poważne zaangażowanie Sacklerów w kampanie na rzecz leczenia uzależnień pospołu z publicznymi przeprosinami i stylem bycia bardziej świadczącym o skrusze mogłyby być dla Ameryki inspiracją i przykładem, których potrzebuje. Jednocześnie cudownym i nie mniej inspirującym dowodem, że krajem rządzą nie tylko wielkie fortuny skoordynowane z systemem obliczonym na ich krycie i wspieranie, ale także poczucie przyzwoitości i społecznej solidarności. Tyle że dynastia Sacklerów nie wydaje się zainteresowana tego rodzaju bohaterstwem i spuścizną. Wielka szkoda.

Sacklerowie skorzystali na systemie, który grozi palcem przestępcy, a ofiarę zostawia samą sobie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl c897b7b470

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Straż paniczna

Reżim pisowski poszedł na całość – najwyraźniej wedle tajnych sondaży wyczuł w suwerenie przyzwolenie na ludobójstwo i właśnie rozpoczął kampanię przygotowującą grunt pod rzeź. Zadałem sobie trud obejrzenia w całości haniebnej konferencji Mariuszów i władza zaiste sięgnęła poziomu Radia Rwanda zarówno pod względem nasycenia zbrodniczej propagandy nienawiścią, jak i siermiężności wykonania. „Nie chcemy stygmatyzować żadnego środowiska, ale takie są FAKTY", powiada Mariusz K., skazany prawomocnym wyrokiem na trzy lata więzienia za fałszowanie dowodów. Na Polaków to ma wystarczyć – liczą się emocje, nie fakty; te drugie, nawet błyskawicznie zweryfikowane, zawsze będą wobec emocji spóźnione. Jakie ma znaczenie, że władza kłamie, skoro naród takich kłamstw pragnie?

Przekaz płynący z konferencji szefostwa sił wewnętrznych jest równie subtelny jak jej poziom merytoryczny: ciapaci to niebezpieczne zboki, zanim was zabiją, zgwałcą nasze dzieci, a nawet krowy. Człowiek myślałby, że sto lat po rasistowskim szambie „Der Sturmera" przekaz się trochę wysubtelni… Kogo obchodzi, że na slajdzie nie krowa, ale klacz, w dodatku z filmu nakręconego na VHS w czasach, gdy oskarżanego o zoofilię Afgańczyka najpewniej nie było jeszcze na świecie? Strach został zasiany i usankcjonowany, strażnicy paniki społecznej zadbają o to, by lęki i fobie w narodzie nie wygasły.

Jakie ma znaczenie, że władza kłamie, skoro naród takich kłamstw pragnie?

Kiedy patrzę na oblicze Mariusza K., filozofia twarzy zawodzi – widzę tylko otchłanną pustkę człowieka nie dość, że wydrążonego (z ludzkich uczuć), to nafaszerowanego trucizną. I nie chodzi mi wyłącznie o etanol, choć szef naszych służb specjalnych przemawia jak człowiek udręczony chorobą alkoholową, którego zmuszono, by trzymał się na nogach i wygłosił swoją mowę celem „ujawnienia wstrząsających" faktów.

Strategia rządu jest bezlitosna – napływ uchodźców czy też, jak chce władza, „szturm broni demograficznej" na granice kraju można zatrzymać, tylko gotując tym ludziom piekło gorsze od tego, przed którym uciekają. Na Wschód ma dotrzeć komunikat: chcieliście lepszego życia niż w ojczyźnie, ale dostaniecie tu tylko gorszą śmierć – nikt nie poświęci wam nawet kuli, zostaniecie zagłodzeni pod gołym niebem. No chyba że z odsieczą pośpieszą polscy myśliwi, którym przedłużany stan wyjątkowy wchodzi w paradę, oto więc rozważane jest dopuszczenie „odstrzału sanitarnego na terenach objętych stanem wyjątkowym". Niby chodzi o dziki, ale, jak wiemy, ostatnio nadzwyczaj łatwo pomylić dzika z człowiekiem, jakby zaiste w lobby myśliwskim frakcję kreacjonistów wypierali alterewolucjoniści, wierzący, że człowiek pochodzi od dzikiej świni. Być może zatem, nim przerażony naród sięgnie po błogosławione siekiery, by walczyć z armią pedofilów, narkomanów i terrorystów, co to stanęli u rubieży, myśliwi załatwią sprawę humanitarnym odstrzałem. A że ci nieszczęśnicy dogorywający w pasie granicznym nie wyglądają tak groźnie jak na slajdach? Nie muszą być uzbrojeni, sami są bronią hybrydową, to nie ludzie, tylko chodzące bomby… Taką paranoję dotąd znałem tylko z olśniewająco chorej wyobraźni Philipa Dicka, klasyka XX-wiecznej futurystyki (w „Ubiku" pojawia się bomba człekokształtna).

Powiada rzecznik MSWiA, że wedle zebranych dowodów (jak rozumiem, zebranych po lasach, gdzie co prawda grzybnia już zanika, za to mamy wysyp kart SIM z arabskich komórek): „Co dziesiąty z migrantów ma możliwe powiązania z terroryzmem, przestępczością kryminalną lub przemytem ludzi". Hm, trochę słabo, biorąc pod uwagę deklaracje wiary naszych obywateli, lekką ręką licząc, co drugi Polak jako praktykujący katolik ma „możliwe powiązania z organizacją przestępczą", czyli mafią w sutannach kryjącą aktywnych pedofilów. Gdyby tak przetrzepać komórki księży wędrowników, przenoszonych po parafiach, by móc molestować dziatwę, nasze dziarskie służby nie musiałyby sięgać po zdjęcia ze starych pornosów.

Mam jakieś resztki nadziei, że ta haniebna i obrzydliwa konferencja była samowolnym wybrykiem Mariuszów, którzy przelicytowali ze skalą zbydlęcenia ciemnogrodu, do którego adresują swój przekaz. Jeśli okaże się, że słupki poparcia PiS wzrosną, oznaczać to będzie, że jesteśmy narodem faszystów. Wrzodem na ciele Europy.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Więcej niż testament

Walicki odrzuca propagandę i proponuje nowy sposób myślenia o najnowszej historii Polski

Bogusław Czarny

Pierwszy tom trzytomowego wyboru pism Andrzeja Walickiego jest skomponowanym przez samego Autora zbiorem fragmentów książek, artykułów, niepublikowanych listów, wpisów w dzienniku z lat 1981-2018. Pełno tu znajomych nazwisk: Hannah Arendt, Leszek Balcerowicz, Zygmunt Bauman, Isaiah Berlin, Zbigniew Brzeziński, Friedrich Hayek, Wojciech Jaruzelski, Jarosław Kaczyński, John M. Keynes, Leszek Kołakowski, Tadeusz Kowalik, Jacek Kuroń, Karol Marks, Adam Michnik, John Stuart Mill, Jan Olszewski, Mieczysław Rakowski, John Rawls, Adam Schaff i wielu, wielu innych. Mamy do czynienia z panoramicznym obrazem historii Polski po 1956 r.

W tym „testamencie politycznym" Walickiego znajdziemy informacje dla wielu czytelników zapewne nowe. Moją uwagę zwróciły np. fragment listu Adama Schaffa o Jacku Kuroniu w 1982 r. z Białołęki wzywającym w „Kulturze" do „powstania narodowego", ubolewanie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego nad „odmową zapłacenia ceny krwi" przez Solidarność, która w stanie wojennym nie sięgnęła po radykalne formy walki politycznej w rodzaju terroryzmu i partyzantki miejskiej, słowa Adama Michnika z 2001 r. o „wielkim mistrzu humanistyki polskiej" Włodzimierzu Brusie, wypowiedzi Józefy Hennelowej i Wiktora Osiatyńskiego po 2000 r. piszących w „Tygodniku Powszechnym", że „domaganie się socjalnego minimum oraz jakiejkolwiek redystrybucji bogactwa społecznego jest dowodem bolszewizacji świadomości" (Hennelowa) i że „pomoc państwa dla osób niezdolnych do pracy powinna ograniczać się do… 800 kalorii dziennie oraz miejsca w przytułku z dostępem do bieżącej wody" (Osiatyński).

Walicki oferuje także rozbudowane analizy, np. totalitaryzmu i poglądów Adama Michnika, które – bywa – krytykuje jako fałszywe (naiwne?), sprzeczne wewnętrznie, a nawet podszyte złą wolą. „[L]udzie pokolenia Michnika nie wiedzą chyba, o czym mówią, gdy porównują Polskę Gierkowską lub Jaruzelską do Bierutowskiej. (…) [C]ałe »pokolenie Solidarności« nie wie w ogóle, czym jest totalitaryzm; dlatego m.in. miało tyle złudzeń i dlatego też nie umie docenić, jak ogromną zmianę na korzyść przyniosła destalinizacja. Wtedy walczyło się o własną duszę, dziś walczy się o »podmiotowość społeczną« (…). A to przecież zupełnie coś innego. Nikt nie mówi, że mamy wolność polityczną, ale też nikt przy zdrowych zmysłach nie powie, że Polsce zagraża dziś »zniewolenie umysłów«, że istniejąca władza chce i ma szansę osiągnąć coś takiego".

> Sztandarowa postać naszej transformacji sympatyzuje z poglądami uważanymi przez amerykańskich liberałów za obskurancko-prawicowe.

Wreszcie można u Walickiego znaleźć oceny. O sławnej „transformacji systemowej" i Leszku Balcerowiczu Autor pisze: „[Ch]odziło o cel ideologiczny, a nie o rozwiązania optymalne społecznie i gospodarczo. Dobitnym potwierdzeniem tej diagnozy jest obszerna antologia Leszka Balcerowicza »Odkrywając wolność« (Poznań 2012), bezwartościowa jako zbiór tekstów mających ilustrować rozwój myśli liberalnej, ale za to dająca dobry wgląd w mentalność samego Balcerowicza jako twórcy reform wprowadzających w Polsce ustrój kapitalistyczny. (…) [O]kazało się, że sztandarowa postać naszej transformacji, uważana przez »Gazetę Wyborczą« za znak rozpoznawczy polskiego sukcesu, sympatyzuje z poglądami uważanymi przez amerykańskich liberałów za obskurancko-prawicowe, ale wciąż niebezpieczne mimo swej ewidentnej anachroniczności".

Najważniejsze jest jednak to, że Walicki przedstawia całościową interpretację najnowszej historii Polski, która drastycznie różni się od kliszy wtłoczonej do głów Polaków po 1989 r. Dowodzi np.:

- że po Październiku 1956 r. w Polsce nie było żadnego „totalitaryzmu";
- że wewnętrzna dynamika PRL sprawiała, iż kraj powoli ewoluował wtedy ku „postkomunistycznemu autorytaryzmowi" (termin Zbigniewa Brzezińskiego);
- że bardzo wielu bezimiennym patriotom, budowniczym PRL, należą się wdzięczność i szacunek;
- że w obliczu warcholstwa pierwszej Solidarności stan wojenny był „mniejszym złem" niż brak stanu wojennego;
- że amatorską i okrutną „transformację systemową" inteligenckie elity Solidarności wykorzystały do „skoku na władzę i kasę", porzucając swoich wyborców;
- że ten skok był możliwy m.in. dzięki wyolbrzymieniu zasług peerelowskiej opozycji politycznej („autoheroizacja") i oczernieniu poprzedników („demonizacja przeciwnika");
- że przesycona nienawiścią do Rosji polska polityka zagraniczna jest irracjonalna i – w domyśle – szkodliwa dla Polski.

Utkana m.in. z tych myśli wizja tego, co działo się w Polsce po 1956 r., jest śmiała, spójna, dobrze udokumentowana i przekonująca. Walicki odrzuca propagandę i proponuje nowy paradygmat myślenia o najnowszej historii Polski.

Dodam, że ważnym składnikiem układanki Walickiego są jego uwagi o systemie wartości Polaków. Walicki

eprasa.pl c897b7b470

zaczyna od cytatów z Norwida: „Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym". Potem streszcza wyniki socjologicznych badań Adama Podgóreckiego postaw i etyki pracy (ekonomista powiedziałby „kapitału społecznego") w Polsce tuż przed Solidarnością (rok 1979): „Wśród Polaków wyraźnie przejawia się tendencja do traktowania ze szczególnym szacunkiem tego wszystkiego, co wiąże się z ojczyzną, niepodległością polityczną i martyrologią narodową. Cechuje ich organiczny sceptycyzm wobec codziennej, systematycznej pracy (…), połączony z celebrowaniem nawet najmniej istotnych świąt religijnych i państwowych". Kończy, pisząc o „wyjątkowo mocnej w Polsce skłonności do iluzji i mitów na temat szczególnej, wyróżnionej roli naszego kraju w ogólnoludzkich dziejach (…)". Ta polska mentalność razem z powstałym za czasów „realnego socjalizmu" roszczeniowym egalitaryzmem tłumaczą zdaniem Walickiego znaczną część opisywanych przez niego zdarzeń (np. *modus operandi* pierwszej Solidarności).

Szkoda jedynie, że – mimo podkreślania różnych zasług PRL – Walicki w zasadzie nie wspomina o gospodarczym dorobku tamtej Polski (może w następnych tomach „testamentu"?). Nie pisze o zbudowanych w Polsce Ludowej kolejach, portach, liniach energetycznych i ciepłowniczych, o hutach, elektrowniach, stoczniach itd., o kwalifikacjach zdobytych w peerelowskich uniwersytetach, politechnikach, akademiach medycznych, liceach, technikach, szkołach zawodowych itd. Po przeminięciu traumy „recesji transformacyjnej" te stworzone ogromnym wysiłkiem milionów Polaków zasoby, czyli popeerelowskie „infrastruktura", „przemysł ciężki", „kapitał ludzki", stały się, podręcznikowo, żyzną glebą, na której wzeszły i rozwinęły się setki tysięcy drobnych prywatnych przedsiębiorstw. To symboliczne, że te firmy powstawały nie dzięki planowi Balcerowicza, lecz dzięki ustawie o działalności gospodarczej Mieczysława Wilczka, ministra przemysłu w ostatnim peerelowskim rządzie Mieczysława Rakowskiego.

Aż się prosi, żeby polscy socjolodzy, ekonomiści, historycy, politolodzy kontynuowali dzieło Walickiego, wchodząc w szczegóły, uzupełniając, konkretyzując. Obawiam się jednak, że – jak wcześniej np. pisma Tadeusza Kowalika – „testament polityczny" Walickiego zostanie *de facto* zignorowany. Nie zdziwią mnie nawet epitety w rodzaju „renegata". Polska inteligencja liberalna z okolic „Gazety Wyborczej" i „Tygodnika Powszechnego" nie ma interesu w zachwalaniu Walickiego, bo Walicki jest oskarżeniem pod jej adresem (to jej dotyczy tytułowa „zdrada elit"), oskarżeniem, które skutkować powinno palącym uczuciem wstydu. Inteligencja konserwatywna i nacjonalistyczna ma jeszcze mniej powodów, by zajmować się Walickim, który obnaża i piętnuje jej mentalny anachronizm.

Owszem, o Walickim nie będzie milczeć cienka warstwa lewicowej inteligencji. Dziś jednak nadal jest prawdą, że polska lewica „nie zdołała wyłonić z siebie prężnego, wyrazistego ruchu intelektualnego", o czym Walicki pisał przed 20 laty. Wątpię więc, czy tego zainteresowania rozproszonych lewicowych entuzjastów wystarczy, żeby słowa Walickiego nie utonęły w huku „wolnych mediów", zajętych polityczną młócką, tajemnicami fatimskimi i życiem płciowym celebrytek. Tym bardziej trzeba Walickiego czytać i o Walickim myśleć, mówić, pisać.

Amatorską i okrutną „transformację systemową" inteligenckie elity Solidarności wykorzystały do „skoku na władzę i kasę", porzucając swoich wyborców.

Bogusław Czarny jest profesorem nadzwyczajnym SGH, ekonomistą specjalizującym się w historii myśli ekonomicznej

Andrzej Walicki, *PRL i skok do neoliberalizmu*, tom 1. *Jaruzelski. Solidarność. Zdrada elit*, pod redakcją Joanny Schiller-Walickiej i Pawła Dybicza, Fundacja Oratio Recta, PAN IHN, Warszawa 2021

Kup książkę PRZEGLĄDU

Testament polityczny Andrzeja Walickiego
Eseje i nieznane zapiski osobiste

76 zł

II TOM
Antykomunizm zamiast wolności
Porachunki inteligenckie

E-BOOK
19,90 zł

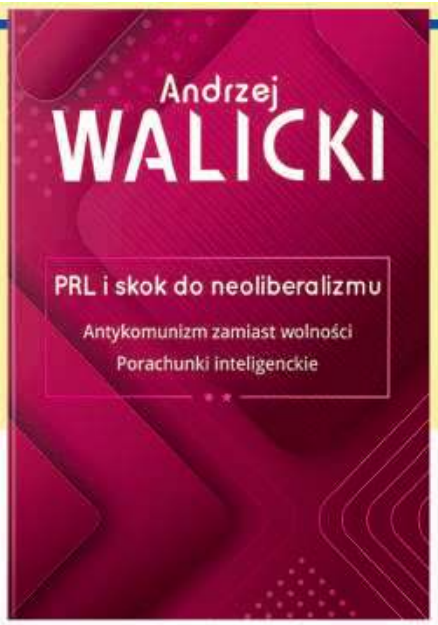

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
Wpłaty 76 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl c897b7b470

Leszek Konarski

Poezją w rząd

W 1992 r. strajkujący w FSM w Tychach pisali: „Solidarnościowe dranie chcą nas wziąć na przetrzymanie. Zapomnieli te pachołki, kto posadził ich na stołki!”

Ci, którzy w wielu miastach Polski strajkowali w 1980 r., byli pełni optymizmu, wierzyli w zwycięstwo, mieli wsparcie Kościoła, o ich protestach pisali dziennikarze w kraju i na całym świecie. Ten najważniejszy strajk w Stoczni Gdańskiej, zakończony podpisaniem przez Lecha Wałęsę i wicepremiera Mieczysława Jagielskiego porozumień sierpniowych, trwał od 14 do 31 sierpnia, a więc niewiele ponad dwa tygodnie.

Gdyby jednak ktoś mnie zapytał, który z relacjonowanych przeze mnie strajków zrobił na mnie największe i najbardziej dramatyczne wrażenie, bez wahania odpowiedziałbym: trwający od 22 lipca do 16 września 1992 r., czyli przez 56 dni, strajk okupacyjny w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach. To był najdłuższy i największy strajk okupacyjny w powojennej historii Polski. W tym czasie kilka tysięcy pracowników nie opuszczało swojego zakładu, broniąc go przed oddaniem za bezcen włoskiemu Fiatowi.

Prywatyzacja z przekrętem

W 1992 r. w FSM w Tychach pracowało ponad 7 tys. osób. Wiadomość o przygotowanej przez rząd prywatyzacji wartej miliony dolarów fabryki pracownicy przyjęli ze zrozumieniem. Włoski Fiat miał odkupić od skarbu państwa 51% akcji, pracownicy – nieodpłatnie dostać 10% akcji, a reszta miała pozostać w rękach państwa. Wszystko więc było w porządku.

Tymczasem z początkiem lipca 1992 r. pracownicy dowiedzieli się, że nie dostaną ani jednej akcji, państwu przypadnie tylko 10%, a Fiat za 90% akcji zapłaci 18 mln starych złotych, czyli równowartość czteromiesięcznej pensji jednej osoby zatrudnionej na linii montażowej – wtedy ok. 450 dol. Dlatego 22 lipca 90% pracowników FSM Tychy odeszło od stanowisk. Do strajku okupacyjnego przystąpiły wszystkie związki zawodowe, ale po dwóch dniach dwa największe, NSZZ Solidarność i NSZZ Metalowców (OPZZ), wycofały się, pozostawiając kierownictwo strajku w rękach Solidarności 80 i kilku mniejszych związków.

Gdy na porannej masówce uczestnicy strajku dowiedzieli się, że nie mogą liczyć na poparcie dwóch największych związków zawodowych, zaczęli gwizdać, rzucać na ziemię i deptać legitymacje Solidarności i OPZZ. Na czele komitetu strajkowego stanął Franciszek Gierot, ówczesny przewodniczący Solidarności 80, dzisiaj przewodniczący Międzyzakładowej Komisji Związkowej Sierpień 80 w Fiat Chrysler Automobiles Poland SA w tyskiej fabryce, który doskonale pamięta wydarzenia sprzed 30 lat.

Produkcję fiatów wstrzymano, ale załoga zabezpieczyła przed zniszczeniem wszystkie urządzenia, zabroniono spania w halach produkcyjnych. Na noclegi wyznaczono pomieszczenia administracyjne, sale konferencyjne. Można było leżeć na dmuchanych materacach, na kocach, ale nie na styropianie. Ten materiał, tak popularny w Stoczni Gdańskiej, tu źle się kojarzył i był zakazany.

Sierpień 1992 r. był bardzo ciepły i strajkujący doszli do wniosku, że zamiast spać w dusznych salach budynków administracyjnych, lepiej będzie spędzać noce na zewnątrz, w prowizorycznych namiotach. Do ich budowy użyli folii z opakowań nadchodzących z Włoch części do cinquecento, konstrukcje wykonano z prętów zbrojeniowych. Do każdego namiotu doprowadzono prąd, bo ludzie przynieśli z domów telewizory i radia. Każdy namiot miał swoją nazwę i tak powstało wielkie pole namiotowe, nazwane przez strajkujących „osiedlem rumuńskim” (w tych latach Rumunia była symbolem nędzy i tysiące Rumunów, którzy żebrali na ulicach polskich miast, mieszkało w takich prowizorycznych namiotach). Uczestnicy strajku pokazali mi najpiękniejsze „wille” tego „osiedla”, w wielu mieszkały całe rodziny, nawet z małymi dziećmi. Nigdy na żadnym strajku nie widziałem dzieci, a tu biegały one po terenach fabryki, grały w piłkę. Zdarzało się, że matka w namiocie opiekowała się maluchami, a ojciec dołączał do prowadzących głodówkę. Na początku komitet strajkowy nie chciał się zgodzić, aby w strajku okupacyjnym uczestniczyły kobiety, potem ustąpiono i pozwolono na obecność zarówno kobiet, jak i dzieci.

Tym kobietom, które postanowiły zostać w domach, zapewniono kontakt ze strajkującymi mężami i synami. Nie było wtedy telefonów komórkowych, fabryczna centrala telefoniczna została wyłączona, pozostały więc radia CB. Te rodzinne rozmowy ułatwiali dwaj krótkofalowcy, Stanisław Mankiewicz i Ryszard Panelo. Jeden dyżurował na terenie fabryki, a drugi za jej bramą siedział z krótkofalówką w fiacie 126p. Gdy ktoś ze strajkujących prosił o kontakt z rodziną, podawał adres, a ten w maluchu ruszał do wskazanego domu i można było porozmawiać przez CB.

Prawie w każdym namiocie był telewizor i krzykami reagowano na informacje podawane w telewizyjnych „Wiadomościach” o dobrych zmianach zachodzących w naszej gospodarce. Dla odreagowania włączano głośną muzykę, organizowano małe wieczorki taneczne. Komitet strajkowy nie był z początku zachwycony tą piknikową atmosferą, ale skończyło się na decyzji o ciszy nocnej od godz. 22.

W każdym namiocie słyszałem, że strajkują, bo rząd chce ich fabrykę sprzedać Włochom za bezcen. Kazano im pracować i siedzieć cicho.

eprasa.pl c897b7b470

Protest w FSM w Tychach był najdłuższym strajkiem okupacyyjnym w powojennej historii Polski. Przez prawie dwa miesiące pracownicy sprzeciwiali się złodziejskim metodom prywatyzacji państwowych przedsiębiorstw.

Należeli do Solidarności, chcieli zmian i je wywalczyli, ale przecież nie chcieli takich.

W pewnym momencie ktoś spontanicznie rzucił hasło głodówki. Zgłosiło się 200 chętnych, głodowało kilkudziesięciu, kilkanaście osób trzeba było hospitalizować. Potem z tej formy protestu zrezygnowano.

Przetrzymać milczeniem

Jako reporter „Przeglądu Tygodniowego" byłem w Tychach akceptowany. Gniew strajkujących skierowany był przeciw tzw. wolnym mediom, telewizji, prasie solidarnościowej. Na terenie fabryki spotkałem tylko kilku kolegów z prasy regionalnej, nikogo z ogólnopolskich tygodników, telewizji, radia. Jeżeli gdzieś o tym strajku pisano, to bardzo źle, że to dziki strajk, godzący w politykę Solidarności. A strajkujący natychmiast odpowiadali: a jakie były strajki Solidarności, czy nie były dzikie? Czy strajk w Stoczni Gdańskiej był legalny?

Strajkiem kierował 70-osobowy komitet strajkowy, na którego czele stał Franciszek Gierot. Siedmioosobowe prezydium tego komitetu prowadziło trwające wiele dni rozmowy z dyrekcją fabryki, jednak nie doszło do żadnych uzgodnień. Zarówno dyrektorzy Fiata, jak i przedstawiciele Ministerstwa Przekształceń Własnościowych uważali, że strajk blokuje proces prywatyzacji, natomiast członkowie komitetu strajkowego odpowiadali, że to nie żadna prywatyzacja, tylko wielkie oszustwo gospodarcze rządzącej ekipy. Okupują zakład, bo należą im się akcje pracownicze, chcą czuć się gospodarzami tej fabryki. Domagali się też podwyżki płac, pozostawienia w fabryce służby zdrowia, którą chciano zlikwidować, wymiany kierownictwa, a szczególnie jednego z wicedyrektorów, który nazwał ich „faszystowskimi bojówkarzami".

Komitet strajkowy nie otrzymał poparcia od katowickiego wojewody Wojciecha Czecha, który stwierdził, że okupacja fabryki może doprowadzić w Polsce do chaosu. W Warszawie strajkujący spotkali się z Januszem Lewandowskim, ministrem przekształceń własnościowych, a w rozmowie wziął udział Jacek Kuroń. Obydwaj nakrzyczeli na członków delegacji z Tych: rząd nie będzie z nimi rozmawiał, nie będzie tolerował dzikiego strajku ani żadnych uzgodnień podjętych z dyrekcją fabryki. Mają natychmiast wracać i zakończyć strajk, bo inaczej wszyscy mogą zostać zwolnieni. Przekonali się, że rząd za wszelką cenę chce ten strajk wyciszyć, nie informować opinii publicznej, o co pracownicy walczą.

Fiat za 90% akcji FSM miał zapłacić 18 mln starych złotych, czyli równowartość czteromiesięcznej pensji jednej osoby zatrudnionej na linii montażowej.

Strajkujący w Tychach nie mogli też zrozumieć, dlaczego zostali odtrąceni przez Kościół. Gdy protestowali jako członkowie Solidarności, każdy dzień zaczynali od mszy celebrowanej przez miejscowych księży. Teraz żaden kapłan nie chciał ich odwiedzić. Pokazali mi pismo, które wystosowali do księdza dziekana w Tychach. Napisali, że walczą nie tylko o siebie, ale także z biedą całego społeczeństwa, bo polityka rządu doprowadzi ich do nędzy. Prosili o odczytanie tego listu z ambon w pobliskich parafiach.

I rzeczywiście, list informujący o powodach strajku został odczytany

FOT. ANDRZEJ GRYGIEL

eprasa.pl c897b7b470

Fragmenty wierszy strajkujących w 1992 r. pracowników FSM w Tychach*

O demokracji
Komu chcecie wciskać kit demokracji,
Parlamentarne osły stalinowskiej szkoły,
Gnoicie Polskę jak za sanacji,
Dla was zapłatą będzie kocioł smoły.

O obłudnej pobożności
Wy, którzy pierwsze miejsca zajmujecie
w synagogach,
Na pokaz ręce składacie przed ołtarzem,
Dokąd prowadzi was krętacka droga,
Wasze uczynki, niebawem czas pokaże.

O złodziejach
Rozszabrowana Polska i sprzedana
Wy zdrajcy Ojczyzny w roli wasala,
Lecz lud nie padnie nigdy na kolana,
Choćbyście wszystkich nas sprzedali.

O Polsce
I znów się – kurwa –
myśli w tobie tłuką
czy to jeszcze Polska
czy to już Mambuko!

O Solidarności
Solidarnościowe dranie
chcą nas wziąć na przetrzymanie.
Zapomnieli te pachołki
kto posadził ich na stołki!

O prasie i telewizji
Z telewizji te kutasy
i te chuje z „wolnej prasy"
ci działają nam na szkodę
robią ludziom z mózgów wodę!

O propagandzie
Piece gasną, huty stoją
wszyscy się o pracę boją,
a te dziady lagę kładą
bawią ludzi olimpiadą!

O rządzie
Rząd nas robi w chuja równo
obracają słowa w gówno
mówią, że nie mają kasy
a to dranie – te kutasy!

O Marianie Krzaklewskim
Krzaklewski nie poparł
– wara jego mości
Jesteś szefem szamba
Nie „Solidarności"

O Lechu Wałęsie
Kiedy nad nami był sierp i młot
Wódz uczył nas skakać przez płot
Aż znalazł się w Belwederze
Dziś robotników cholera bierze
Bo zostaliśmy nadal na dole.

* Tytuły pochodzą od redakcji

w niektórych kościołach, ale, jak mi powiedziano, ksiądz dziekan w Tychach po odczytaniu listu modlił się potem z parafianami, aby Pan Bóg przywrócił mądrość strajkującym pracownikom FSM, gdyż doprowadzą wszystkich do katastrofy.

Strajkujący prosili również okolicznych proboszczów, żeby w czasie mszy wystawili skarbonki na datki dla rodzin strajkujących, ale zablokował to bp Damian Zimoń, który uznał strajk za „akcję polityczną". Parafianie zdążyli w międzyczasie wrzucić coś do skarbonek, ale przekazana strajkującym kwota była symboliczna.

Największym ciosem okazała się odezwa, którą księża z Tych skierowali 22 sierpnia 1992 r. do mieszkańców, zaznaczając, że ich stanowisko zostało skonsultowane z Solidarnością. Napisali: „Istnieje zasadnicza różnica między obecnym strajkiem a protestami z lat 1980 i 1988. Tamte, również motywowane sytuacją ekonomiczną, doprowadziły w rezultacie do zasadniczych zmian w państwie. Dziś protest załogi, wykorzystywany niezależnie od jej woli w celach politycznych przez niektóre centrale związkowe, może przynieść skutki jedynie ekonomiczne, katastrofalne dla pracowników, rodzin i lokalnej społeczności". Tydzień później opublikowano oświadczenie biskupów śląskich, w którym ponadto napisano jasno: „Kościół opowiada się za prywatną własnością środków produkcji".

W połowie sierpnia, gdy przebywałem w Tychach, strajkujący nie znali tych oficjalnych deklaracji biskupów, myśleli, że nie znajdują poparcia wyłącznie u miejscowych proboszczów. Czuli jednak, że krytykują ich nie tylko „wolne media", ale i prasa katolicka. W komitecie strajkowym powiesili na ścianie wycinek z „Tygodnika Powszechnego" (nr 33 z 16 sierpnia 1992 r.), gdzie napisano: „Z fanatycznym uporem i bezmyślnością kontynuowany jest strajk w tyskiej fabryce samochodów małolitrażowych. Strajk może doprowadzić do zerwania umowy z Fiatem, jedynej nadziei na uratowanie deficytowej fabryki i zachowanie tysięcy stanowisk pracy".

Wacław Cuber, rzecznik prasowy komitetu strajkowego, który pokazał mi jeszcze kilka artykułów krytykujących okupację ich fabryki, sam był kiedyś członkiem Solidarności, zasiadał w komisji zakładowej w FSM. Brał udział w strajkach, pamięta, jak księża pomagali. Teraz żaden ksiądz nie chciał przekroczyć bramy fabryki.

Zdziwiłem się. Cuber napisał mi na kartce adresy kilku miejscowych parafii, mówiąc: „Nie wierzysz mi, to jedź i sprowadź nam księdza". Wsiadłem więc do samochodu i wyruszyłem w poszukiwaniu księdza, który zechciałby pomodlić się z uczestnikami protestu. W Bieruniu Starym proboszcz powiedział mi, że na terenie jego parafii znajdują się tylko budynki administracyjne FSM, natomiast hale produkcyjne, a to w nich trwa strajk, należą do parafii w Urbanowicach i tam trzeba porozmawiać. Proboszcz z Urbanowic stwierdził, że jest pierwszy dzień po urlopie, musi sprawę rozeznać, nie może podjąć żadnej decyzji. Zrezygnowałem z odwiedzin kolejnych kościołów. Księża mieli odgórny zakaz popierania protestujących w Tychach.

Piszcie wiersze

Ten strajk zapamiętałem również dlatego, że poznałem, jaką siłę może mieć poezja. A w Tychach wiersze były bronią, celnie strzelającą w rządzących, choć wymyśloną zupełnie przypadkiem.

Członkowie komitetu strajkowego musieli dbać, aby ludzie przebywający tak długo na terenie zakładu nie nudzili się. Były więc spotkania, prelekcje, dyskusje. Aż tu ktoś rzucił hasło: piszmy wiersze. O nas, o Polsce, o tym, co z nami robią i co nas czeka. Nikt nie spodziewał się, że to wypali.

Okazało się, że pracownicy chcą walczyć wierszami. Siedzieli wieczorami w namiotach i na karteczkach, ołówkiem lub długopisem, wylewali swój sprzeciw wobec rozkradania państwowego majątku, metod prywatyzacji gospodarki, sposobów sprawowania władzy. Postanowili wierszami wykrzyczeć swoje postulaty.

eprasa.pl c897b7b470

Komitet strajkowy zbierał wiersze, które trzeba było potem przepisać na maszynie, poprawić błędy ortograficzne i wybrać najlepsze. W ten sposób powstał tomik poezji, odbity na kserokopiarce. W ilu egzemplarzach, nie wiem. Franciszek Gierot też tego nie pamięta. W górnej części okładki zdjęcie tłumu protestujących i napis „Strajk okupacyjny", a poniżej: „Strajk F.S.M. 22.07.1992 Tomik wierszy".

A wiersze pisane robociarskim językiem, gdzie słowo kurwa nie jest wyjątkiem, robią wielkie wrażenie, miejscami są wstrząsające. Robotnicy z Wybrzeża mieli nadzieję, pałali chęcią zwycięstwa, potem była euforia po podpisaniu porozumień z rządem. W wierszach z Tych widać rozpacz ludzi lekceważonych przez władze rządowe i przez Solidarność, którą wywalczyli, a która teraz chce ich sprzedać za marne grosze. Dostało się też Lechowi Wałęsie, bo nauczył ich skakać przez płot, a teraz jako prezydent ma ich w d...

Tomik z tymi wierszami, poza egzemplarzami odbitymi na kserografie, nigdy nie ukazał się drukiem. Dlatego warto je przeczytać w PRZEGLĄDZIE.

Porozumienie

Choć na początku bp Damian Zimoń bardzo krytykował protest, 14 września zaprosił do swojej siedziby w Katowicach zarówno przedstawicieli komitetu strajkowego, jak i dyrekcję FSM. W Tychach wiedzą, że do zmiany stanowiska władz kościelnych przyczyniło się darowanie przez Fiata kilku samochodów katowickiej kurii.

Negocjacje obydwu stron rozpoczęły się o godz. 11 rano, a zakończyły o 2 w nocy podpisaniem porozumienia. Pracownicy dostali podwyżki, utrzymano służbę zdrowia, zapewniono załogę, że zostanie opracowany nowy układ zbiorowy pracy, poprawią się warunki socjalne i BHP. 16 września, po 56 dniach, zakończył się najdłuższy w historii Polski strajk okupacyjny.

Franciszek Gierot: „Byliśmy całkowicie osamotnieni, krytykowały nas Solidarność i Kościół, popierał tylko Andrzej Lepper i jego Samoobrona. Nie otrzymaliśmy żadnej pomocy z zagranicy. Raz zaprosił nas konsulat amerykański w Krakowie i okazało się, że oni tylko chcieli wiedzieć, o co nam chodzi, i żadna pomoc nie wchodziła w grę. Nieoficjalnie trochę pomagało OPZZ, zorganizowało nawet solidarnościowy pięciominutowy strajk komunikacyjny w Warszawie. Osiągnęliśmy jednak sporo, pokazaliśmy, że naszej fabryki, choć zadłużonej, nie można oddawać za bezcen na podstawie umowy, której nam nie pokazano. Widziałem tę umowę na własne oczy, bo mi ją pokazano w zaufaniu. To zupełne kuriozum, darowizna dla Fiata. Nie udało się tylko załatwić akcji dla pracowników, ale skoro nie doszło do emisji akcji, to nie można rozdawać czegoś, czego nie ma".

W wierszach z Tych widać rozpacz ludzi lekceważonych przez władze i przez Solidarność, którą wywalczyli, a która teraz chciała ich sprzedać za marne grosze.

W przyszłym roku minie 30 lat od tego największego krzyku rozpaczy tysięcy pracowników Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Tychach, którzy przez prawie dwa miesiące sprzeciwiali się złodziejskim metodom prywatyzacji państwowych przedsiębiorstw. Kierująca strajkiem Solidarność 80 w momencie rozpoczęcia protestu miała 178 członków, w dwa miesiące zapisało się 2 tys. osób. Dzisiaj w tyskiej fabryce już nie ma Solidarności 80, w jej miejsce powstał Chrześcijański Związek Zawodowy Solidarność im. ks. Jerzego Popiełuszki. Franciszek Gierot przeszedł do Sierpnia 80.

Leszek Konarski

• Mieli „nie oddać ani guzika", ale uciekli za granicę

• Raporty i wspomnienia świadków

• Dokumenty komisji gen. Sikorskiego

2 tomy II WOJNY ŚWIATOWEJ za 75 zł

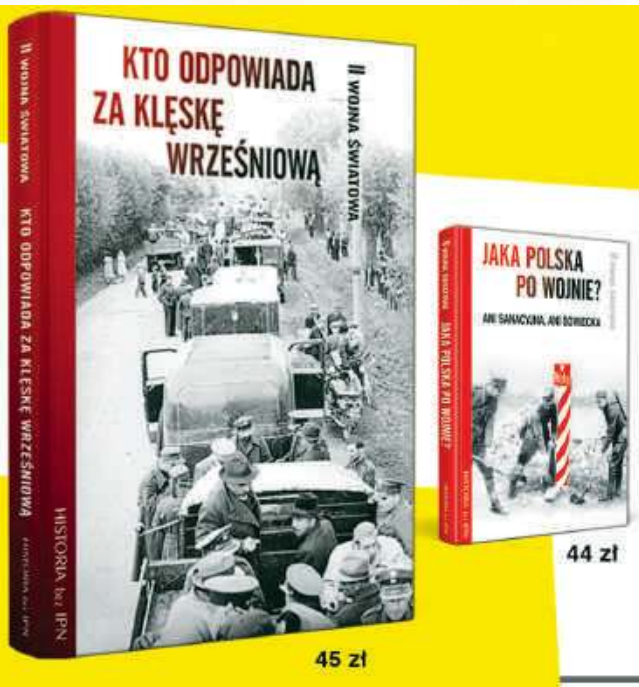

45 zł

44 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl c897b7b470

Wszechstronnie niewygodny RÓŻEWICZ

Wierzę, że narody cementuje albo miłość, albo nienawiść. Wiek XX wybrał nienawiść, wiek XXI wybierze albo miłość, albo nic, piekło

Mariusz Urbanek

Tadeusz Różewicz słabo nadaje się do szkół IV Rzeczypospolitej. Był autorem sztuki potępionej przez beatyfikowanego świeżo kard. Stefana Wyszyńskiego, żołnierzem Armii Krajowej, któremu kombatanci z AK zarzucili zdradę ideałów i zohydzanie pamięci bohaterów, katolikiem (przez chrzest święty i bierzmowanie, jak sam pisał w testamencie), który przez całe życie spierał się z Bogiem. Nawet pochować się kazał na cmentarzu ewangelickim.

Owszem, na liście lektur uzupełniających w liceach wciąż jest „Kartoteka" z 1960 r., którą można interpretować jako ocierającą się o groteskę satyrę na rzeczywistość PRL. Z „Kartoteką rozrzuconą", z początku lat 90., niebezpiecznie aktualną także dzisiaj, byłoby dużo gorzej.

Wszyscy mu coś zawdzięczamy?

Po II wojnie światowej Różewicz za Theodorem Adornem uznał, że poezja po Oświęcimiu przestała być możliwa. Jeśli nadal pisał, to po to, by wystawić swoim czasom świadectwo: gorzkie, ironiczne, złośliwe, czasem okrutne. Atakowano jego wiersze i dramaty za nihilizm, pisano o „poezji rozpaczy". Poematy nazywano reportażami, sprawozdaniami, notatkami, poezja pojawiała się na końcu. I nagle okazało się, że forma, której używa – surowa, chłodna, pozornie pozbawiona poetyckiego ducha – najlepiej przystaje do nowych czasów. Młodsi poeci zaczęli pisać „jak Różewicz", a cały świat podziwiał i przekładał to, co stworzył. Jego wiersze przetłumaczono na 50 języków, w tym na celtycki, albański, estoński, chiński, arabski, hinduski, hebrajski i jidysz. Najwięcej na języki skandynawskie i niemiecki, gdzie był ceniony najbardziej, choć powodzenie w Niemczech wcale nie musi być dziś zaletą. W helsińskim parku miejskim stanął pomnik poezji Różewicza. Pochodzący z Polski rzeźbiarz Radosław Gryta na 12 głazach z czarnego granitu utrwalił „Opowiadanie o starych kobietach". W Lejdzie w Holandii na ścianie kamienicy umieszczono, po polsku, wiersz „Pisałem". A w szwedzkim piśmie dla lekarzy ukazał się poemat „Rodzina nadpobudliwych", który uznano za bardzo precyzyjny opis symptomów choroby.

Niechętni poecie twierdzili, że to, co pisze Różewicz, to zaledwie podzielona na wersy proza, a badacze uwielbiający buchalterię nawet w poezji, obliczyli, że jest twórcą IV systemu wersyfikacyjnego. Studenci filologii Uniwersytetu Wrocławskiego dostawali podczas seminarium wiersze Różewicza zapisane jak prozę, bez podziału na wersy. Mieli je podzielić tak, by powtórzyć rytm, w którym słowa układały się pod piórem poety. Rzadko się udawało.

Wisława Szymborska napisała: „Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak wyglądałaby powojenna poezja polska bez wierszy Tadeusza Różewicza. Wszyscy mu coś zawdzięczamy, choć nie każdy z nas potrafi się do tego przyznać". Są jednak tacy, dla których opinia Szymborskiej nie jest żadną rekomendacją.

Grzechy wybaczone i nie

W Polsce, jak to w Polsce, przez lata wypominano mu grzechy zawinione i niezawinione. Przede wszystkim te z okresu stalinizmu, choć były raczej nieszkodliwe i mało ważne. Nie pisał wiernopoddańczych adresów do Stalina ani elegii o Towarzyszach z Bezpieczeństwa. Był poemat o gen. Świerczewskim, zatytułowany „Gwiazda proletariatu". I sztuka poświęcona komunistycznemu działaczowi Marianowi Buczkowi, który z 21 lat II Rzeczypospolitej 16 spędził w więzieniach, a zginął od niemieckich kul 9 września 1939 r. Były jakieś reportaże wspierające Trzyletni Plan Odbudowy Polski. Było trochę socrealistycznych wierszy – z czasów, gdy dużo więcej tekstów mu odrzucano za hołdowanie mieszczańskim miazmatom – w rodzaju „Troskliwość robotnicza o wspólne" (z tomu „Czas który idzie", 1951) czy

eprasa.pl c897b7b470

„Rzeka światła”: „Powiedziała partia / Tu stanie zapora / Z wiosną / przyszli młodzi / rozkopali ziemię / przenieśli góry / zaskoczyli bystrą wodę” („Wiersze i obrazy”, 1952). Ale nawet gdy próbował zapłonąć, ogień wychodził z tego słaby. Nie takie grzechy zostały w IV RP wybaczone tym, którzy opowiedzieli się po stronie władzy, mającej moc odpuszczania.

W 1964 r. był wśród 600 z górą pisarzy, znanych i nieznanych, których podpisy znalazły się pod tekstem będącym reakcją partii na List 34 pisarzy i uczonych do premiera Cyrankiewicza, domagających się ograniczenia cenzury i zwiększenia nakładów książek i czasopism. Były tam także podpisy Szymborskiej, Jana Brzechwy, Juliana Przybosia i Kazimiery Iłłakowiczówny. Trudno jednak uznać to za grzech śmiertelny, skoro po latach okazało się, że partia nie wszystkich nawet zapytała, czy chcą list podpisać, a treść podpisanego już tekstu samowolnie zmieniła.

Po latach, podczas wykładu na University of Warwick, Różewicz powie, że jest przedstawicielem „generacji oszukanej przez rządy, przez ideologie i wiary, i przez samą siebie”.

Sztuka niemoralna i obrzydliwa

Dużo większe emocje niż socrealistyczne wypociny wywołały późniejsze utwory Różewicza. Po premierze „Białego małżeństwa” w 1975 r. pisano o erotyzmie dramatu, budzącej się seksualności bohaterek, dziewictwie wydanym na pastwę męskich żądz i erotycznych fantazji – Artur Sandauer dorzucił nawet coś o nadmiernym rozpasaniu inscenizacji – ale ani aktorki topless, ani erotyka nie były już wtedy w polskim teatrze czymś szczególnie nadzwyczajnym. Jednak to był dopiero wstęp. 9 maja 1976 r. prymas Polski Stefan Wyszyński w homilii wygłoszonej w kościele na Skałce w Krakowie potępił Jerzego Grotowskiego i Tadeusza Różewicza. Pierwszego za „Apocalypsis cum figuris”, drugiego właśnie za „Białe małżeństwo”. Prymas mówił o „obrzydliwej sztuce teatralnej”, wierni wtórowali, że świństwo i pornografia, nie zatrzymało to jednak kolejnych inscenizacji. Peerelowska władza była równie drobnomieszczańska jak Kościół, ale za Gierka gołe biusty już jej nie przeszkadzały.

Od tamtej pory „Białe małżeństwo” było grane na scenach całej Polski kilkadziesiąt razy, niekiedy świetnie, innym razem nudno, ale przy okazji można było kilka aktorek rozebrać, co świetnie wpływało na frekwencję. W 1992 r. powstał nawet na podstawie sztuki film Magdaleny Łazarkiewicz. A kiedy krytycy zaczęli pisać, że przemiany obyczajowe dawno „Białe małżeństwo” wyprzedziły, karierę zaczęło robić pojęcie gender, podnoszono kwestie tożsamości płci i transseksualności, okazało się, że Różewicz wszędzie tam już był.

Uchwałą Senatu RP Tadeusz Różewicz razem z kard. Wyszyńskim (a także Norwidem, Stanisławem Lemem i Krzysztofem Kamilem Baczyńskim) zostali patronami roku 2021. Na szczęście uchwały Senatu w sprawie patronów nie podlegają zatwierdzeniu przez Sejm. Bo mogłoby być różnie.

Szeregowy Waluś z AK

Dużo bardziej kontrowersyjna niż „Białe małżeństwo” okazała się sztuka „Do piachu”, która w tym samym czasie próbowała przedrzeć się na scenę. Bez skutku.

Różewicz pisał ją długo, aż 17 lat. Kiedy skończył, przez siedem lat nie pozwalała dramatu opublikować cenzura, a gdy wreszcie w 1979 r. doczekał się prapremiery (na scenie Teatru na Woli, którego dyrektorem i reżyserem spektaklu był członek KC PZPR i rektor szkoły teatralnej Tadeusz Łomnicki), wybuchł skandal.

Obraz żołnierzy Armii Krajowej w „Do piachu” w niczym nie przypominał obrazu ukształtowanego przez „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego i „Kolumbów” Romana Bratnego. A przecież Różewicz sam był partyzantem, kilka lat wcześniej dostał londyński Krzyż Armii Krajowej. Akowcy w jego sztuce są brudni, wulgarni i bezwzględni. Zdarza im się rabować, raz nawet plebanię,

Oto jeden z wierszy, które Tadeusz Różewicz, laureat nagrody naszego tygodnika, Busoli, z roku 2000, podarował czytelnikom PRZEGLĄDU. Opublikowaliśmy go 31 października 2004 r.

Klaps
w Skandynawii zdarza się często
że nieletnie dziecko
skarży rodziców
do sądu bo dostało klapsa
u nas tradycja
toleruje klapsy
jest to nawet przyjęte
ja głosuję za klapsem
jestem
uczniem Wieszcza
który powiedział
rózeczką dziateczki Duch Boży
bić radzi…
nic więc dziwnego że z pewnym
niepokojem przyjąłem do wiadomości
powołanie obok Instytutu Pamięci
Narodowej
instytucji rzecznika praw dziecka
chociaż są też argumenty za
bo mały Soso i mały Adolf
byli mocno bici przez swoich
srogich Ojców
pasem pocięglem a może
nawet kijem
potem powstały dyktatury
i państwa totalitarne
więc może nie należy bić dzieci
co o tym myśleć naprawdę
nie wiem

FOT. ADAM TUCHLIŃSKI/REPORTER, MAREK MACHAY/ARCHIWUM PRZEGLĄDU

eprasa.pl c897b7b470

i gwałcić. Głupawy szeregowiec Waluś, który nie rozumie różnicy między walką o wolność ojczyzny a zwykłą bandyterką, zostaje skazany przez dowódców na śmierć, choć do końca nie rozumie dlaczego. Spektakl zdjęto z afisza po kilku przedstawieniach, bo zgodnie zaprotestowali kombatanci, narodowi komuniści z frakcji Mieczysława Moczara i Kościół. Niedługo potem zamknięty został Teatr na Woli.

Drugi raz sięgnął po „Do piachu" Kazimierz Kutz, już w nowej Polsce wystawiając sztukę w Teatrze Telewizji w roku 1990. Zrobił spektakl wybitny i spotkał się dokładnie z tymi samymi zarzutami co Łomnicki 11 lat wcześniej, tylko artykułowanymi jeszcze głośniej. Organizacje kombatanckie słały protesty do premiera, Sejmu i Senatu. Zarzucając spektaklowi wulgarność i plugawienie świętości. Przy okazji autor sztuki i reżyser uznani zostali przez „prawdziwych patriotów" za Żydów. Ataki były tak brutalne, że przez kolejne lata Różewicz odmawiał zgody na inscenizacje, trzeci i ostatni jak dotąd raz odważyła się sztukę wystawić dopiero lubelska Kompania Teatr/Provisorium w 2003 r.

„Do piachu" w reżyserii Kutza trafiło do Złotej Setki spektakli Teatru Telewizji TVP, ale nie jest pokazywane. W dobie kultu „żołnierzy wyklętych" po raz czwarty mógłby dramat wystawić tylko straceniec.

Różewicz o sobie: jestem przedstawicielem „generacji oszukanej przez rządy, przez ideologie i wiary, i przez samą siebie".

Nobel bez Różewicza

Różewicz nigdy niczego nie chciał zawdzięczać władzy, a władza – zresztą każda władza! – lubi, kiedy twórcy muszą być jej wdzięczni. Kiedy dowiedział się, że ma dostać Order Orła Białego, zadzwonił do ministra kultury (wtedy Bogdana Zdrojewskiego), mówiąc, że nie chce. Bo więcej z tego kłopotów niż pożytku. Ledwo udało mu się wcisnąć medal Gloria Artis, wspominał Zdrojewski, i to wyłącznie pod warunkiem, że wręczenie odbędzie się bez mediów i w jego mieszkaniu. Nie wierzył w sławę. W poemacie pod takim tytułem kpił z popularności: „dzwoni student »po piwie« / w sprawie *Kartoteki* że rozrzucona... / dzwoni uczeń / z podstawowej szkoły / »czy to pan Różewicz / ten sam co parę wierszów napisał?« / tak to ja / »bo ja chcę pana Różewicza spytać / co jest podmiotem / we wierszu *plemnik w spodniach*?«".

Z tego samego powodu – bo więcej z tym problemów niż korzyści – robił wszystko, by uniknąć Nobla. Wszyscy wiedzieli, że jest kandydatem, ale nie pojechał do Szwecji na promocję żadnego z tomów swoich wierszy. W liście do Kornela Filipowicza z początku lat 60. pisał: „Idę właśnie do ambasady amerykańskiej odmówić to półroczne stypendium". A po Noblu dla Wisławy Szymborskiej nie pozwolił się ustawić w roli tego, któremu nagroda należała się bardziej, co nie udało się Zbigniewowi Herbertowi. A wcześniej Jerzemu Andrzejewskiemu, który po Noblu dla Czesława Miłosza stwierdził, że połowa należy się jemu. Bo żył w PRL, więc było mu trudniej.

Pisarza, który nie dostał Nagrody Nobla, pomijać dużo łatwiej niż noblistów, zwłaszcza gdy nie są faworytami nowej władzy... Krytykom pozostały tylko debaty zatytułowane „Czy Nobel zasłużył na Różewicza?".

Co Bóg myśli o poecie?

Zaczynał przed wojną od niemal równoczesnego debiutu w miesięczniku Sodalicji Mariańskiej Młodzieży Szkół Średnich „Pod Znakiem Marii" i w „Czerwonych Tarczach", piśmie młodzieży piłsudczykowskiej o lewicowych zapatrywaniach. Trudno było jeszcze wtedy przewidzieć, co wykluje się z chłopca zapatrzonego w starszego brata Janusza, też piszącego wiersze. W 1945 r., już po doświadczeniu okupacji i śmierci uwielbianego brata, w tomie „Niepokój", w którym zawarł słynne słowa „Mam dwadzieścia cztery lata / ocalałem / prowadzony na rzeź" („Ocalony"), w innym wierszu rozgoryczony dodał: „Nie wierzę w przemianę wody w wino / nie wierzę w grzechów odpuszczenie / nie wierzę w ciała zmartwychwstanie…" („Lament").

Więcej pisać nie musiał, na kolejne dekady został ateistą (w wersji najłagodniejszej) i nihilistą oraz osobistym wrogiem Pana Boga (w wersji ostrej), nawet jeśli w jego słowach nie było wiele więcej niż w poezji buntujących się przeciw Bogu romantyków. W wierszu „Bez" z 1989 r. napisał: „największym wydarzeniem / w życiu człowieka / są narodziny i śmierć Boga". Kończył wiersz słowami: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe".

Ale tym, którzy wciąż rozliczali go ze słów z 1945 r., odpowiedział w wierszu „Jest taki pomnik" o wrocławskim pomniku papieża Jana XXIII: „(…) ciągle mnie pytają / co pan myśli o Bogu / a ja im odpowiadam / nieważne co ja myślę o Bogu / ale co Bóg myśli o mnie". W tym spokoju poety zdającego się na ocenę Boga jest dużo więcej chrześcijańskiej pokory niż w czynach ludzi mających dziś usta pełne katolicyzmu.

Marzenie o braterstwie

W jednym z nielicznych wywiadów – powtarzał, że po to pisze, żeby nie musieć mówić – powiedział: „Wierzę, że narody cementuje albo miłość, albo nienawiść. Wiek XX wybrał nienawiść, wiek XXI wybierze albo miłość, albo nic, piekło".

Zostawił bardzo precyzyjne dyspozycje dotyczące miejsca swojego pochówku. Chciał, by urna z jego prochami została pogrzebana na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy drewnianym kościele Wang w Karpaczu, do 1945 r. należącym do Niemiec. Poprosił jednak, żeby do modlitw nad grobem protestancki pastor zaprosił katolickiego księdza. „Może przyczyni się to do dobrego współżycia tych dwóch – rozdzielonych wyznań i zbliży do siebie kultury i narody, które żyły i żyją na tych ziemiach. Może spełni się marzenie poety, który przepowiadał, że »Wszyscy ludzie będą braćmi«".

W czasach gdy władza raczej zionie miłosierdziem, niż miłuje bliźniego, nawet takie marzenie może się okazać niemożliwe do spełnienia.

Mariusz Urbanek jest pisarzem i publicystą.

eprasa.pl c897b7b470

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Pakuj się, Christo

Kiedy oglądam na YouTubie popularne wideo z serii *unboxing*, czuję się jak na wystawie „Sztuka polityczna" w Zamku Ujazdowskim – zażenowana i trochę oszukana. *Unboxing* to odpakowywanie przed kamerą internetową nowych produktów, paczek ze sklepu, kurierskich przesyłek z kosmetykami, ubraniami, elektroniką, biżuterią itd. Jednym z najpopularniejszych unboxingowych wideo jest filmik pokazujący wyjmowanie z pudełka modelu minivolkswagena – w tej chwili ponad 35 mln odsłon. Ale najpopularniejsze *retail videos* mają ok. 100 mln wyświetleń.

O nic więcej nie chodzi w tych filmach, to celebrowanie kapitalizmu, mnożenie opakowań i nakręcanie konsumenckich pragnień. Czysta pornografia. W niektórych pojawiają się cząstkowe recenzje produktów, ale entuzjazm influencerek może być podkręcony przez prezenty od firm. Pomijając całą szkodliwość społeczną – nie mam pojęcia, co może być ciekawego albo choćby przyjemnego w oglądaniu takich filmów. Chyba tylko (wystudiowany i nieco przerażający) uśmiech ładnej youtuberki czy youtubera. Wolę obejrzeć *show* drag queena, który w teatralny sposób, z absurdalną emfazą, je kanapkę. Taki film ma przynajmniej potencjał krytyczny. I naprawdę może być zabawny.

Najbardziej boimy się historii, którą zdominują opakowania.

Wiadomo, przyjemność nabywania jest regresywna. Moment otwierania czegoś nowego, obiecującej paczki, może być ekscytujący (dzieci bardzo lubią oglądać filmy, w których ktoś otwiera dla nich czekoladowe jajka niespodzianki). W „dorosłym" życiu wiemy jednak, że konsumenckim zabawom często towarzyszy smutek (postkoitalny), frustracja i rozczarowanie. Ale firmy oferujące usługi „pakowania" chętnie piszą o magii „pierwszego kontaktu z klientem", nawiązują do świąt Bożego Narodzenia i momentów, kiedy „byliśmy szczęśliwi". Potem cytują te przytaczane w kółko słowa Waltera Isaacsona, biografa twórcy firmy Apple, Steve'a Jobsa: „Opakowanie może być teatrem, może tworzyć historię". Tylko że najbardziej boimy się właśnie tego – historii, którą zdominują opakowania.

Podczas gdy influencerki i influencerzy rozpakowują, w Paryżu stu wspinaczy opakowuje: Łuk Triumfalny. Słynny Christo (właściwie Wladimirow Jawaszew) najpierw opakowywał z żoną, francuską artystką Jeanne-Claude, potem sam. Teraz, po jego śmierci, opakowuje fundacja. Te znane wszystkim landartowe, przeskalowane prace są bardzo spektakularne i trudne do przeoczenia (w 1995 r. opakował berliński Reichstag, zajął się także wyspami i słynnymi mostami). Wymowa prac Christa pozostaje dwuznaczna. Mimo że Łuk Triumfalny opakowany został w biodegradowalny plastik, wiadomo, że jego utylizacja nie będzie całkiem neutralna dla środowiska. Ekolodzy protestowali również, kiedy Christo „opakował" wyspy – nikt nie wiedział, w jaki sposób unoszący się na wodzie plastik wpłynie na ekosystem.

Czy Christo podejmował poprzez swoją sztukę rozmowę na temat absurdów kapitalizmu i zagrożeń konsumpcjonizmu? Gdyby tak było, gdyby rzeczywiście pokazywał nam naszą manię wielkości, chciwość, irracjonalność – odbiorcy chyba nie czuliby tego miłego dreszczu, jaki nadal wywołuje jego sztuka, przyjemna, choć onieśmielająca. I wciąż magnetyczna przez swoją monumentalność i absurdalność, grę w zakrywanie i odkrywanie, zabieranie i oddawanie. Kapryśna i psotliwa wydaje nam się ta interpretacja symboli narodowych, rozszczelnianie powagi wielkiej polityki. Ale jeśli kiedyś znane marki odzieżowe naprawdę przestaną pakować ubrania w nieskończoną liczbę plastikowych woreczków – to nie dzięki Chriście. Tym bardziej że po jego śmierci to już cudza fabryka, która „napędza turystykę po pandemii".

Na mnie też działają te wyłomy w racjonalności i „rozsądeczku" tego świata niemiłości i niewspólnoty. Ale myślę, że to już nie czas na nie. Gdyby żył Joseph Beuys – posadziłby kolejne 7 tys. dębów, jak to zrobił w 1982 r. na wystawie documenta 7. To też *land art*.

Christo być może sam zmienił się już w ziemię w biodegradowalnej urnie Nurn. Tymczasem artystka Teresa Murak uprawiała na swoim ciele rzeżuchę, za nic sobie mając jej zapach, który, przyznacie Państwo, jest ostry i gorzki, ale ma też w pamięci krótkotrwałej świeży, roztarty w dłoniach orzech.

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

Teatr, który obchodzi widza

Moi mistrzowie mówili: nie patrz na scenę, patrz na widownię

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Zmieniło się tutaj. Gabinet wyglądał inaczej.

– Niczego nie zmieniałem, wszystko stoi tak, jak stało.

Za Gustawa Holoubka było tu jednak inaczej, gdzieś zniknął stary, okrągły stolik.

– Coś sobie przypominam, ale po moim bezpośrednim poprzedniku nie wprowadzałem żadnych zmian.

Czuje pan na sobie brzemię tradycji? Z tego miejsca dyrygowali teatrem Janusz Warmiński, Gustaw Holoubek, nie wspominając już o Stefanie Jaraczu.

– Mam świadomość, gdzie się znajduję, ale staram się o tym nie myśleć. Chciałbym niczego nie popsuć z tego, co im udało się tu osiągnąć. Czy mi się uda, nie wiem. Myślę też, że teatr stoi przed nowymi wyzwaniami, przed którymi nawet ci wielcy dyrektorzy nie stawali, mianowicie przed remontem.

Wprawdzie pańscy poprzednicy doprowadzili do otwarcia nowej sceny w pobliskim gmachu ZNP, ale w starym budynku warunki są skromne, a stan techniczny opłakany.

– Bywa, że to uniemożliwia dalszą eksploatację. Stan technologii dużej sceny jest taki, że warunkowo są nam przedłużane zezwolenia po badaniach technicznych. Teraz jest bezpiecznie, ale jak długo to potrwa? Całe urządzenia sceniczne i sztankiety – wszystko musi iść do wymiany. Trzeba zmienić kanalizację, układ kabli energetycznych i dostosować to do współczesnych realiów. Musimy zawieszać nowe aparaty oświetleniowe, podłączać komputery, stara sieć nie wytrzymuje. Czeka nas generalny remont.

Czyli to prawdziwe wyzwanie, przed którym nie może pan się uchylać.

– Tak los zrządził. Wszystko wskazuje, że remont trzeba będzie przeprowadzić za mojej kadencji.

Wielokrotnie deklarował pan dialog z widzem. Na czym ma on polegać? Czy chce pan brać widza na spytki, zmuszać do czegoś, poddawać testom?

– Rozmaicie można interpretować dialog – przesłuchanie na komendzie też jest rodzajem dialogu.

Pewien minister proponował niedawno dialog w prokuraturze. A co zakłada dialog z widzem?

– Po pierwsze, że widz jest na sali. Zakładamy, że do kogoś mówimy, że nie mówimy dla siebie, do siebie, wyłącznie o sobie, tylko wiemy, że chcemy z kimś się skomunikować. Po drugie, chcemy mu zaproponować jakąś opowieść, o czymś chcemy opowiedzieć, czymś się podzielić, nawiązać jakąś więź. Po trzecie, do tego jest potrzebny odpowiedni repertuar, który jest oparty na literaturze, na opowieści – linearnej bądź nie, ale wciąż opowieści. Co więcej, chcemy coś opowiedzieć, powołując do życia bohaterów, z którymi widz chce się utożsamiać. Mam takie poczucie, że dialog nawiązuje się wtedy, kiedy mogę się identyfikować z ludźmi, którzy żyją na scenie i coś do mnie mówią. Idąc dalej: żeby to zrealizować, potrzebni są aktorzy, którzy ożywią literaturę w taki sposób, że widza to wciągnie. Słowem, niczego nowego nie wymyślam, tylko powtarzam to samo: w tym teatrze zawsze najważniejszy był autor i aktor. To teatr literacki, oparty na wspaniałej literaturze, ożywianej przez świetny zespół aktorski. I tu nie zamierzam niczego zmieniać.

Ale zdaje pan sobie sprawę, że jest strasznie staroświecki?

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę i jestem tak traktowany przez wielu krytyków od lat, ponieważ od lat jako reżyser realizuję taki teatr. Także jako dyrektor Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Taki jestem, inny nie będę.

Może dlatego został pan dyrektorem tego teatru, bo Ateneum nie należy do teatrów rewolucyjnych, przynajmniej od powojnia, bo przed wojną różnie bywało, Jaracz próbował tworzyć tu teatr proletariacki. Ale po wojnie wypracowany został model, który nazywano bulwarowo-mieszczańskim: dobra literatura i co najmniej solidne aktorstwo. Pan chce się poruszać w tych ramach.

To się sprawdza. Zauważmy, że Ateneum ma swoją publiczność.

Obok jest ZNP i hotel tego związku, a na widowni często zasiadają nocujący w nim nauczyciele, zwłaszcza nauczycielki.

Teraz mają jeszcze bliżej, nowa Scena 20 mieści się dosłownie w hotelu, a na czas remontu przeniesiemy tam główną siedzibę.

Pozostając wierny wspomnianym zasadom, nie chce pan jednak zamykać się w kręgu nazwisk ucukrowanych. Na afiszu ma się pojawić autor od lat pisujący dla radia, ale jeszcze nieobecny na scenie...

– Rafał Wojasiński.

Otóż to. Co więcej, Waldemar Modestowicz, reżyser radiowy, który go często realizuje, będzie tu wystawiał jego dramat. I będzie to prapremiera.

– Chciałbym, aby w Ateneum była przestrzeń dla promocji nowej polskiej dramaturgii. To jest powinność teatru – jest wielu dramaturgów, którzy nie mogą się przebić ze swoją twórczością. Wiele teatrów zamyka się w kręgu znanych autorów, jak to mówił inżynier Mamoń w „Rejsie": „No jakże może podobać mi się piosenka, którą pierwszy raz słyszę". Cieszę się, że Rafał Wojasiński się tutaj pojawi, cieszę się, że robi go Waldek Modestowicz, ponieważ on tego autora doskonale zna i czuje. A do tego obsada: Marian Opania, gościnnie zagra Anna Seniuk, która tu kiedyś była gwiazdą, i dwójka naszych młodych (jeszcze) aktorów – Bartek Nowosielski i Olga Sarzyńska. Zaintrygował mnie bardzo tekst – uważam, że to jest polska wersja „Krzeseł" Ionesco.

Prawie nie mówi pan o reżyserze. Autor i aktor, a reżyser za nimi schowany – taki model pan uprawia.

eprasa.pl c897b7b470

ARTUR TYSZKIEWICZ

– nowy dyrektor warszawskiego teatru Ateneum

Ale ma pan ulubieńców, by wspomnieć o Gombrowiczu i Levinie. Na inscenizacji „Iwony" Gombrowicza w Wałbrzychu i „Sprzedawców gumek" w Imce wyrobił pan sobie pozycję. Do Levina pan wracał, nie zawsze z takim hukiem, „Nikt" w Narodowym spotkał się z mieszanym przyjęciem, choć to spektakl znakomity. A jak będzie w Ateneum? Levin to planeta nie do końca odkryta.

– Miałem taki okres w życiu, kiedy zrobiłem tych Levinów bodaj pięć, m.in. „Shitza" w Ateneum, i postanowiłem trochę od Levina odpocząć. Ale obserwując zespół Ateneum, myślę, że tu z Levinem powrócę.

Byłaby tu obsada.

– Oj, byłaby wspaniała obsada, tak są niesłychanie levinowscy. Muszę tylko poczekać na lepsze czasy – niepandemiczne, bo chciałbym zrobić Levina dużoobsadowego, który dałby możliwość skonstruowania na scenie ansamblu. To mnie intryguje i ten Levin być może, jak lepsze czasy nadejdą, tu się pojawi. Ale teraz, w sezonach niepewnych, robimy sztuki małoobsadowe.

Jak ktoś zachoruje, łatwiej go zastąpić.

– Albo jak rząd ogłosi obostrzenia i będziemy grali dla 50% widowni. Koszty są wtedy inne i w ogóle można grać. Sam tak układam repertuar – w repertuarze Ateneum są dwa moje duże tytuły, „Trans-Atlantyk" i „Dwór nad Narwią", ale nie zaplanowałem ich do grudnia, ponieważ boję się, że znowu wejdą obostrzenia. Wtedy nie moglibyśmy tych spektakli zagrać albo gralibyśmy z dużą stratą. Sam więc siebie ograniczam. Zachowuję się niezwykle ostrożnie, bo teatr nie może sobie pozwolić na to, żeby znowu nie grać.

W dzisiejszych czasach dużym sukcesem teatru byłoby skłonienie widza do myślenia.

Chyba nie tylko ze względu na finanse?

– Także ze względu na kontakt z widzem. Po kolejnym lockdownie być może widz nie wróciłby już do teatru. Na razie nie jest źle. Jesteśmy już po pierwszych spektaklach sezonu, „Cesarza" publiczność przyjęła owacją na stojąco. To dobry znak – widzowie wrócili. Głodni teatru, stęsknieni za nim. Siedziałem na widowni i śledziłem reakcje publiczności. Moi mistrzowie mówili mi zawsze: „Nie patrz na scenę, patrz na widownię". Wracając do pana pytania o dialog, także na tym polega dialog z publicznością – na patrzeniu, jak reaguje, na szukaniu odpowiedzi na pytanie, czy iskrzy, czy jest wymiana myśli. Czy to, co robimy na scenie, jest dla widzów w jakimś stopniu istotne, śmieszne, wzruszające.

Wiele teatrów weszło jednak w pandemię z dużymi produkcjami.

– To prawda. Tak było choćby z „Królem Learem" w Teatrze Dramatycznym, którego premierę przekładano, to samo było z „Trzema siostrami" Jana Englerta – próby trwały dziewięć miesięcy, a raczej dziewięć miesięcy tytuł był w próbach. Chcę unikać takich sytuacji, żeby na wypadek jakichś ograniczeń nadal grać.

Chciałbym nawiązać do pańskiego przedstawienia, które nie spotkało się z najlepszym przyjęciem...

– ...było wiele takich spektakli.

Mam na myśli „Białe małżeństwo" Tadeusza Różewicza. Czy przestraszył się pan recenzenckiej porażki i dlatego nie umieścił Różewicza w planach repertuarowych Ateneum? A jest przecież kilka bardzo ważnych tekstów Różewicza, które w ogóle nie są grane – choćby „Do piachu".

– Jakiś czas temu pojawiła się propozycja przygotowania cyklu dramatów na małej scenie Teatru Polskiego w Warszawie, ale jako słuchowisk. To był taki eksperyment: słuchowiska realizowane na żywo w obecności widzów. Przypominało to próby czytane. W tym cyklu zrealizowałem „Kartotekę". W tracie pracy z aktorami mieliśmy przemożne uczucie, że należy to zrobić, że choć było to pisane w innych realiach, stan zagubienia współczesnego człowieka jest tożsamy z bohaterem „Kartoteki", i odnaleźliśmy z aktorami szansę rozmowy z widzem za pośrednictwem tego tekstu – rozmowy o naszych czasach. Nie mówię tylko o „Kartotece", np. świetnym tekstem jest „Grupa Laokoona". Do Różewicza wcale się nie zraziłem. Nie chcę obrazić recenzentów…

Zwłaszcza na początku kadencji dyrektorskiej.

– Zwłaszcza. Ale od lat w tym, co robię, nie kieruję się opinią recenzentów. Niestety, muszę drogich recenzentów przeprosić. Od lat kieruję się opinią widza. Na wspomnianym

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c897b7b470

„Białym małżeństwie" były zawsze komplety i owacje na stojąco.

Cóż, wybrzydzanie na „Białe małżeństwo" ma długą tradycję – prapremiera Tadeusza Minca w Teatrze Małym (1975) została zjechana przez recenzentów, a spektakl cieszył się niebywałym powodzeniem – szedł ponad 600 razy. Rozjazd opinii między krytyką a publicznością to temat na inną rozmowę.

– Nie chcę wchodzić w spór na temat krytyki teatralnej, która dzisiaj ma bardzo utrudnione życie, ale kiedy krytyk opuszcza grunt opisywania zjawisk i zajmuje się ich kreacją, zaczyna być niebezpiecznie. Wtedy mogą się pojawiać recenzje z tezą, np. że dany reżyser robi zawsze dobre spektakle niezależnie od tego, co robi, bo tak ma być. Ponieważ chce się wykreować go na czołowego polskiego reżysera. Podobnie bywa w dziennikarstwie informacyjnym, kiedy zamiast opisu świata realnego pojawia się jego wykreowana wersja. Wtedy ja mówię dziękuję i się wyłączam.

Skoro już weszliśmy na ten grząski teren, trzeba zapytać o nurt obecny w przedstawieniach Ateneum – komentowania rzeczywistości. To zawsze trudny wybór dla teatru, bo istnieje wiele sposobów komentowania – od interwencji przez kreację świata do pełnej niezgody na rzeczywistość. Jak to jest u pana?

– Jako reżyser uczestniczyłem w takich komentarzach, także na deskach Ateneum.

Ma pan na myśli niedawno wystawiony tu „Trans-Atlantyk"?

– I w jakim sensie „Dwór nad Narwią", który też był komentarzem, może nie tak wprost jak „Trans-Atlantyk". W repertuarze Ateneum jest też inny komentarz – spektakl Mikołaja Grabowskiego „Cesarz" według Ryszarda Kapuścińskiego, który bezpośrednio interweniuje w rzeczywistość. Jesteśmy w przeddzień premiery „Ławy przysięgłych", sztuki, która odnosi się do naszej rzeczywistości, choć powstała pół wieku temu. Mówi o systemie sprawiedliwości, o praworządności. Ateneum nie ucieka więc od komentowania, choć nie będzie teatrem, który tylko to robi. W repertuarze ma się pojawić np. „Alicja w krainie czarów" reżyserowana przez Wawrzyńca Kostrzewskiego, a to zupełnie inny zasób propozycji. Mam nadzieję, że zdobędziemy prawa i Iwona Kempa przygotuje adaptację „Córki" Eleny Ferrante, a to również zapowiada inny rodzaj rozmowy. Jeszcze inną propozycją zapewne zaskoczy Piotr Ratajczak, z którym finalizuję rozmowy. Po prostu Ateneum ma być teatrem, który będzie widza obchodzić.

W tym teatrze zawsze najważniejszy był autor i aktor.

Po drugiej stronie Wisły widać Powszechny, „teatr, który się wtrąca", a po tej stronie Ateneum, „teatr, który obchodzi". Brzmi nieźle.

– My nie będziemy się wtrącać, ale będziemy chcieli, żeby to, co mówimy, było ważne dla osób, które do nas przychodzą. I niezależnie od tego, czy to jest komedia, czy Gombrowicz, czy inny autor, zawsze będziemy dążyć do tego, żeby to było o czymś. Żeby to była zabawa, ale nie tylko dla zabawy. Żeby jeszcze coś opowiedzieć o świecie albo skłonić do refleksji. W dzisiejszych czasach dużym sukcesem teatru byłoby skłonienie widza do myślenia. Nawet po komedii, nawet po farsie.

Na tym polega pański przepis na dyrekcję teatru?

– Program, z którym startuje się w konkursie na dyrektora, każdy ma świetny. Problem polega na umiejętności i możliwości jego realizacji. A także na zdolności dostosowywania się do zmieniających się realiów. I pokory. Muszę pamiętać o kontroli nad tym, co robię, a przede wszystkim nad zdarzeniami artystycznymi. Jeśli zakładam, że w tym sezonie będziemy robić przedstawienia małoobsadowe, jest to samoograniczenie wynikające z oceny sytuacji. Nie twierdzę zatem, że w tym sezonie zrobimy „Nie-Boską komedię" i zatrudnimy dodatkowo 15 aktorów, 30 statystów i trzy konie. I będę się przy tym upierał, przekroczę dyscyplinę finansową i zostanę zwolniony z teatru – ale jaka to by była piękna katastrofa! Można zadłużać teatr i występować do miasta o zwiększenie dotacji, tylko ja tak nie chcę robić.

Pamięta pan swoje pierwsze zetknięcie z teatrem?

– To było w szkole podstawowej; poszliśmy z klasą na spektakl „Dębowi bracia" w Guliwerze albo w Baju. Inscenizacja zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. To była opowieść o braciach, którzy zostali zaklęci w dęby – aktorzy byli schowani w dębach, mieli wycięte dziury na twarze. Bardzo to przeżywałem. Tak dalece, że po latach wykorzystałem ten efekt, kiedy w Poznaniu robiłem „Ferdydurke".

Tomasz Miłkowski

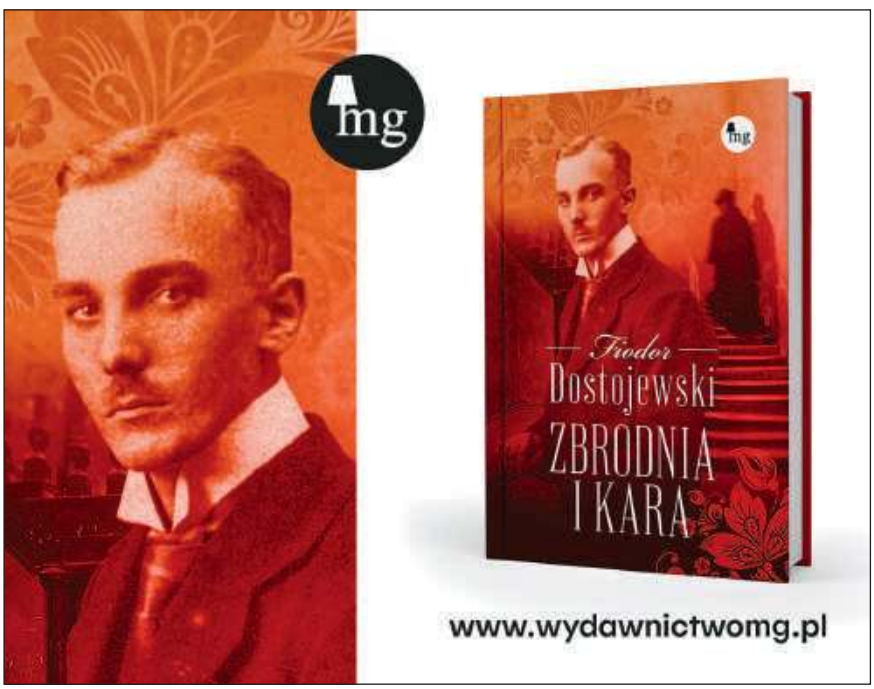

eprasa.pl c897b7b470

NA EKRANACH

GAGARINE

reż. Fanny Liatard, Jérémy Trouilh, prod. Francja, już w kinach

Cité Gagarine to osiedle na obrzeżach Paryża, gdzie mieszkają głównie imigranci. Wybudowano je na cześć rosyjskiego kosmonauty, ale lata świetności dawno ma już za sobą. Gdy zapada decyzja o wyburzeniu, 16-letni Youri postanawia ocalić swój świat za wszelką cenę. Fanny Liatard i Jérémy Trouilh sięgają po realizm magiczny, żeby przypomnieć te oklepane prawdy o tym, jak ważne jest, skąd pochodzimy i jak się kończy odpuszczenie walki o swój kawałek ziemi. Usuwani mieszkańcy niektórym przypomną ofiary reprywatyzacji z Polski, z dnia na dzień lądujące na bruku po latach budowania własnego gniazda i zapuszczania korzeni. Tu jest podobnie, ale „Gagarine" dość szybko odpuszcza sobie krytykę nieoglądającego się na sentymenty kapitalizmu na rzecz fantazji o bohaterze, który w opuszczonych murach zbudował sobie stację kosmiczną. Owszem, dostajemy sporo pięknych obrazków, a od wcielającego się w Youriego Alséniego Bathily'ego nie sposób oczu oderwać, jednak od kina wychodzącego od tak poważnego problemu oczekuje się, że będzie latać znacznie bliżej ziemi. *Artur Zaborski*

KURTYNA W GÓRĘ

TRAMWAJ – PRZYSTANEK OCHOTY

„Tramwaj zwany pożądaniem" Tennessee Williamsa w Teatrze Ochoty to spektakl kameralny, co wynika z warunków pracy w tym maleńkim teatrze, gdzie bliski kontakt z widzem jest zasadą i znakomitym treningiem warsztatowym. Aktorzy nie mogą tu sobie pozwolić na „drzemkę", cały czas grają albo są w pogotowiu – w tym przedstawieniu, nawet jeśli nie biorą udziału w jakiejś scenie, pozostają widoczni wśród widzów. Jest ich niewielu – obsada została zredukowana do pięciu osób, głównych postaci dramatu. To zdominowana i bezradna Stella (Malwina Laska-Eichmann) z wszechwładnym mężem Stevenem (Michał Pawlik), jej zdesperowana siostra Blanche (Irmina Liszkowska) i zakochany w niej niezbyt atrakcyjny chłopak Mitch (Krzysztof Oleksyn). I jest ten piąty – nienazwany z imienia – wszechwiedzący Opowiadacz (Paweł Janyst). Niemal debiutujący na scenie aktorzy mają do Williamsa ucho, traktują tekst sprzed 70 lat jak napisany właśnie dla nich (świetny przekład Jacka Poniedziałka ma niewiele lat). „Tramwaj" może nie tylko opowiadać dramat zdeklasowanej panny z dobrego domu, która jako prostytutka szukała wyjścia z pułapki, ale też stanowić nadal aktualną przestrogę przed drapieżcami, którzy nie rezygnują ze swoich urojonych uprawnień. *Tomasz Miłkowski*

„Tramwaj zwany pożądaniem", tłumaczenie Jacek Poniedziałek, dramaturgia i reżyseria Małgorzata Bogajewska, Teatr Ochoty, premiera 11 września 2021

WYDARZENIE

ANTONINA CAMPI OPERA MASTERCLASS 2021

Antonina Campi Opera Masterclass odbędzie się w Lublinie już po raz czwarty. Warsztaty wokalne poprowadzą: baryton Mikołaj Zalasiński, Katarzyna Trylnik, śpiewaczka i pedagog, oraz Ewa Vesin, dyrektor artystyczna konkursu. Artystom towarzyszyć będą uznani pianiści korepetytorzy: Justyna Skoczek, Olga Tsymbaluk i Mischa Kozłowski. Warsztaty odbywać się będą w Szkole Muzycznej I i II stopnia im. Tadeusza Szeligowskiego w Lublinie, a kulminacyjnym momentem będzie koncert finałowy w Sali Operowej Centrum Spotkania Kultur w Lublinie (14 października, godz. 18, wydarzenie bezpłatne – wejściówki do odbioru w kasie CSK). **Szczegóły: www.antonina.campi.spotkaniakultur.com.**

BYLIŚMY

GDZIE JEST NORWID?

Elżbieta Sikora podczas tegorocznej Warszawskiej Jesieni zaprezentowała wyreżyserowany przez Macieja Wojtyszkę utwór „Norwid' Elipsa". Bieżący rok został bowiem poświęcony temu poecie. „Elipsa" to dźwiękowa fantazja, słuchowisko, w którym Norwid znów pojawia się na paryskiej ulicy. Andrzej Seweryn i Jerzy Radziwiłowicz recytują wiersze, m.in. „Fortepian Chopina", ale nikt tego nie rozumie. Słychać też tłumaczenie poezji na francuski. Utwór kończą rozpaczliwe wołania aktorów: „Norwid, Norwid!". Czy jest tak źle z odbiorem tej poezji? *Bronisław Tumiłowicz*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c897b7b470

Pigułką w koronawirusa

Już w grudniu w USA może się pojawić pierwszy, powszechnie dostępny lek na COVID-19

Marek Czarkowski

Rok temu opisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU rywalizację koncernów farmaceutycznych pracujących nad szczepionką przeciw COVID-19. Na czele stawki była wówczas AstraZeneca współpracująca z zespołem naukowców Uniwersytetu Oksfordzkiego. Po piętach deptały jej dwie amerykańskie firmy – Moderna z własną szczepionką oraz Pfizer z preparatem opracowanym przez niemiecką spółkę BioNTech. Wiosną dołączył koncern Johnson & Johnson ze szczepionką jednodawkową. W Europie i Stanach Zjednoczonych te cztery specyfiki stały się podstawowym orężem w walce z pandemią. Dziś celem branży farmaceutycznej jest wprowadzenie na rynek skutecznego leku na COVID-19, bo kolejne fale zachorowań pojawiają się nawet w krajach, w których odsetek zaszczepionych obywateli jest bardzo wysoki, takich jak Izrael czy Singapur. Zdarza się też, że organizm osoby zaszczepionej reaguje niedostatecznie, co prowadzi do przykrych konsekwencji. Dlatego potrzebny jest lek, który zapobiegałby konieczności hospitalizacji pacjentów będących w najwcześniejszych stadiach choroby.

Blisko, coraz bliżej…

Lekarze w bogatych krajach mają już do dyspozycji przeciwciała monoklonalne, które podawane są dożylnie w szpitalach i na ogół okazują się skuteczne. Lecz to za mało. By pokonać pandemię, potrzebne są też powszechnie dostępne i możliwie niedrogie leki.

Amerykańskie media wymieniają dziś trzy koncerny, które są najbliżej uzyskania rejestracji swoich specyfików przez Agencję Żywności i Leków i wprowadzenia ich na rynek. To Merck & Co., Pfizer Inc. i F. Hoffmann-La Roche AG. Przy czym należy zaznaczyć, że już 22 października 2020 r. w Stanach Zjednoczonych został zatwierdzony do stosowania w warunkach szpitalnych pierwszy lek przeciw COVID-19, remdesivir, produkowany przez firmę Gilead Sciences Inc. Opracowano go z myślą o leczeniu eboli, lecz nie spełnił pokładanych w nim nadziei i nie uzyskał rejestracji. Rok temu okazało się, że może być skuteczny w leczeniu pacjentów z ciężkim przebiegiem COVID-19. Przyśpieszał ich powrót do zdrowia, choć nie wykazano, by zmniejszał liczbę zgonów. W połowie ubiegłego roku Europejska Agencja Leków zezwoliła na stosowanie remdesiviru na naszym kontynencie. Także polska Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji zaleca stosowanie go u pacjentów z potwierdzonym zakażeniem SARS-CoV-2 w okresie replikacji wirusa, czyli nie później niż pięć-siedem dni od wystąpienia pierwszych objawów choroby.

Pod kątem skuteczności w zwalczaniu SARS-CoV-2 badane były również inne stosowane już leki, co czasem prowadziło do poważnych kontrowersji. W czerwcu 2020 r. australijscy naukowcy ogłosili, że Iwermektyna – lek zwalczający choroby pasożytnicze u zwierząt i ludzi – we wstępnej fazie badań prowadzonych w warunkach laboratoryjnych znacznie osłabił oddziaływanie koronawirusa. Tyle wystarczyło, by zaczął być postrzegany jako cudowny lek na covid. Późniejsze badania tego nie potwierdziły, jednak Iwermektyna zyskała sporą popularność.

Podobnie rzecz się miała z amantadyną. Dziś i ten specyfik nie jest zalecany w leczeniu covidu.

W różnych fazach są badania 246 substancji wykazujących działanie antywirusowe.

Rywalizacja gigantów

Specyfikiem, który może wiele zmienić, jest molnupiravir, produkowany przez koncern Merck & Co. Jego historia zaczęła się, gdy mało kto na świecie zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie niósł SARS-CoV-2. W styczniu 2020 r., w trakcie zorganizowanej w San Francisco konferencji poświęconej opiece zdrowotnej, dr George Painter – prezes Emory Institute for Drug Development z Atlanty, i Wendy Holman – dyrektor generalna spółki Ridgeback Biotherapeutics z Miami, dyskutowali o tym specyfiku, nad którym badania były kontynuowane dzięki finansowemu wsparciu z Narodowego Instytutu Zdrowia. Dr Painter uważał, że molnupiravir

eprasa.pl c897b7b470

może się okazać skuteczny w leczeniu grypy, Wendy Holman była zaś ciekawa, czy nadaje się do zwalczania eboli. Oboje zgodzili się, że molnupiravir ma tak szerokie spektrum działania, że może być skuteczny przeciwko wielu chorobom. Ostatecznie w drugiej połowie marca 2020 r. firma Ridgeback Biotherapeutics zakupiła technologię produkcji molnupiraviru, a miesiąc później miała już umowę z farmaceutycznym gigantem, koncernem Merck & Co., który od lat zajmował się badaniami nad wirusami HIV i eboli. Pierwsza faza badań klinicznych ruszyła jesienią 2020 r. Dziś kończy się III faza badań i wkrótce koncern będzie dysponował opracowanymi wynikami. Jeśli uda się wykazać, że molnupiravir jest skuteczny i bezpieczny dla pacjentów, zostanie on zarejestrowany i trafi na rynek. Będzie to wielki sukces i szansa na kolejne odkrycia, które mogą uwolnić ludzkość od innych groźnych chorób wywoływanych przez wirusy.

Merck & Co. od lat jest światowym liderem w produkcji szczepionek i ma ogromne doświadczenie w ich produkcji. Jednak w roku ubiegłym nie udało mu się dotrzymać kroku konkurentom i musiał zrezygnować z kontynuowania prac nad własną szczepionką. Lek na COVID-19 to szansa, by wrócić na szczyt. Ale nie będzie to łatwe.

Według Biotechnology Innovation Organization, skupiającej firmy farmaceutyczne i biotechnologiczne, w różnych fazach znajdują się badania 246 substancji wykazujących działanie antywirusowe, z których część w przyszłości może zostać zarejestrowana jako leki.

27 września br. Pfizer ogłosił, że rozpoczął II/III fazę badań klinicznych, której celem jest ocena nowego kandydata na lek przeciwwirusowy, o nazwie PF-07321332. To inhibitor proteazy SARS-CoV-2 3CL, ma być podawany w połączeniu z niską dawką rytonawiru w celu zapobiegania zakażeniom wirusem wywołującym COVID-19. Badanie kliniczne obejmie 2660 zdrowych dorosłych uczestników, mieszkających w tych samych gospodarstwach domowych co osoby z potwierdzonym objawowym zakażeniem SARS-CoV-2. Pfizer, który jest już producentem szczepionki Comirnaty przeciw COVID-19, chce umocnić swoją pozycję, wprowadzając na rynek doustny lek powstrzymujący wirusa na wczesnym etapie. Zdaniem dr. Mikaela Dolstena, dyrektora naukowego odpowiedzialnego w koncernie za badania i rozwój leków, preparat byłby przepisywany przy pierwszych objawach infekcji, bez konieczności hospitalizacji pacjentów.

W kwietniu br. Pfizer ogłosił, że pracuje też nad substancją, która mogłaby się stać lekiem podawanym dożylnie pacjentom poważniej chorym na covid. Nazwano ją PF-07304814. Gdyby i te badania zakończyły się sukcesem, amerykański koncern dysponowałby pełną gamą preparatów przeciw covidowi, poczynając od szczepionki, poprzez lek doustny podawany we wczesnej fazie choroby, po lek dożylny, który byłby stosowany w cięższych przypadkach.

W rywalizacji koncernów liczy się też szwajcarski gigant Hoffmann-La Roche, który w październiku 2020 r. ogłosił nawiązanie współpracy z amerykańską firmą Atea Pharmaceuticals. Jej celem było opracowanie doustnej terapii dla pacjentów chorych na covid. Związek AT-527 działa poprzez blokowanie enzymu polimerazy RNA niezbędnego do replikacji wirusa. Rok temu był w II fazie badań klinicznych. Brali w niej udział hospitalizowani pacjenci z umiarkowaną postacią COVID-19. Prowadzone w różnych krajach badanie kliniczne III fazy z udziałem pacjentów poza szpitalem miało się rozpocząć w I kwartale 2021 r. 29 kwietnia br. Roche podpisał umowę z naszą Agencją Badań Medycznych, na mocy której w maju koncern miał uruchomić rekrutację pacjentów do II i III fazy badań klinicznych AT-527.

30 czerwca br. Atea Pharmaceuticals poinformowała, że analiza wyników 62 hospitalizowanych pacjentów, którym podano AT-527, wykazała, że substancja jest bezpieczna i dobrze tolerowana przez organizm człowieka. Przy czym wykazuje silną aktywność przeciwwirusową, która przejawia się hamowaniem replikacji SARS-CoV-2, co może prowadzić do szybszego powrotu do zdrowia, minimalizując jednocześnie przenoszenie infekcji. Czas pokaże, czy AT-527 przejdzie proces rejestracji w amerykańskiej Agencji Żywności i Leków oraz Europejskiej Agencji Leków i trafi na apteczne półki.

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: PiS, jaki jest, każdy widzi, tylko nie PiS.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

Azja robi swoje

Prace nad doustnym lekiem na covid trwają także w Japonii. Na razie jedynym dostępnym w tym kraju specyfikiem jest podawany hospitalizowanym pacjentom z łagodniejszymi objawami koktajl łączący dwa przeciwciała opracowany przez firmę Chugai Pharmaceutical.

27 lipca br. inna firma farmaceutyczna, Shinogi z Osaki, rozpoczęła I fazę badań klinicznych nad substancją podawaną doustnie pacjentom z lekkimi objawami. W badaniach miało uczestniczyć 75 osób dorosłych w wieku od 20 do 55 lat. W III fazie badań klinicznych znajduje się avigan, tabletka przeciwwirusowa Fujifilm Holdings.

Ostatnio zaskoczył ekspertów chiński koncern Sinopharm, który 12 września br. ogłosił, że pracuje nad pierwszym na świecie lekiem na COVID-19 opartym na ludzkiej immunoglobulinie pochodzącej z osocza ozdrowieńców. Czyżby Chińczycy poszli drogą wyznaczoną przez polską spółkę Biomed Lublin? Być może nie wiedzą, że dotychczasowe doświadczenia wskazują, że tego rodzaju substancje mogą być stosowane jedynie w początkowej fazie infekcji, a spodziewane korzyści są bardzo ograniczone.

Kiedy będzie można kupić w aptece pigułkę na COVID-19? W Stanach Zjednoczonych – jeśli zostanie zarejestrowana i dopuszczona do obrotu – być może pod koniec tego roku. W Europie pewnie później. Skuteczny lek pozwoliłby odciążyć szpitale, gdyż znaczna grupa chorych mogłaby bez ryzyka zostać w domach. Inną, kto wie, czy nie większą korzyścią, będzie zdobycie kolejnych doświadczeń, które zaowocują skuteczniejszymi lekami przeciwwirusowymi.

W ostatnich 20 miesiącach w światowej biotechnologii i farmacji dokonał się niezwykły postęp. Wiemy, że w ciągu dziewięciu-dziesięciu miesięcy koncerny farmaceutyczne są w stanie wyprodukować od podstaw skuteczną szczepionkę przeciw niebezpiecznemu wirusowi. A to znaczy, że jeśli zostaną zapewnione odpowiednie środki, można sobie poradzić z innymi groźnymi chorobami.

Ta uwaga nie dotyczy Polski. Choć, przypomnę, rząd premiera Morawieckiego miał wiosną plany budowy fabryki szczepionek nad Wisłą. I ich rozlewni w Polfie Tarchomin. Warto sobie uświadomić, że pod tym względem nasz przemysł i świat nauki nie nadaje się nawet do popychania karuzeli.

Lekarze w bogatych krajach mają już do dyspozycji przeciwciała monoklonalne, które podawane są dożylnie w szpitalach i na ogół okazują się skuteczne.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c897b7b470

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tegoroczni laureaci (od lewej): prof. Dionizjusz Czubala, prof. Hubert Chudzio – dyrektor Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, Małgorzata Jaszczołt, która odebrała wyróżnienie w imieniu Krzysztofa Chojnackiego, dr Elżbieta Ciborska, Wawrzyniec Kłosiński, starosta Maria Dziekońska, prof. Ludwik Malinowski – prezes „Stopki" i prof. Ryszard Kaczmarek.

Glogery 2021

Wręczono nagrody XXXII edycji Konkursu o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera. Otrzymały je następujące osoby i instytucje:

NAGRODA I STOPNIA

Prof. dr hab. Dionizjusz Czubala z Wilkowic za zainicjowanie i prowadzenie unikatowych badań nad polskimi legendami miejskimi

Uroczystość uświetnił koncert Orkiestry Rozrywkowej Politechniki Warszawskiej The Engineers Band.

NAGRODA II STOPNIA

Prof. dr hab. Ryszard Kaczmarek z Tych za bogaty dorobek badawczy, redakcyjny i organizatorski dotyczący Śląska

NAGRODA III STOPNIA

Wawrzyniec Kłosiński z Łomży za długoletnie popularyzowanie ziemi łomżyńskiej, redagowanie i wydawanie publikacji regionalnych

WYRÓŻNIENIA OTRZYMALI:

Krzysztof Chojnacki z Warszawy za niekonwencjonalny dorobek muzealniczy w dziedzinie etnografii

Dr Elżbieta Ciborska z Warszawy za serce, z jakim dokumentuje osiągnięcia wielu pokoleń młodzieży wiejskiej

Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie za stworzenie oryginalnego zespołu badawczego zajmującego się dziedzictwem świadków historii, w tym sybiraków

Nagroda im. Zygmunta Glogera przyznawana jest co roku za szczególne zasługi w badaniu, ochronie i rozwoju kultury polskiej. Honoruje się nią badaczy, animatorów kultury tradycyjnej, którzy wzorem Zygmunta Glogera gromadzą dla przyszłych pokoleń, chronią i przekazują wiedzę o kulturze regionu. Konkurs zainicjowało i od lat organizuje Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka" im. Stanisława Zagórskiego w Łomży.

LISTY

Nie moralizuj, nie bagatelizuj, wysłuchaj, zrozum

Rozmowy są potrzebne. Można to robić intuicyjnie, bo wszyscy mamy jakieś życiowe doświadczenia. Nie zawsze i nie do wszystkiego jest potrzebny specjalista. Nie dajmy się zwariować. Bądźmy szczerzy i rozmawiajmy o swoich przeżyciach. Wymieniajmy się opiniami. A przede wszystkim nie obrażajmy się, jeśli usłyszymy coś, co nam nie odpowiada. Mój syn ma, chwilowo mam nadzieję, obce mi poglądy. Ale to nie powód, aby go odrzucać. Rozmawiamy, żartujemy, obśmiewamy swoje przekonania. Pewnie nie fachowo, ale tak po prostu. I chciałabym, żeby nauczyciele też mogli tak sobie pogadać bez spinania się. Na procedury jeszcze przyjdzie czas. Nie jesteśmy w stanie obstawić wszystkich dzieci psychologami. Nie sądzę zresztą, żeby była taka potrzeba. *Mama 16-latka*

•

„Rośnie społeczne przyzwolenie na nietolerancję wobec tych osób", mówi Konrad Ambroziak. Przyzwolenie? Nietolerancja

i wrogość wobec osób LGBTQ+ mają już charakter instytucjonalny. Prezydent, ministrowie, kuratorzy oświaty, biskupi, radni sejmików itd. prześcigają się w tym, kto bardziej się wykaże w tej walce. A ona trafia rykoszetem także młodych. I my, dorośli, na to pozwalamy. *Alicja*

•

Choć jak najbardziej słuszne jest postrzeganie nauczyciela jako osoby dorosłej bliskiej dziecku (przynajmniej w założeniu), zdolnej wesprzeć je emocjonalnie, to rozdźwięk pomiędzy sytuacją i „ofertą" dla nauczycieli ze strony państwa a wymaganiami na wszelkich płaszczyznach – merytorycznej, emocjonalnej… jest ogromny. Uważam, że albo pan Czarnek i jemu podlegli dostrzegą przyczynowo-skutkowe zależności i zaczną działać w dobrym kierunku, albo mogą osobiście czuć się winni wspomnianej w artykule tragedii i innym, przemilczanym. *Monika*

eprasa.pl c897b7b470

Konrad Malec

UWAGA, ŻABA!

Płazy oddają ludziom ogromną przysługę, zjadają wszystko, co się rusza i zmieści do paszczy

Nadeszła jesień, a z nią na przemian ciepłe i chłodne dni. Te ciepłe bywają często również deszczowe, przez co zdarza nam się nie dostrzegać, że wcale nie są zimne. Zwierzęta, których temperatura ciała zależy od otoczenia, np. płazy, doskonale widzą tę różnicę i chętnie korzystają z ciepła i wilgoci, podejmując jesienne migracje. Niestety, ich ścieżki często przecinają nasze drogi, na których stworzenia te masowo giną. A to niejedyne dla nich zagrożenie.

Prowadzę nadzór przyrodniczy przy przebudowie drogi. W sumie sprawa niewielka, raptem 2 km szutru, które gmina postanowiła wyasfaltować ku uciesze i uldze mieszkańców, mających dość jeżdżenia po dziurach i wdychania kurzu. Zapewne, jak to w takich przypadkach bywa, szybko wzrośnie liczba samochodów na tej drodze i ich prędkość, więc to leczenie dżumy cholerą. Ponieważ omawiana droga znajduje się na obrzeżach cennego przyrodniczo obszaru, regionalny dyrektor ochrony środowiska nakazał nadzór przyrodniczy. Od lutego bacznie obserwuję, co się dzieje na drodze i wokół niej, by uniknąć strat przyrodniczych. Od początku było jasne, że zagrożone inwestycją są przede wszystkim płazy, które w sąsiadujących z drogą oczkach wodnych przystępują do rozrodu.

Ostatnie lata były suche, oczka w większości wysychały, a płazie potomstwo w nich ginęło. Wbrew pozorom jednak takie okresowe zbiorniki są kluczem do sukcesu płazów – zwykle są bardzo żyzne, a to oznacza masę jedzenia. Oczywiście znajdziemy żyzne zbiorniki całoroczne, więc wydaje się, że to one powinny być ulubionym miejscem płazów. Tak nie jest, bo całoroczne zbiorniki są też miejscem życia ryb, które zjadają kijanki, a większe drapieżniki – również osobniki dorosłe. Widać to doskonale przy badanej przeze mnie drodze. Jeden ze zbiorników jest całoroczny – mimo że mocno zarośnięty i z tendencją do przyduchy, żyją w nim karasie, dla których to wymarzone warunki. Choć płazy chętnie w tym zbiorniku składały skrzek, to złapałem w nim ledwie jedną kijankę, a zapewne i ona nie doczekała przeobrażenia. Co innego w pozostałych, tam znajdowałem zarówno dorosłe ropuchy, żaby, kumaki i grzebiuszki, jak i ich potomstwo w różnych fazach rozwoju. Część zbiorników wyschła, pozostałe kilkakrotnie niemal wyschły, ale w porę nadchodziła deszczowa odsiecz, ratując sytuację.

Taka strategia rozrodcza jest kluczem do ewolucyjnego sukcesu płazów. Kiedy jednak mówię o ich sukcesie ewolucyjnym, często spotykam się z niezrozumieniem uczestników spacerów i prelekcji. „Jak to? Przecież to takie prymitywne zwierzęta, właściwie nie wiadomo czemu jeszcze nie wyginęły, ale na pewno niebawem ewolucja je wyeliminuje". Co ciekawe, ten pogląd często słyszę z ust… nauczycieli biologii. Pomyłka wynika z niezrozumienia, czym jest i jak działa ewolucja. Wielu ludzi sądzi, że to proces prowadzący do coraz bardziej zaawansowanej budowy, której zwieńczeniem jest człowiek, i zaniku istot o prostej budowie. Tymczasem procesy ewolucyjne prowadzą do przetrwania najlepiej przystosowanych, co nie jest jednoznaczne ze stopniem skomplikowania organizacji organizmu. Często procesy ewolucyjne prowadzą do uproszczenia budowy.

Dinozaury zniknęły, a żaby żyją do dziś.

Wracając do płazów, czym sobie zasłużyły na uznanie ich za prymitywy, będące na granicy wymarcia? Przede wszystkim układem krwionośnym, z sercem składającym się z jednej komory, w której krew natleniona miesza się z niosącą dwutlenek węgla, workowatymi płucami o dość niskiej wydolności i przepuszczalną skórą, przez którą zachodzi połowa wymiany gazowej (czyli oddychania). To wszystko bez kontekstu ewolucyjnego może się wydawać prymitywne. Owo serce w porównaniu z żylnym sercem ryb było znacznym udoskonaleniem, niezbędnym do wyjścia na ląd. To samo dotyczy płuc, których powstanie było niezbędne, by móc oddychać tlenem z atmosfery. Ponieważ to były dopiero początki obecności kręgowców na lądzie, pewne niedostatki rekompensowała przepuszczalna skóra, która dodatkowo działa pod wodą. Z jednej strony, to spadek po przodkach, jak herby i tytuły szlacheckie, nieprzydatne w dzisiejszym życiu, ale tak ważne dla niektórych, że ci naciągają własną genealogię, byle się załapać na arystokratycznego praszczura. Z drugiej, te właśnie cechy pozwalają zasiedlać

eprasa.pl c897b7b470

Przodkowie dzisiejszych żab pojawili się ok. 20 mln lat przed dinozaurami.

nieprzydatne innym organizmom siedliska, takie jak zbiorniki okresowe.

Rzecz jasna, nie wszystkie dzisiejsze płazy żyją w takich miejscach, ale to już dłuższa opowieść, do której kiedyś wrócę. Dość w tym miejscu powiedzieć, że przodkowie dzisiejszych żab, będących najbardziej zaawansowanymi ewolucyjnie płazami, pojawili się ok. 20 mln lat przed dinozaurami, a linia ewolucyjna do nich prowadząca kolejne 20 mln lat wcześniej. Dinozaury zniknęły, a żaby żyją do dziś. Czy procesy ewolucyjne pozwoliłyby im przetrwać, gdyby były niedostosowane do swojego środowiska?

Powszechnie wiadomo, że płazy składają jaja, z których wylęgają się kijanki, a tym stopniowo rosną łapy, zanika ogon i mamy żaby, ale to bardziej złożone i ciekawe. Ich kijanki, w przeciwieństwie do rodziców, są roślinożerne. To dlatego sadzawki, w których jest masa glonów, są dla nich atrakcyjne. Wymaga to zupełnie innego układu pokarmowego, larwy płazów bezogonowych mają długie, spiralne jelita. Gdy już wyrosną im łapy, układ ów musi całkowicie się przebudować, w kierunku mięsożerności. Rzecz jasna, kijanki nie mogą wówczas pobierać pokarmu, na ten czas potrzebny jest ogon, który wcześniej służył do pływania, a teraz stanowi zapas pokarmu, ulegając resorpcji w miarę jego zużywania.

Nieco inaczej ma się rzecz u naszych płazów ogoniastych – te od samego początku są drapieżnikami. Początkowo polują na plankton zwierzęcy, ale w miarę wzrostu rośnie ich apetyt i rozmiar ofiar. Inaczej też wygląda składanie przez nie jaj, nie w pakietach, jak to robią żaby, czy w sznurach, jak u ropuch, ale pojedynczo, zawinięte w liście roślin. To sprawia, że jaja są bezpieczniejsze i lepiej natlenione, stąd różnice w liczbie składanych jaj. Dorodna żaba trawna złoży ich ok. 3,5 tys., wyrośnięta samica traszki grzebieniastej, największej naszej traszki – trochę ponad 600. Mamy również jeden gatunek płaza rodzący żywe młode. To salamandra plamista. Jej gody przypadają na jesień, a wiosną samica zanurza tylną część ciała w potoku, w którym rodzi żywe młode. Nie wchodzi przy tym cała do wody jak inne krajowe płazy, jako jedyna nie potrafi pływać i groziłoby jej utonięcie. Taki sposób rozrodu pozwala jeszcze bardziej zredukować liczbę potomstwa, rzadko przekracza ona 50 osobników. Młode wszystkich płazów ogoniastych mają skrzela zewnętrzne, tworzące swoisty pióropusz dookoła głowy. Jeśli popatrzymy na taką larwę od przodu, z wykształconymi już łapkami, przypomina ona chińskiego smoka.

Wspomnianą drapieżnością płazy oddają ludziom ogromną przysługę, zjadają wszystko, co się rusza i zmieści do paszczy, a tak to już jest, że liczebność owadów, których nie lubimy, zawsze jest wyższa od tych, które lubimy. Te pierwsze zwykliśmy nazywać szkodnikami, drugie pożytecznymi, choć przyrodnicy nie lubią tych terminów, odnoszą się one do sfery gospodarczej i z biologią mają niewiele wspólnego. W każdym razie płazy nie są wybredne, nie przeszkadzają im jady i żądła, co ogranicza możliwości pokarmowe ptaków czy ssaków. Słynny, szkolny przykład z bażantami jedzącymi stonkę ziemniaczaną był bardzo naciągany, w eksperymencie wypuszczono na pole wygłodniałe ptaki, które zjadły trujące dla nich chrząszcze.

Gody salamandry plamistej przypadają na jesień.

Niestety, liczebność tych pożytecznych dla nas zwierząt szybko maleje – płazy są najszybciej ginącą grupą kręgowców zarówno w naszych granicach, jak i w skali globalnej. Powodów tego jest wiele. Toksyczne środki ochrony roślin stosowane na polach, a także w mniejszej skali w lasach, przenikają przez ich przepuszczalną skórę. Ubytek owadów zmniejsza bazę pokarmową, podobnie jak ma to miejsce w przypadku ptaków, o czym wielokrotnie alarmowałem na łamach PRZEGLĄDU. Zanik miedz i zadrzewień śródpolnych zmniejsza liczbę potencjalnych kryjówek. W lasach niewiele jest martwych drzew, w których płazy często zimują. Okresowe oczka wodne, te stałe zresztą również, znikają z łąk i pól, bo zasypane bajoro daje kilka kolejnych metrów pod uprawy. Oczka wodne zanikają też na ugorach, są bowiem ulubionym miejscem pozbywania się śmieci przez mieszkańców wsi i działkowców. W tym miejscu stawiam na tradycję, ponieważ w mojej gminie śmieci są odbierane bez względu na ilość, a wywiezienie ich sporej porcji do lasu wiąże się z niemałym wysiłkiem. Często miejsca życia płazów są zabudowywane – deweloperka *über alles*. No i nie bez znaczenia jest zwykłe ludzkie okrucieństwo. Ilekroć wspominam w terenie o żabach, niemal zawsze znajdzie się dowcipniś, który wspomni o tym, jak to za młodu dmuchał żabę i taką napompowaną puszczał na wodę. Ten zwyczaj na szczęście zanika, ale wielokrotnie słyszę pytania o to, jak się pozbyć żab, które wchodzą na podwórko. Warto pamiętać, że w połowie lat 90. wszystkie płazy objęto ochroną ścisłą. Niestety, doktor ekonomii Maciej Grabowski w 2014 r. przeniósł pewną ich grupę do częściowej, czyniąc głęboki ukłon w stronę inwestorów.

Na koniec zostawiłem jedno z najpoważniejszych zagrożeń, z którym nieraz stykam się w pracy zawodowej. To drogi i motoryzacja. Kiedy przed laty brałem częsty udział w konsultacjach społecznych, zwracając uwagę na problemy płazów, słyszałem: „Daj pan spokój, żaby mają być ważniejsze od człowieka?”. W różnych kontekstach podobne słowa padają z ust polityków obecnej partii rządzącej. Poprzednicy wykazywali się większym taktem w wypowiedziach, chociaż nie w praktyce. Paradoksalnie jednak teraz praktyka

FOT. KRYSTYNA I ALEKSANDER RABIJ/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c897b7b470

organów ochrony środowiska, przynajmniej tych, z którymi miewam do czynienia, idzie w lepszym kierunku – m.in. dlatego otrzymałem zlecenie na nadzór przyrodniczy drogi, o której pisałem na początku. Niestety, nie zawsze idzie to w parze ze zrozumieniem właścicieli firm budujących drogi. Ci więksi załapali, że ochrona płazów jest w ich interesie, budowa dodatkowych zabezpieczeń przekłada się na zysk. Mniejsi często mają mentalność „żaby nie są ważne". Tak właśnie było w przypadku właściciela firmy, który prowadzi budowę wspomnianej drogi. Na zwróconą uwagę, że jego działania mogą doprowadzić do katastrofy przyrodniczej, odparł: „Katastrofa jest wtedy, kiedy giną ludzie, i to w dużych ilościach". Dopiero dość stanowcze postawienie przeze mnie sprawy uświadomiło mu, że nieprzestrzeganie na budowie zasad ochrony przyrody może mieć niemiłe konsekwencje dla niego, co doprowadziło do spuszczenia z tonu.

Ale w czym konkretnie problem? Otóż motoryzacja jest poważnym zagrożeniem dla płazów, zwłaszcza bardziej ruchliwych, takich jak żaby trawne czy ropuchy szare. Wystarczy 20 samochodów na godzinę, by w ciągu kilku lat całkowicie zniszczyć lokalną populację płazów, szczególnie gdy mamy do czynienia z ich masową wędrówką lub w czasie opuszczania zbiorników wodnych przez młode pokolenie. Do takich zdarzeń dochodzi przede wszystkim wiosną, gdy przebudzone płazy masowo wędrują na gody, i w czasie ciepławych, jesiennych opadów deszczu. Z moich rozmów z licznymi kierowcami wynika, że większość z nich nie widzi tych zwierząt w czasie jazdy. Ale kiedy im je wskazuję i zaczynają je dostrzegać, nie prowadzi to do zdjęcia nogi z gazu i choćby prób ominięcia zwierząt. Stąd postulaty ustawienia znaków „uwaga żaba" na drogach, choć taki znak nie znalazł się w naszym kodeksie drogowym. Niekiedy problemem interesują się lokalni społecznicy, którzy w porozumieniu z zarządcami dróg i szkołami organizują stawianie płotków i przenoszenie zwierząt przez drogi. Znacznie skuteczniejsze jest podejście kompleksowe, zmierzające do budowy stałych ogrodzeń, połączonych z przejściami pod drogami. W czasie budowy dróg to tylko nieznacznie podnosi koszt, problemem ciągle jest niewłaściwe rozpoznanie potrzeby budowy systemu przejść na etapie planowania i wydawania zgód, choć RDOSie coraz częściej zwracają na to uwagę. Znacznie drożej wychodzi zbudowanie przejścia pod istniejącą drogą, dlatego nad Wisłą mamy dosłownie pojedyncze przypadki takiego podejścia. Warto zaznaczyć, że prawidłowo wykonane i zarządzane przejścia są bardzo skuteczne w ochronie płazów.

Tak naprawdę płazy są bardzo wdzięcznym obiektem ochrony. Jej podjęcie przynosi szybkie efekty, a zdolność odbudowy płaziej populacji jest wprost oszałamiająca, w ciągu kilku lat można odtworzyć populację, z której zostało mniej niż 1% osobników. Pod warunkiem, że ochrona zostanie podjęta.

Konrad Malec

Dziękuję Stanisławowi Buremu za podpowiedź w sprawie historii naturalnej płazów.

eprasa.pl c897b7b470

Jabłoński 100 metrów pod poziomem morza

W MSZ wiceministrowie bardziej niż przypisanymi im dziedzinami interesują się swoimi mocodawcami, za sprawą których dostali robotę. Przedstawicielem KPRM i Ordo Iuris jest Paweł Jabłoński, Szymon Szynkowski vel Sęk to Solidarna Polska, a Marcin Przydacz – Kancelaria Prezydenta. Co ciekawe, ten ostatni, w związku z zamiarem wyjazdu do Kanady na stanowisko ambasadora, jest wspierany przez kancelarię premiera, bo prezydent ma swojego kandydata, Witolda Dzielskiego.

Stosunki dwustronne z państwami Europy podlegają vel Sękowi. Ostatnio skompromitował się w wywiadzie telewizyjnym. Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, od kiedy Polska nie ma ambasadora w Czechach. Wydusił z siebie po dłuższej chwili, że od ponad roku. Informujemy pana ministra, że prezydent odwołał poprzednią ambasador Barbarę Ćwioro 20 kwietnia ub.r. Aczkolwiek pani Ćwioro mogła czuć się odwołana, ze względu na informacje prasowe o możliwym mobbingu w ambasadzie w Pradze, już kilka miesięcy wcześniej.

A jej następca? W MSZ kolportowana jest informacja, że Czesi nie chcą mu dać *agrément*, w rewanżu za to, że Polska zwlekała z *agrément* dla ambasadora Czech w Warszawie. Ha! Nasze wiewiórki w pałacu Czerninów, siedzibie MSZ Czech, twierdzą, że *agrément* dla Mirosława Jasińskiego zostało udzielone już w lipcu. Skąd więc ten przestój? Jest mocna teoria, że to dlatego, iż kandydat nie ma poparcia prezesa Polski. Jasiński, jako wojewoda wrocławski w 1992 r., miał publicznie mu się sprzeciwić na oficjalnym spotkaniu działaczy PC.

A teraz Turów… Już wiadomo, że za porażkę w tej sprawie politycznie ma zapłacić minister klimatu Michał Kurtyka. A MSZ? Naszym zdaniem winni są też wiceministrowie spraw zagranicznych: odpowiedzialny za współpracę gospodarczą Paweł Jabłoński i vel Sęk jako odpowiedzialny za stosunki polityczne z Czechami.

Przypomnijmy: od dwóch lat władze województwa libereckiego chciały problem rozwiązać polubownie, na szczeblu lokalnym. Bez efektu. W lutym br. ówczesny minister spraw zagranicznych Czech Tomáš Petčícek składał wizytę w Warszawie. Czesi chcieli o problemie rozmawiać, nasze MSZ – nie. W maju, podczas spotkania V4 w Warszawie, nowy minister spraw zagranicznych Czech Jakub Kulhánek spotkał się z ministrem Rauem. Strona polska również zignorowała prośby o dyskusję na temat Turowa. Dalej sprawa jest znana: zabezpieczenie powództwa, kary dzienne i oczekiwanie na rozprawę. Problemy – zapylenie, hałas, brak wody, osiadanie gruntów – uciążliwe i w Polsce, i w Czechach, i w Niemczech, można było rozwiązać dwustronnie kilka czy kilkanaście miesięcy temu. Gdybyśmy w lutym zaproponowali Czechom ok. 30 mln euro, sprawa pewnie byłaby już załatwiona. W maju nie wystarczyło 45 mln.

Obecnie, jak informują pracownicy Ministerstwa Klimatu, kością niezgody jest koncesja na wydobycie węgla do 2044 r. wydana z końcem kwietnia przez Kurtykę, pod naciskiem lobby węglowego. Czesi domagają się zaprzestania wydobycia znacznie wcześniej. Maksymalnie wkurzyły ich plany pogłębienia kopalni odkrywkowej o 400 m – 100 m pod poziomem morza. Czyli na poziomie Jabłońskiego, vel Sęka i Mateusza Morawieckiego, który rozmawia z premierem Czech za pośrednictwem mediów.

Ech… Mamy dla premiera Morawieckiego złą wiadomość. Według wszystkich ośrodków badawczych za kilka dni partia premiera Czech wygra wybory, a obrażany przez niego Andrej Babiš nadal będzie premierem.

Attaché

W Forcie Dimanche, niegdyś więzieniu, w którym dyktator François Duvalier więził i torturował swoich wrogów, dziś jest szkoła Sante Bernadette. Port-au-Prince, Haiti, 23 września 2021 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl c897b7b470

JOLKA

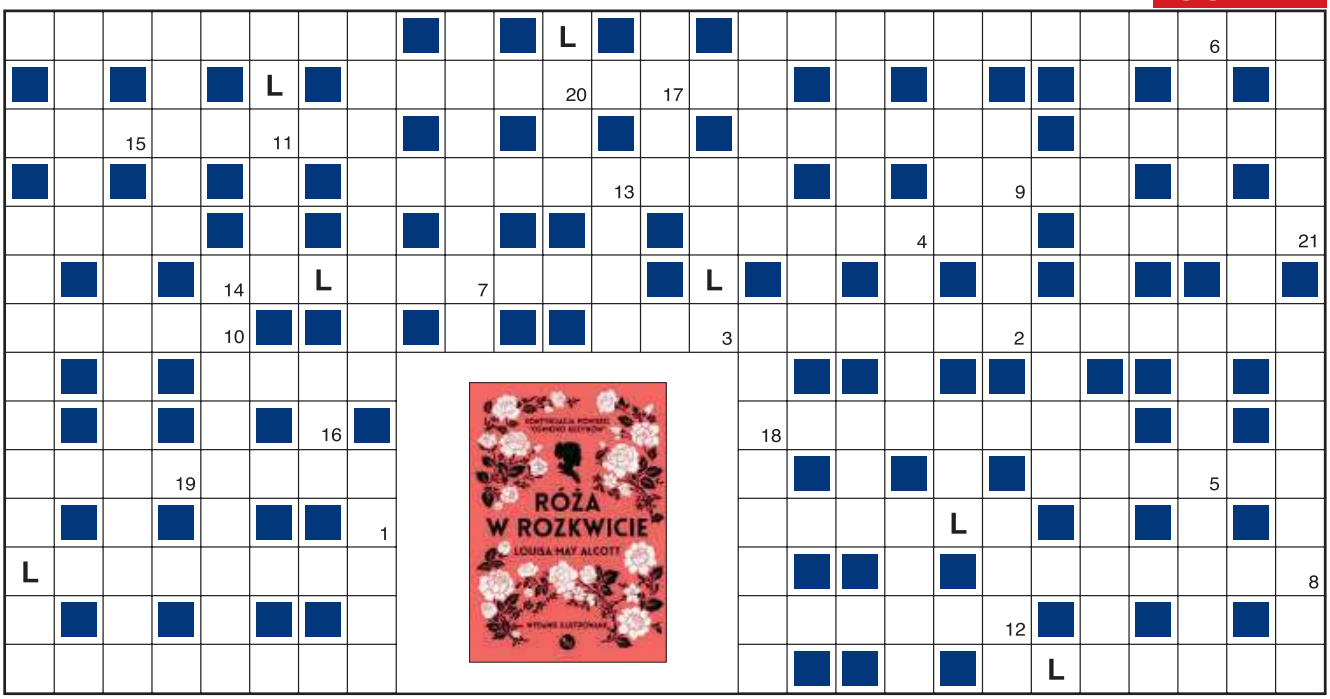

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- imię poprzednika Andrew Johnsona
- Buzek lub Kulesza
- „…Song” (lub „Whisky Bar”) w wykonaniu m.in. The Doors
- pierwsze imię litewskiej księżniczki, żony Kazimierza Wielkiego
- drugie imię tejże księżniczki
- stan w USA i prawy dopływ Missisipi
- ciastko z ubitych z cukrem białek
- w dokumentacji albo w uzębieniu
- drażniony muletą
- i trapez lub deltoid, i szyk bojowy piechoty
- utożsamiana z grecką Artemidą
- świństwo, łotrostwo, podłość
- formy towarzyskie, ceremoniał
- wóz z dyszlem
- Hermann, noblista literacki z 1946 r.
- mitologiczny potwór w „Odzie do młodości”
- sytuacja bez wyjścia, zastój
- greża to jego surowe włókno
- dryfująca tafla lodu
- drobny piasek nasycony wodą, który utrudniał budowę metra
- akademicki dla spóźnialskich
- bieganina, by coś załatwić
- cztery kwaterki
- islam od nazwy jego założyciela
- kolarz Rafał – górski mistrz
- krótko o głosie kota
- Czerwone, Czarne lub Żółte
- nielot z pampasów
- mała Angielka u Sienkiewicza
- sztangista Ozimek, działacz Centrolewu Barlicki
- daszek z wyciągiem nad kuchnią
- tuczenie i utuczone zwierzę
- pisklę królewskiego ptaka
- zgubiony przez Kopciuszka
- do krycia dachów i na izolacje
- …geologiczny w sondzie InSight do wbijania się w grunt Marsa
- liniowa na mapie
- pokazuje, ile autem się pruje
- grządka cała w kwiatkach
- Mata – o jego wychowaniu bezradnik napisał tata
- szklana miska na sałatkę
- lepszy wróbel w ręku niż cietrzew na nim
- angielski tytuł honorowy
- ojczyzna Leonidasa i Menelaosa
- zapowiadacz w radiu lub telewizji
- buldożer
- postać ziół i owoców lub chrust
- pomieszczenie przydatne po praniu
- batorówka lub zygmuntówka
- większe niż Mamry
- klejąca albo izolacyjna
- przezroczysta w lokalu wyborczym
- „Słomiany…” z Marilyn Monroe
- dźwig w szybie
- osiągnięcie, doskonały wynik
- pokrywka z gwintem
- jak od niego oderwać pazernych?!

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1033”. Do rozlosowania książki „Róża w rozkwicie” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 października 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1030” z nr. 38: *Wyobraźnia tworzy marzenia.*
Nagrody otrzymują: Józef Bieniek z Niepołomic, Joanna Sokolnicka z Krakowa, Izabela Walaszek z Gliwic.

eprasa.pl c897b7b470

PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ, REDAKTOR NACZELNY

Środowisko dziennikarskie się rozpadło, a tych, którzy stali na straży faktów i zdrowego rozsądku, uznano za nudziarzy niedostrzegających newsa. Wszelkiej maści sensaci i konformiści z twórczym zapałem dyskontowali nową sytuację. Bracia Karnowscy, Tomasz Sakiewicz, o. Tadeusz Rydzyk czy Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Krzysztofa „Wnet" Skowrońskiego przetrwali trudne początki, a gdy PiS rozwinęło skrzydła – jęli ssać pierś ukochanej władzy.

PROF. ANDRZEJ SAKSON, NIEMCOZNAWCA, UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA

Jeszcze podczas budowy Nord Stream 1 była możliwość podłączenia się do gazociągu. Uważam, że gdybyśmy zgodzili się na budowę przez nasze terytorium kolejnej nitki gazociągu jamalskiego, to nie byłoby ani Nord Stream 1, ani Nord Stream 2. Doktrynerstwo i wymachiwanie szabelką w polityce zagranicznej rzadko przynosi skutek i ta uwaga dotyczy nie tylko obecnych rządów, ale także kilku poprzednich. Dziś nie mamy szans na mocarstwowość. Dlatego musimy się bogacić, wzmacniać naszą gospodarkę i robić interesy ze Wschodem i Zachodem.

PIOTR GŁOWACKI, AKTOR

Są dwie sytuacje w życiu Teddy'ego, których nie ma w filmie „Mistrz". Raz podłożył szefowi obozu, opiekując się jego koniem, pinezkę pod siodło. Gdy szef dosiadł konia, ten stanął dęba, bo pinezka go ukłuła. Rudolf Höss nie zginął, tylko złamał nogę. A drugi raz więźniowie zemścili się jeszcze okrutniej. Szef obozu miał ukochanego owczarka niemieckiego, oni schwytali go, zabili i zjedli. Teddy też. Tylko jak pokazać scenę jedzenia dzień po dniu przez miesiąc owczarka niemieckiego, żeby uniknąć zwykłej ekscytacji widza tak niezwykłym zdarzeniem?

KAROLINA GRUSZKA, AKTORKA

Świat show-biznesu bywa cyniczny, bezwzględny. Karmi się głównie negatywnymi emocjami. Dlatego nie wpuszczam go w swoją prywatność. Nie zamieszczam zdjęć w mediach społecznościowych. Mój kolega, krytyk filmowy, żartuje: „Skoro nie masz Instagrama, to cię nie ma". Prawda, w pewnych kręgach mnie nie ma.

Strażnik Pułku Prezydenckiego trwa niewzruszony w Panteonie Bohaterów, Asunción, Paragwaj, 27 września 2021 r.

FOT. AP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O STUDENTACH

Miałem studentów, którzy nie znali nazw miesięcy i sądzili, że „Pana Tadeusza" napisał Sienkiewicz, a na maturze z polskiego mieli czwórkę.

STANISŁAW TYM O LASACH

Aby nauka nie poszła w las, tylko w nas, wycinamy w Polsce lasy.

JACEK NIZINKIEWICZ O DONALDZIE TUSKU

Wrócił do leniwego uprawiania polityki, kiedy weekend zaczynał się dla niego w czwartek, a kończył we wtorek.

JERZY URBAN O JAROSŁAWIE GOWINIE

Gowin pasuje do każdego rządu przyszłości, żeby jego premierowi nie było za wygodnie.

„TRYBUNA" O MARIUSZU KAMIŃSKIM

Dzięki jego czujności polskie krowy nie muszą się już bać.

MANUELA GRETKOWSKA O AGACIE PASSENT

Opowiada sensownie i pięknie. Nie ukrywa inteligencji pod głupawym śmieszkiem pożądanym u kobiet.

MACIEJ STUHR O ŻONIE KATARZYNIE

Jest filigranowa, gdy ostatnio kupowałem jej pierścionek, sprzedawczyni wysłała mnie do działu dziecięcego.

OMENAA MENSAH O RODZINIE

Wspominam pierwszą wizytę w Ghanie z okazji 15-lecia panowania króla Otumfuo Nana Osei Tutu II Asantehene z rodu Aszanti, z którego się wywodzę.

AGATA MŁYNARSKA O PIERWSZYM MAŁŻEŃSTWIE

Miałam 16 lat, jak poznałam mojego męża, wyszłam za niego, jak miałam 18. Jak taki dzieciak może wiedzieć, co jest dla niego fajne, a taki chłopak, jak sprawić sobie i kobiecie przyjemność?

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI O SOBIE

Mnie życie bardzo często boli w taki czy inny sposób, nie jestem wyłącznie wesołkiem i trefnisiem. Mimo zawodu, który wykonuję.

NATALIA PRZYBYSZ O TELEDYSKACH

Wydawanie setek tysięcy złotych na trzyminutowy filmik jest niemoralne.

eprasa.pl c897b7b470

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Pato-, ale na bogato

Na 125 mln dol. mieszkańcy wieżowca przy 432 Park Avenue na nowojorskim Manhattanie wycenili koszty naprawy ok. 1,5 tys. wad części wspólnych budynku. „Właściciele apartamentów zapłacili za nie dziesiątki milionów dolarów. Daleko im do ultraluksusowych przestrzeni, które obiecywano", czytamy w pozwie przeciwko patodeweloperom. Lokatorzy skarżą się m.in. na zalania, zacinanie się wind oraz hałas spowodowany kołysaniem się przeszło 425-metrowej budowli. Jak widać, i bogatym czasem wiatr w oczy.

W akcji piłkarze Juan Foyth z Villarreal i Karim Benzema z Realu Madryt oraz rugbysta Sbu Nkosi z drużyny Springboks.

O Boże, istniejemy w symulatorze?

Amerykański Fizyk Tom Campbell zebrał w internecie niemal 240 tys. dol. na sprawdzenie, czy rzeczywistość to w istocie symulacja, przypominająca nieco filmowy Matrix. Zgromadzone środki sfinansują zaawansowane eksperymenty opierające się na przepuszczaniu światła przez dwie położone blisko siebie szczeliny i obserwacji obrazu powstającego na ekranie. Założenie jest takie, że jeśli wyniki będą odbiegać od spodziewanych i nie pojawi się inne logiczne wyjaśnienie, potwierdzi to podejrzenie, że żyjemy w niedoskonałej symulacji. Nie wiemy, jak Państwu, ale nam „(mocno) niedoskonała symulacja rzeczywistości" kojarzy się głównie z TVP Info.

Auf Wiedersehen, Schnitzel

Z nowym rokiem akademickim z jadłospisów stołówek czterech berlińskich uczelni praktycznie znika mięso. Nowe uniwersyteckie menu to 68% pozycji wegańskich, 28% wegetariańskich, 2% rybnych i jedna opcja mięsna, na dodatek dostępna tylko od wtorku do piątku. – To odpowiedź na wielokrotne prośby o to, by dania w stołówkach były bardziej przyjazne dla klimatu – tłumaczy Daniela Kummle ze studenckiej organizacji studierendenWERK BERLIN. Bo nie czas żałować wursta, gdy płoną lasy!

MEMY BEZ ŚCIEMY

Wibrujący seks

Producent gadżetów erotycznych, firma Kiiroo, oferuje urządzenia, które mają całkowicie zmienić sposób, w jaki ludzie doświadczają związków na odległość, ale także pornografii. Przykładem może być Titan, elektroniczny masturbator dla mężczyzn, który za pośrednictwem specjalnej aplikacji pozwala użytkownikowi poczuć, co robi jego partnerka lub partner na drugim końcu świata. Wynalazek pozwala również na synchronizację wibracji z jednym z ponad 4 tys. interaktywnych filmów wideo, co daje wrażenie osobistego uczestnictwa w oglądanej „fabule". Tak tylko wspomnimy, że sprzęt kosztuje jedynie 149 dol. i jest dostarczany w dyskretnym opakowaniu.

eprasa.pl c897b7b470

Myślenie (za kierownicą) ma przyszłość?

Na targach w Monachium Mercedes-Benz zaprezentował autonomiczny samochód Vision AVTR, któremu można wydawać najróżniejsze polecenia subtelnymi gestami, a dzięki interfejsowi mózg-komputer – także myślami. Firma triumfuje, że oto otwierają się „rewolucyjne możliwości intuicyjnej interakcji z pojazdem", my pozostaniemy sceptyczni. No bo sami pomyślcie, co ma w głowach duża część kierowców…

Pierwsze śliwki...

W Gdyni funkcjonuje w pełni samoobsługowy sklepik z owocami i przetworami – odliczoną kwotę wrzuca się do puszki lub płaci BLIK-iem. Budka, oparta na pomyśle podpatrzonym w Skandynawii, należy do właścicieli gospodarstwa Malinogród, czyli Daniela Wojtyńskiego i jego dzieci, Nikodema i Nadii. Ta ostatnia przyznaje, że choć zdecydowana większość klientów jest uczciwa, zdarza się znikanie pieniędzy z puszki, a raz przywłaszczono sobie witrynę chłodniczą. Wierzy jednak, że z czasem społeczeństwo przyzwyczai się do takich punktów, a kradzieży będzie mniej. Trzymamy kciuki i apelujemy do sprawców: ananasy, czas dojrzeć!

FOT. SARKA FARKA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, REUTERS/FORUM, AP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl c897b7b470

WIEŻA BAB²

Ewa Ciepielewska, Bożena Grzyb-Jarodzka, magazyn „Lejdis Luxus" nr 2, Breaking News, 2020

Dorota Podlaska, z cyklu Gruba, ale przyjemnie… 2021

Irena Nawrot, Autoportret z liliami, 2021

„Wieża Bab" była trzecią wystawą zorganizowaną w 1985 r., pierwszym roku istnienia Galerii Białej w Lublinie. Uczestniczyły w niej młode polskie artystki: Renata Boguszewska, Ewa Ciepielewska, Bożena Grzyb-Jarodzka, Urszula Kłoczowska, Krystyna Kutyna, Irena Nawrot, Anna Płotnicka, Małgorzata Rysz, Danuta Wierzbicka oraz Anna Nawrot. Nawiązuje do niej symbolicznie „Wieża Bab²", a jej otwarta formuła umożliwia prezentacje różnych osobowości i emocji: o zabarwieniu autobiograficznym, egzystencjalnym i poetyckim. Obecnie sztuka kobiet jest jednym z najciekawszych zjawisk artystycznych w Polsce. Manifestacje sztuki kobiet uświadamiają ich znaczenie, oddziaływanie na kulturę, społeczeństwo, zmiany mentalne, polityczne i artystyczne.

Galeria Biała w Lublinie
ul. Peowiaków 12
do 5 listopada

Marta Szulc, Kultura ciała (II), VII, 2021

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c897b7b470

10 LAT AURORA

ISC AWARDS nominacje

NAGRODY FRANCUSKICH KRYTYKÓW FILMOWYCH najlepszy film francuski

Międzynarodowy Festiwal Filmowy w BUSAN

Międzynarodowy Festiwal Filmowy w JEROZOLIMIE

Międzynarodowy Festiwal Filmowy w SZTOKHOLMIE

Karlovy Vary International Film Festival OFICJALNA SELEKCJA

CÉSAR ACADÉMIE DES ARTS ET TECHNIQUES DU CINÉMA
NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA
nominacji
najlepszy film, reżyser, scenariusz, aktorka i aktor

OFICJALNA SELEKCJA CANNES

CAMELIA JORDANA | NIELS SCHNEIDER | VINCENT MACAIGNE | ÉMILIE DEQUENNE | JENNA THIAM | GUILLAUME GOUIX

DYSKRETNY UROK NIEBEZPIECZNYCH MYŚLI

REŻYSERIA EMMANUEL MOURET

W MIŁOŚCI JEDNE RZECZY MÓWIMY, INNE RZECZY ROBIMY...

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej Kreatywna Europa

10 LAT AURORA

W KINACH OD 8 PAŹDZIERNIKA

Kad MERAD

David AYALA · Lamine CISSOKHO · Sofian KHAMMES · Pierre LOTTIN · Wabinlé NABIE · Alexandre MEDVEDEV · Saïd BENCHNAFA

Marina HANDS
COMÉDIE FRANÇAISE

Laurent STOCKER
COMÉDIE FRANÇAISE

FESTIVAL DE CANNES
OFFICIAL SELECTION
2020

KOMEDIANCI DEBIUTANCI

film
Emmanuela COURCOLA

W KINACH

movies room · FACETPO40.pl · BOOKLIPS.PL · Przegląd · INSTITUT FRANÇAIS

eprasa.pl c897b7b470